

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/47

1951



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

I. M. BOCHENSKI, O.P.

MANIFEST DEMOKRATYCZNY

J. CZAPSKI

W BERLINIE O ZJEDNOCZONEJ EUROPIE

J. MIEROSZEWSKI

PSYCHOLOGIA PRZEŁOMU

SPIS RZECZY:

I. M. Bocheński, O.P.:	<i>Zarys Manifestu Demokratycznego</i>	3
Stanisław Vincenz:	<i>Rocznice Gandhiego</i>	18
Paweł Hostowiec:	<i>Dziennik podróży do Niemiec</i> ..	37
Arthur Koestler:	„Szkola Serca”	54
—	<i>Życie dystansuje Koestlera</i>	72
Józef Łobodowski:	<i>Poezja murzyńska</i>	76
Józef Łobodowski:	<i>Antologia poezji murzyńskiej (José Zacharias Tallet, Ildefonso Pereda Valdés, Marcelino Arozarena, Luis Palés Matos, Nicolas Guillén, Regino Pedroso)</i>	78
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Wł. Dołęga i J. Tokarski:	<i>Kardynał Sapieha</i>	92
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Psychologia przełomu</i>	99
Józef Czapki:	<i>W Berlinie o Zjednoczonej Europie</i>	108
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
F. Sławoj-Składkowski:	<i>Opowieści administracyjne (dok)</i>	114
KSIĄŻKI		
M. K. Dziewanowski:	<i>Ideologie europejskie</i>	135
Ch. L.:	<i>O „Pamiętnikach” Serge’a</i>	136
Henryk Piątkowski:	<i>Brygada Karpacka</i>	140
Wit Tarnawski:	<i>Podsumowanie „Obrachunku Włodarzy”</i>	145
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	149
W. Babiński, L. Pogonowski, St. Stroński, J. Wszelaki, J. Winczakiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	150
—	<i>Kronika kulturalna</i>	154
—	<i>Résumé en langue française</i>	157

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień — Septembre 1951

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Stanisław VINCENZ, ur. 1888 w Słobodzie Rungurskiej (Karpaty Wschodnie). Ojciec jego był pionierem naftowym, a całe otoczenie jak w pewnym stopniu społeczeństwo ówczesnej Galicji, było pod urokiem osobistości i idei Stanisława Szczepanowskiego. Już w dzieciństwie nauczył się Vincenz angielskiego i dość wcześnie pozostawał pod wpływem i umysłowości i literatury angielskiej. Jest autorem przekładów poezji Walta Whitmana (wybór ukazał się w 1920). Studiował na uniwersytecie wiedeńskim, gdzie napisał w r. 1913 tezę o filozofii religii Hegla i jej wpływie na Feuerbacha i Marxa. Później (1912-15) przygotował sporą pracę: Hegel w Polsce i w Rosji. Przekładał Kanta, James'a i R.M. Holzapfla (tego ostatniego razem z matematykiem lwowskim I. Blumenfeldem). Od 1926 do 1929 był redaktorem warszawskiego miesięcznika "Droga", gdzie ogłosił artykuł o "Gandhim na tle wierzeń Indii". Jest autorem trzytomowego dzieła "Na Wysokiej Połoninie", którego pierwszy tom ukazał się w Warszawie w 1936. "Kultura" drukowała w swoim czasie po jednym opowiadaniu z II i III tomu. W przygotowaniu kilka tomów essayów filozoficznych, m.inn. także tom o Dantem, którego wstęp drukowała "Kultura" w r. 1949. Od roku 1947 przebywa we Francji.



Imprimé en France

Imprimerie de la S.N.I.E., 32, rue de Ménilmontant — Paris (20)

Zarys Manifestu Demokratycznego

Przeglądając poniższe notatki trudno mi powiedzieć do jakiego rodzaju literackiego one należą. Nauką na pewno nie są; do literatury pięknej zaliczyć je chyba jeszcze trudniej. Chodzi w nich o danie wyrazu pewnej postawie moralnej. Tego rodzaju wypowiedzi byłyby zapewne niedopuszczalne, gdyby nie jedna okoliczność: mam przeświadczenie, że stanowisko jakie tutaj wypowiadam podziela bardzo wielu ludzi, także pośród Polaków. Może więc najlepiej byłoby zaliczyć to, co tutaj pisałem, do literackiego rodzaju "świadczeń": moje zdania formułują to co się w duszy wielu spośród nas dzieje. Ale, że chodzi o sprawy moralne, nie można ich opisywać czysto teoretycznym językiem. Moralne rozważania nie są etyką, chodzi o wartościowanie, a wartościowanie w tej dziedzinie muszą być apelem. Dlatego nazwałbym rzecz "manifestem", gdyby ten tytuł nie był tak pretensjonalny.

Uważny czytelnik wyróżni jednak w poniższych stronicach dwa elementy; ów "manifestacyjny", moralizujący i inny, mimo wszystko teoretyczny. Jeśli o ten ostatni chodzi, zdaję sobie sprawę, że zależę w wysokim stopniu od największego myśliciela pierwszej połowy XX wieku, Whiteheada, a także od niektórych demokratycznych pisarzy polskich. Rzecz to jednak mniejszej wagi: w sprawach moralnych jedynie ważne jest, kto bierze odpowiedzialność za wartościowanie, a nie źródło, z którego czerpał.

I.

Mamy dość ancien régime'u. Nie chodzi przy tym tyle o ustrój polityczny, ile o gospodarczy, a zwłaszcza o związany z nim system wartościowania ludzi. Widok głupawego syna bogatych rodziców, który rozbija się ostatniego typu Cadillac'em i pogardza każdym, kto takiego właśnie Cadillaca nie posiada, wydaje się nam nie śmieszny, ale wstrętny. Wartościmy fakt, że on może mieć takiego Cadillaca i jego postawę nie ekonomicznie, nie estetycznie, ale moralnie. Uważamy, że ten fakt obraża zasady moralne. Wyrażenie "z lepszej rodziny" wydaje się nam nie tylko głupawe, ale i fałszywe, **moralnie** fałszywe. Zapewne, gotowi jesteśmy odróżniać syna uczciwych rodziców,

1957 W 240/4a

od człowieka wyrosłego w atmosferze przestępstwa. Ale to różnienie, jeśli je nawet czynimy, nie pokrywa się z tym, które sugeruje powiedzonko o "lepszej" rodzinie, a mianowicie, że rodzina mająca więcej pieniędzy jest **moralnie** lepsza. Uważamy to za fałsz. Przestępstwo znaleźć można na wszystkich szczeblach drabiny gospodarczej. Podsywanie się zamożności pod uczciwość wydaje się nam oszustwem, niemal bluźnierstwem. Wielu spośród nas żenuje sam fakt istnienia służących. Coś zdaje się być w tej instytucji nie w porządku. Znając psychologię możemy zrozumieć ten czy ów łzawy artykuł ze wzruszeniem przypominający czasy, kiedy to Wielmożna Pani nie potrzebowała sama myć srebrnych łyżeczek; ale my sami do tego rodzaju wzruszeń nie czujemy najmniejszego pociągu.

Jest i więcej. Protest moralny wezbrał nie tylko przeciw wynoszeniu fałszywych wartości, na pieniądzech tylko opartej wielkości. Nie godzimy się dzisiaj łatwo nawet z wartościami rzetelnymi, o ile w imię tych wartości chce się wynosić jednych a poniżać innych. Nieprawdą jest, by nasza epoka miała mniej zrozumienia dla kultury, dla spraw ducha; aby tylko jeden przykład przytoczyć: filozofia nigdy bodaj od czasów średniowiecza nie cieszyła się takim wzięciem, jak dzisiaj. Ale ceniąc wysoko dzieła pracy duchowej i uznając wyższość w danej specjalności tych, którzy do twórczości są zdolni, nie zgadzamy się na tworzenie z nich uprzywilejowanej kasty "lepszych" ludzi. Dzieje się tak, jak gdyby zostało przyjęte przez masy zdanie św. Tomasza: "człowiek jest dobry lub zły w zależności nie od posiadania rozumu, ale od posiadanej woli". Profesor przestał nam imponować poza swoją specjalnością. Placimy go dzisiaj gorzej, niż wykwalifikowanego montera — i, naszym zdaniem, słusznie, bo pełni pracę przyjemniejszą.

Krótko mówiąc, nasze poczucie moralne uległo demokratyzacji. Chcę z naciskiem podkreślić, że chodzi o poczucie **moralne**. Kapitalizm odrzucamy nie dlatego, by był gospodarczo szkodliwy; być może, że nim nie jest; być może, że jest gospodarczo lepszy od innych ustrojów. My odrzucamy go jednak dlatego, że prowadzi do sytuacji **moralnie** nieznośnych. Zdajemy sobie dobrze sprawę, że niskie płace pracowników umysłowych mogą być dla przyszłości naszej kultury szkodliwe, bo mogą odciągnąć zdolniejszą młodzież od intelektualnych zawodów. Ale normy moralne — jak Kant dawno wykazał — różnią się od wszystkich innych tym właśnie, że są **kategoryczne**. Technika — a więc także ekonomia polityczna — mogą powiedzieć tylko, że o ile się chce tego czy owego, należy postępować tak a tak — jej normy są zawsze imperatywami hipotetycznymi. Natomiast moralność hipotetyczna jest pojęciem sprzecznym: norma moralna mówi kategorycznie: tak ma być — **du sollst**. I dlatego, choćbyśmy mieli zubożeć na skutek realizacji naszych moralnych ideałów, nie możemy się cofnąć. W grze jest imperatyw kategoryczny, coś co musi być spełnione, bez względu na skutki.

Jedną jeszcze uwagę: zdaję sobie doskonale sprawę, że wielu ludzi współczesnych nie przeżywa tego zagadnienia tak, jak spróbowałem je tu przedstawić. W dalekich krajach nie-europejskich jest to zapewne często normą. I u nas wielu jeszcze nie rozumie. Ale, jeśli się nie mylę, przodująca warstwa społeczna w Europie, inteligencja, myśli i właśnie tak czuje. Otóż, jeśli chodzi o nasz kontynent, jest to jedynie ważna sprawa: kierunek nadają dziejom nie masy, ale ci, którzy się na jej czoło wybili.

II.

Jakie są tej przemiany powody? Zapewne, przejścia ostatnich wojen przyczyniły się niemało do przyspieszenia procesu. Nie ulega wątpliwości także, że ustrój gospodarczy, w którym żyjemy, ułatwia i przyspiesza rozwój demokratycznych wartościowań. Ale sprowadzanie zjawiska do samych przyczyn gospodarczych — jak jak to czynią niektórzy komentatorzy Marksa — a tym bardziej do przypadkowych zdarzeń w rodzaju zawieruch wojennych, wydaje mi się bardzo głębokim nieporozumieniem. Demokratyzacja moralna, którą przeżywamy współcześnie, jest przede wszystkim wynikiem niemal dwa tysiące lat trwającego rozwoju ideologicznego Europy. Jest ona urzeczywistnieniem w psychice ludzkiej pewnych odwiecznych ideałów. Oczywiście, okoliczności umożliwiły, ułatwiły, tę realizację. Ale okoliczności nie stworzyły ideału, który już był u zarania. Dzieje Europy można pojmować jako historię przebijania się tego ideału przez zwalny przeszkód ku realizacji. Oto w krótkim zarysie jego historia.

Zaczniemy od końca i zadajmy sobie pytanie, co jest moralną podstawą normatywnych twierdzeń bolszewików? Nie lubią oni sami o tym mówić; ich moralność przenika ich pisma, ale bardzo rzadko jest formułowana, a gdy jest, to w sposób naprawdę niegodny, jako rodzaj najskrajniejszego utylitaryzmu społecznego. A powodem tej wstydlivosti i tej nieudolności jest to, że teoretycznej podstawy dla wartościowań w bolszewizmie po prostu **nie ma**. Podaje się on za system czysto opisowy: stwierdza, że dzieje przebiegają w taki a taki sposób, że zatem musi dojść do takiego i takiego stanu. Jak z tego stwierdzenia **faktu** można wydedukować **normę**, musi pozostać zagadką. I, w rzeczy samej, nikt tego rodzaju dedukcji nie przeprowadza. Podstawa moralności socjalistycznej nie leży wcale w socjalistycznej wizji świata. Leży w atmosferze moralnej, którą socjalizm odziedziczył.

Odziedziczył po kim? Jeśli się nie mylę, bezpośrednio po twórcach Rewolucji Francuskiej. Oni to rozpalili poczucie braterstwa, równości, poszanowania dla każdego człowieka, byli słowem tymi, którzy czynnie usiłowali oprzeć rzeczywiste stosunki między ludźmi na demokratycznych zasadach. Ale, analizując ich duchową postawę, trudno się oprzeć wrażeniu, że i u nich zachodzi nieporozumienie. Ich ideałem był, jak wiadomo,

świat grecko-rzymski, przedchrześcijański. Ci ludzie myśleli, że przeprowadzając rewolucję naśladować demokrację ateńską czy rzymską. W rzeczywistości uczynili coś zupełnie innego. Demokracje starożytne wcale demokracjami w naszym tego słowa znaczeniu nie były. Były systemami niewolniczymi, w których równość istniała — jeśli chodzi o wartościowania — tylko w ramach stosunkowo nielicznej warstwy rządzącej. Rewolucja natomiast przyniosła równość — powtarzam raz jeszcze, że mówię o wartościowaniach przywódców, nie o faktach społecznych — wszystkim. Była niesiona przez coś zupełnie innego niż duch "demokracji" antycznych.

Nowym czynnikiem, który pojawił się między upadkiem demokracji antycznych a Rewolucją było chrześcijaństwo. Whitehead dopatruje się co prawda podłoża jeszcze głębiej, u Platona, mianowicie w jego doktrynie o duszy ludzkiej "nie z tego świata". W rzeczy samej, skoro się raz przyjmie, że dusza ludzka jest czymś nadziemskim, wszystko co nie-duchowe — a więc zamożność, stanowisko społeczne, urodzenie i tak dalej — musi się wydać bez znaczenia. Ale Platon sam demokratą w naszym tego słowa znaczeniu nie był — nie tylko ustrojowym, ale nawet "społecznym". Nic w tym dziwnego: bo, choć jego doktryna uczy obojętności wobec nieduchowych różnic między ludźmi, nie uczy i uczyć nie może niczego podobnego odnośnie do zalet duchowych. Pod tym względem Platon musiał uczyć, że ludzie są nierówni — bo tacy są w rzeczywistości. Zresztą myśliciel o tyle bardziej od niego zrównoważony, a instynktownie tak bliski naszemu zrozumieniu wartości, jakim był Arystoteles, ani na jotę nie zmienił w tej dziedzinie nauki swojego mistrza. Jego poglądy w tej sprawie przedstawić można z grubsza następująco. Celem życia jest kultura ducha (z pewnymi, typowymi dla niego, kwalifikacjami). Otóż dla kultury, człowiek miary Fidiasza jest, oczywiście, bez porównania, niemal nieukończony ważniejszy od prostego wyrobnika. Aby więc Fidasz mógł żyć w spokoju i dostatku, by tworzyć rzeczy dla ludzkości — nawet dla owego wyrobnika — bezcenne, warto poświęcić sto tysięcy takich wyrobników. Warto skazać ich na głód, na niedolę; warto trzymać ich w niewoli. Sto tysięcy takich żyć ludzkich jest ze społecznego punktu widzenia mniej warty od jednego miesiaca Fidiasza. Takie jest w grubych zarysach rozumowanie Arystotelesa. Takie powinno być — może i jest? — rozumowanie współczesnych komunistów. Przyznaję, że z tego, arystotelesowego, immanentnego stanowiska, wniosek wydaje mi się najzupełniej nie do odparcia. Nie, ani Platon, ani nawet Arystoteles, nie położyli teoretycznych podstaw pod demokrację.

Podstawę tę dało dopiero chrześcijaństwo. Nie chcę tutaj pomniejszać innych wielkich religii — w szczególności buddyzmu, który zawiera, na innych założeniach, posłannictwo o podobnych konsekwencjach moralnych. Ale religią Europy, si-

łą ideologiczną, która ją kształtowała, było chrześcijaństwo, nie buddyzm. Otóż w chrześcijaństwie znajdujemy, jeśli chodzi o naszą sprawę, trzy ważne dogmaty. Najpierw, dogmat synowstwa Bożego, który uczy, że wszyscy ludzie bez wyjątku są dziećmi jednego Ojca, a więc braćmi, bez względu na wszystko inne. Następnie — i to wierzenie podkreśla znakomicie poprzednie — dogmat łaski: *bonum gratiae unius est plus quam bonum totius universi*: najmniejsza łaska jest czymś więcej niż dobra całego świata. Łaska jest bowiem według chrześcijaństwa udziałem w życiu wewnętrznym Boga, wyniesieniem na wyżynę przyjaźni ze Stwórcą. Jeśli tak jest, błędą wobec niej i wydać się muszą prochem i niczym wszystkie zalety. Nie tylko zalety materialne, posiadanie władzy, pieniędzy, stosunków, ale także zalety intelektualne, a nawet moralne. Weźmy wypadek skrajny: bohatera, który posiada męstwo i prawość w stopniu heroicznym, ale nie ma łaski — i porównajmy go z człowiekiem "szarym" bez wybitnego charakteru, ale który łaskę posiada. Ocena chrześcijańska wypada niedwuznacznie na korzyść tego ostatniego, przeciw bohaterowi. Przypominam tym, którym to twierdzenie wyda się zbyt śmiały hymn do miłości (to jest do łaski) w 13 rozdziale I. listu do Koryntian: "gdybym ciało moje wydał tak iżbym gorzał, a miłości bym nie miał" — pisze św. Paweł — "niczym nie jestem". To słowo musi być rozumiane dosłownie — bez łaski (tj. miłości), człowiek jest *niczym*. A kto z nas łaskę posiada, nie wiemy. Chrześcijaństwo postuluje więc z mocy swoich najgłębszych założeń odrzucenie wszelkich teorii "lepszych rodzin" i tym podobnych, które z jego stanowiska wydać się muszą nie tylko płaskie i głupie, ale wprost bezbożne. Dodać jeszcze trzeba, że ta teoretyczna nauka poparta jest w chrześcijaństwie przez życie Chrystusa, syna Bożego, który chciał się urodzić jako syn wyrobniczy, nie miał gdzie głowy złożyć i umarł śmiercią niewolnika. Na tym tle chrześcijanin niedemokrata wydać się musi, wyrażając się ostrożnie, ciekawym paradoksem.

Jest jeszcze w chrześcijaństwie trzeci czynnik: nauka sformułowana w słowach Ewangelii "nikt nie jest dobry jeno Bóg". W najgłębszej swojej istocie chrześcijaństwo jest przeciwne wszystkiemu co prowadzi do ubóstwiania stworzeń, a więc także ludzi. Jak to się stało, że właśnie w dziejach chrześcijaństwa — i to nie tylko wschodniego — znajdujemy tyle bizantynizmu, jest jednym z najciekawszych jego paradoksów.

Zresztą, w historii tego olbrzymiego ruchu paradoksów takich jest więcej. Dlaczego, na przykład, proces przenikania tej podstawowej nauki, nie tylko do życia, ale nawet do świadomości moralnej mas, był tak powolny? Można powiedzieć w tym wypadku, że idea była zbyt wielka, że napotykała na zbyt wiele trudności, by mogła się zrealizować prędkiej. Ale dlaczego do jej urzeczywistnienia przyczynili się przede wszystkim ludzie, którzy dogmat chrześcijański porzucili? Jest bo-

wiem faktem historycznym, z wielką erudycją oświecony przez Whitehead'a, że deści angielscy, encyklopedyści, pozytywiści, socjaliści — a więc wszystko odstępcy od chrześcijaństwa, stali się w ostatnich wiekach głównymi nosicielami chrześcijańskiej doktryny moralnej, podczas gdy wielu chrześcijan nie rozumiało z niej niczego. Nie umiem na to pytanie odpowiedzieć i to co o tej sprawie czytałem wydaje mi się niezadawalające. Jedno jest jednak mimo tych wszystkich paradoksów pewne: że nawet tam, gdzie odpadła dogmatyczna podstawa chrześcijańska, motorem wszystkich poczynań pozostała moralna atmosfera z tego dogmatu wyrosła. Bez niej ani Rewolucja, ani pozytywizm, ani socjalizm nie są zrozumiałe.

Wywody te mają tylko jeden cel: wykazanie, że współczesna nasza postawa demokratyczna nie jest bynajmniej, jak się to niektórym ciągle jeszcze wydaje, owocem "bolszewickiej propagandy", albo "nieszczęśliwym spaceniem kultury", na skutek nieporządków i dojścia do władzy tych "z gorszych rodzin". Takie patrzenie na wypadki świadczy o skrajnej ignorancji sensu europejskich dziejów. Demokratyczny osąd współczesny jest po prostu końcowym wnioskiem wyciągniętym z ideologicznych założeń, które przepracowywały dusze naszych ludów w ciągu XX-tu wieków, jest organicznym wynikiem całej naszej duchowej historii. Wypadki przyspieszyły może rozwój moralny, tak jak mogły być go hamować, albo nawet unicestwić. Nie trzeba jednak zapominać, że idea raz powołana do życia posiada dziwną moc zmieniania nawet materialnych warunków. W każdym razie, to co się stało, rewolucja moralna, którą przeżywamy, nie jest naleciałością obcą: chodzi o rzecz naszą własną, krwawym, wielowiekowym wysiłkiem wypracowaną.

III.

Wyciągam wnioski. Demokratyzacja moralna jest faktem psychologiczno-społecznym, bo ogarnęła większość ludzi należących do przodujących warstw w Europie. Jest faktem, który wypływa organicznie z całości duchowych dziejów Europy. Ten drugi czynnik jest wprawdzie, wobec katerycznego charakteru normy moralnej nieistotny; gdybyśmy nawet przejęli demokratyczne imperatywy od obcych, nie zmieniłoby to ich obowiązującego charakteru. Ale fakt, że chodzi o normy swojskie, za którymi stoi olbrzymi autorytet tych, którym wszystko co wielkie i dobre w naszym życiu zawdzięczamy, dodaje naszemu moralnemu poczuciu godności i siły. Domagając się demokratyzacji, domagamy się nie tylko czegoś, co uważamy za słuszne, ale także czegoś, co stanowi, jeśli można się tak wyrazić, sens naszego dziejowego rozwoju. To jest wniosek pierwszy: nasza moralna postawa wobec obrońców ancien régime'ów jest moralnie niezwykle mocna.

Drugi wniosek ma charakter przepowiedni. Gdy idea rozleje

się po przodujących warstwach, gdy stanie się żywym wierzeniem inteligencji, nic, poza obcą siłą, poza wtargnięciem innych społeczeństw, nie może oprzeć się tej realizacji. Ale w naszym wypadku jest, jak powiedziano, coś więcej jeszcze. Idea demokratyczna jest nie tylko moralną postawą naszych warstw przodujących: jest także wynikiem dziejowego rozwoju, czymś, co organicznie wyrasta z walk, myśli i trudów wieków. Wniosek jest więc jasny: oprzeć się jej u nas nie potrafi nikt. Rewolucja moralna musi się przejawiać w formach ustrojowych i gospodarczych, opanować obyczaj. Stoimy w przede dniu wielkiej zmiany, większej od tej, którą przeżyliśmy na przełomie XVIII i XIX wieku.

Toteż obrońcy ancien régime'ów postawili na fałszywą kartę. Muszą przegrać. A raczej mają tylko jedną szansę wygrania: wdarcie się w nasz krąg kulturalny obcych sił, innych społeczeństw, w porównaniu do naszego zacofanych. Bez takiej interwencji historia przejdzie im ponad głowami. Sprawa jest przegrana z góry.

Te przewidywania nie powinny stanowić powodu do zmartwienia. Mówi się wprawdzie nawet, że obrońcy ancien régime'ów są obrońcami Europy, jej tradycji i przeszłości, ale nie wydaje się, by ten pogląd był w jakimkolwiek stopniu uzasadniony. Tradycja Europy, to przecież nie ten czy ów ustrój — widzieliśmy ich tyle! — to nie wartościowania i reakcja tego czy innego umarłego pokolenia. Tradycja Europy w tym, co najistotniejsze jest niczym innym jak dziedzictwem pewnych religijnych, moralnych, estetycznych i naukowych ideałów. Bronić tej tradycji nie znaczy kurczowo trzymać się form, które nasza kultura w marszu ku realizacji tych właśnie ideałów po drodze wytworzyła; bronić jej znaczy obstawać przy tym co istotnie — przy samych ideałach. I dlatego ci, którzy się przyznają do demokratycznych zasad, są świadomi, że to oni właśnie mają pełne prawo nie tylko do nazwy "obrońców Europy", ale, co więcej, do tytułu prawdziwych konserwatystów. Konserwatyzm, tak jak go wielu pojmuję, jest według Whiteheada przeciwny istocie świata — bo świat jest w ruchu, a konserwatyzm tego typu chciałby go od przemian uchronić. Ale poza tym płytkim, niehistorycznym konserwatyzmem jest jeszcze konserwatyzm wyższego rzędu, dynamiczny wysiłek nie tylko ku zachowaniu, ale urzeczywistnieniu rzeczy w kulturze na prawdę głębokich.

Jakkolwiek by jednak z tym było, ze stanowiska praktycznego jedno jest pewne: że Europy przez kurczowe trzymanie się przeżytych, przypadkowych form nie obronimy. Jest to, tak mi się wydaje, bardzo ważne wskazanie: komu los naszej kultury na sercu leży, niech baczy, by nie wiązał go z losami reakcji! Nie mógłby jej bardziej zaszkodzić niż przez takie powiązanie rzeczy wielkich z płytkimi.

IV.

Dobrze, powie mi ktoś, ale czego panowie właściwie chcecie? Łatwo zrozumieć, że chodzi o jakąś reformę obyczaju, o podawanie np. ręki w jednakowy sposób bogatym i biednym, uczonym i prostakom. To jednak jak na program społeczny jest niewiele. Czego chce ruch demokratyczny w dziedzinie ustroju politycznego i gospodarczego? Chce jakichś zmian, ale jakich? Jaki konkretny program mu przyświeca?

Na to pytanie trzeba najpierw odpowiedzieć, że oczywiście demokratyzacja moralna musi i powinna się przejawiać nie tylko w obyczaju, ale także w ustroju. Nas, ludzi nowoczesnych, rażą nie tylko wartościowania, nie tylko pewien typ reakcji, ale także pewne instytucje. Owe instytucje pragniemy znieść. Negatywny program jest dostatecznie jasny. Gdy nas jednak ktoś zapyta, jaki ma być świat na naszych ideałach zbudowany, myślę, że świadomy i myślący demokratą powinien odpowiedzieć uczciwie: cele są sprecyzowane, ale szczegółów nie znamy.

Stwierdzenie tej niewiedzy wydać się może oburzające. Tu są ludzie, zarzuci się nam, którzy chcą burzyć, a nie mają nawet planu odbudowy. Gubią się w "moralnych", a więc uczuciowych, rozważaniach, a na pytanie czego konkretnie chcą, nie umieją dać odpowiedzi. Niepoważni marzyciele, szkodliwi przez brak konkretnego planu.

Ale tego rodzaju zarzuty nie wzruszają europejskiego demokracji. To, co się przeciwnikom wydaje marzycielstwem, uczuciowością, brakiem powagi wobec dramatycznych zagadnień rzeczywistości, jest jego zdaniem nie wadą, ale zaletą, nie marzycielstwem, ale właśnie realizmem. Zdają sobie sprawę, że wypowiadam tutaj zdanie, które niejednego zadziwi i może nawet oburzy. Czyż my, Europejczycy, nie jesteśmy właśnie tymi, którzy racjonalizm nie tylko stworzyli, ale którzy także w jego stosowaniu przewodzą wszystkim ludom świata? Gdzie zrodziła się i do najwyższych szczytów wyrosła filozofia i nauka? Kto stworzył technikę? Jakżebyśmy właśnie mieli wyrzekać się racjonalizmu wobec zagadnienia, które nam najbardziej na sercu leżeć musi?

A jednak tak jest. Jedną z charakterystycznych cech europejskiego ducha jest właśnie to, że, w przeciwieństwie do ściśle racjonalistycznej organizacji wielkich imperiów wschodnich, gdzie wszystko działa się **po planu**, myśmy naszych spraw międzyludzkich **po planu** nigdy nie urządzali. Naszą metodą było zawsze **trial and error**. Wszystko co się naprawdę udało u nas, imperium rzymskie, Kościół katolicki, ustrój Wielkiej Brytanii, Konfederacja szwajcarska i tak dalej, wyrosło powoli z wielu walk, z nieudanych prób, metodą kompromisu. Były co prawda wyjątki — jak np. urządzenie Anglii przez Normanów **po planu** feudalnego; były oczywiście i musiały być plany rzutowane przez różnych ludzi i zwalczające się grupy ideowe. Ale na ogół nigdy taki plan nie został "na czysto" zrealizowany.

Tak postępowaliśmy zawsze i wydaje mi się, że w obliczu niesłychanych mordów, niesłychanej nędzy innych ludów, nie mamy czego żałować ani czego się wstydzić. Zresztą, taka jest już nasza natura i nasze dziedzictwo — my, Europejczycy, tak właśnie nasze sprawy urządzamy. Nie wydaje mi się także, byśmy w tym grzeszyli przeciw naszemu racjonalizmowi, z którego skądinąd mamy prawo być dumni. Bo racjonalizm wymaga rozsądnego działania; pozwala on na stosowanie jasno przemysłanych projektów tam gdzie **znamy** dostatecznie położenie, gdzie reakcje materiału dadzą się w dostatecznej mierze przewidzieć. Planujemy więc samochód, a nawet miasto; planujemy bitwę i robimy projekty dla życia gospodarczego. Ale uczciwy racjonalista jest zawsze równocześnie empirykiem — wie, że w ostatecznej analizie rozstrzyga doświadczenie i że tam, gdzie doświadczenia jest mało, niebezpiecznie narzucać twory naszej myśli. Jest być może, poza tym jeszcze coś głębszego w naszej empirycznej postawie: niechęć do przemieniania naszych społeczeństw w koszarę, głęboko w nas zakorzeniona cześć dla wolności ludzkiej.

Zresztą, jeśli nie znamy szczegółów planu i wypracowanie ich wydaje się nam obecnie absurdalne, to nie znaczy, byśmy nie mieli myśli przewodnich. Chcielibyśmy, na przykład, aby każdy człowiek otrzymał naprawdę równy start życiowy. Pragniemy, aby każdy posiadał minimum przyzwoitej egzystencji. Chcemy przymus ograniczyć do koniecznego minimum. Chcemy, aby praca każdego z nas była, o ile możliwości, dla pracownika interesująca, aby był z nią tym zainteresowaniem związany. Żądamy zapewnienia każdemu człowiekowi jak największej sfery życia prywatnego. Chcielibyśmy, aby dobra kulturalne były wszystkim dostępne. Wydaje się nam, że powinno się sprawy urządzić tak, aby ludzie na czołowych stanowiskach nie mogli łatwo krzywdzić innych. Listę tych postulatów można by jeszcze przedłużyć. Ale jak je zrealizować w całości, tego jeszcze nie wiemy.

Jedno wydaje się pewne, jeśli chodzi o ustrój gospodarczy: nie da się u nas przeprowadzić — o ile, raz jeszcze powtarzam, nie wtargnie obca siła — ani skrajny liberalizm, ani pełny kapitalizm państwowy. Oba odrzucamy nie dlatego tylko, że dają złe wyniki gospodarcze, ale dlatego, że prowadzą do pogwałcenia demokratycznych zasad moralnych. Są między nami tacy, którzy rozwiązanie widzą w syndykalizmie, w powierzeniu warsztatów pracy pracownikom; rozwiązanie, które chyba w pełni urzeczywistnić się nie da. Są inni, którzy nie widzą innego wyjścia, niż oddanie wszystkich warsztatów państwu; dla tych jednak pozostaje do rozwiązania problem, jak w takim ustroju, w którym państwo, a więc grupa ludzi rządzących, ma w ręku wszystko, unikać powszechnego niewolnictwa. Muszę przyznać, że patrzę obojętnie z wielką sympatią na pracę, wysiłki i błędy labourzystów angielskich. Wydają mi się oni tak niesłychanie Europejczycy zarówno w rozumieniu postawowych za-

sad demokracji, jak i w owej metodzie próbowania, nieraz naiwnie, często zbyt śmiało, różnych pomysłów i projektów.

Reasumuję raz jeszcze: moralnie dojrzelismy do wielkiej przemiany; starych form mamy dosyć, chcielibyśmy urzeczywistnić nowe, które by bardziej odpowiadały naszemu moralnemu poczuciu. Poczucie to jest wynikiem naszych własnych, europejskich dziejów. A form, które wypadnie im dać, szukamy także naszym, europejskim sposobem, próbując różnych rozwiązań. Idea, organicznie z naszego dziedzictwa wyrosła, winna organicznie być wcielona w życie. Co do mnie, nie wątpię, że urzeczywistniona zostanie.

V.

To jest, mamy prawo liczyć na jej realizację, o ile — jak już parokrotnie nawiasowo wspomniałem — nie wtargnie w tok naszego życia obca, plemienna siła. Otóż każdy wie, że zagrożenie takie istnieje: wtargnięciem grozi nam mianowicie nie tyle Ameryka (choć i ona nasuwa zagadnienie, którego lekceważyć nie powinniśmy), ile przede wszystkim Sowiety. Sowiety nie tylko brutalną siłą narzucają swoje koncepcje trzeciej części europejczyków, ale interweniują nawet tam, gdzie siły użyć jeszcze nie mogą, na Zachodzie. Interweniują przy tym w sposób, który wywołuje zamęt, przesłania istotę zagadnienia i istotne między nami różnice, a zagraża nie tylko tym, co może zdziałać gdy zajmie resztę Europy, ale i tym, co czyni obecnie przez swój przemożny wpływ. Dlatego zagadnienie Sowieców musi być ze stanowiska wysuniętych tutaj też demokratycznych uważnie rozpatrzone; jest to zagadnienie w tej sprawie kapitalne. Polakowi szczególnie trudno jest o nim pisać: między nami a Rosją stoi mord Katyński, męka setek tysięcy wygnańców, gwałt na milionach naszych ludzi. A jednak, jeśli chce się rzeczy widzieć takimi jakie one są, trzeba się zdobyć na obiektywne, wolne od nienawiści spojrzenie. Uczył wprawdzie Scheler i po nim powtarzają egzystencjaliści, że nienawiść "odsłania" jakieś aspekty nienawidzonego przedmiotu, których bez niej dojrzeć nie podobna, ale Scheler tezy swojej nigdy poważnie nie udowodnił, a całe doświadczenie ludzkie przemawia przeciw niej, za twierdzeniem, że nienawiść, jeśli nawet coś odsłania, to wiele więcej i ważniejszych szczegółów zakrywa, osłaniając nienawidzonego. Kto chce rozumieć, musi patrzeć zimno na Sowiety, jak na przedmiot, nie jak na wroga.

Powiedzmy więc najpierw, że bolszewizm niesie aż dwa czynniki do naszych podobne. Jest on — zapomina się o tym zbyt łatwo — tworem duszy rosyjskiej, a więc chrześcijańskiej; Lenin co prawda chrześcijaninem nie był i Boga nienawidził; ale podobnie nienawidziło Go tylu z naszych reformatorów, którzy przecież przejści byli do głębi niektórymi postulatami moralności chrześcijańskiej. Ów element ewangeliczny jest więc pierwszym czynnikiem, który sprawia, że bolszewizm może na

nas działać, że może zdobywać wśród nas zwolenników. Jest jeszcze i coś innego. Sam marksizm, wypaczony wprawdzie, spłycony, zbarbaryzowany, ale przecie marksizm. A marksizm jest po prostu jednym z tych paradoksalnych ruchów, które wiarę chrześcijańską odrzuciwszy, niesione są pod względem moralnym przez chrześcijaństwo. Jest on poza tym z nami związany bardziej bezpośrednio: publicystyka i propaganda socjalistów europejskich dokonała swego; jesteśmy wszyscy, jeśli o pewne moralne hasła chodzi, pod jego wpływem. Należy on obecnie już do naszego dorobku. Bolszewizm wyrosł z chrześcijańskiej duszy rosyjskiej i oparty na marksizmie zawiera więc elementy, które do nas przemówić potrafią. Nie jest to tylko czysta teoria; doświadczenie wykazuje, że wielu, zbyt wielu myślicy europejczyków przyjmuje bolszewizm. Można naturalnie twierdzić, że czynią to z żądzy władzy, ze samej nienawiści, albo przez głupotę — ale co do mnie, nie wierzę, aby tak było. Zbyt wielu uczciwych i moralnie zdrowych ludzi czarowi bolszewizmu ulega, aby tak mogło być.

Ci ludzie popełniają jednak błąd, wynikający, jeśli się nie mylę, z parafianśszczyzny pewnego typu. Wydaje mi się mianowicie, że wszystkie narody świata są akurat takie w swojej kulturalnej istocie jak ich własny naród; i kiedy znajdują w propagandzie bolszewickiej hasła, na które my, Europejczycy, jesteście, dzięki naszej tradycji i historii, szczególnie czuli, wydaje im się, że bolszewizm niesie ze sobą postęp ku realizacji naszej idei. To jednak jest właśnie kapitalnym, nie do darowania, błędem. Bolszewizm jest, być może, postępem dla Rosjan; dla nas nim nie jest i w żadnych okolicznościach być nie może.

Rozpatrzmy najpierw rzecz apriorycznie. Czym jest Rosja? Zdaże mi się, że bez obrazy obiektywizmu można o niej powiedzieć, iż — jeśli idzie o ideę demokratyczną — jest krajem zacofanym. U nas idea ta kształtowała się poprzez znane etapy: prawo rzymskie — głoszenie Ewangelii — feudalizm — Renesans — Rewolucja Francuska — pozytywizm — socjalizm. Rosja nie znała prawa rzymskiego. Rosja nie znała na serio feudalizmu; nie wytworzył się w niej typ wolnego człowieka. Rosja nie przeszła ani Renesansu, ani Rewolucji Francuskiej. Miała u podstaw chrześcijaństwo i dostała w podarku od marksistów strzępy naszego pozytywizmu. Jest krajem, z naszego historycznego punktu widzenia, biednym, o ubogiej przeszłości. My potrzebowaliśmy dwóch tysięcy lat takich doświadczeń, takich walk, aby dojść do tego czym jesteście; jakżeż oni mogli przeskoczyć to wszystko i stać się od nas pod tym względem lepszymi? Już a priori, trzeba powiedzieć, że nic podobnego stać się nie mogło i że Rosja w stosunku do nas nie może być krajem postępowym.

Jeśli teraz popatrzymy na fakty, nie trudno będzie stwierdzić, że aprioryczne wnioski znajdują w nich pełne potwierdzenie. Wiem, że bolszewizm wniósł do tego kraju coś w rodzaju początkującego poczucia demokratycznego; wiem, że tęsknota za

życiem, w którym nie byłoby panów i niewolników i tam istnieje. Ale na panów i niewolników dzieli się ona przecież w sposób dla nas niezrozumiały i przerażający. Co więcej, choć panuje w tym kraju powszechne uznanie dla "prawa" gnębienia człowieka, nie ma przeciwwagi, czegoś co by przypominało nasz średniowieczny ideał rycerza, czy wolnego chłopca, nie było od wieków i nie ma kasty ludzi którzy niewolnikami być nie chcą. Rosja jest krajem nie tylko straszliwych nierówności, ale także krajem moralnie usankcjonowanego niewolnictwa. Zewnętrznym przejawem tego faktu jest instytucja niewolniczej pracy obejmująca wielomilionowe rzesze i rządy terroru na miarę u nas nieznaną. A to, że rosyjskie poczucie moralne nie protestuje, jest dowodem, że nie jest demokratycznie dojrzałe.

To jednak nie jest jeszcze najważniejsze. W powyższych rozważaniach stałem ciągle na stanowisku, że Sowiety można z Europą porównywać, że można określać kto zaszedł dalej po tej samej drodze. Otóż ta hipoteza jest niemal na niczym nie oparta. Oczywiście, bijącym w oczy faktem jest przecież, że Sowiety tworzą odrębny, wielce od naszego różny krąg kulturalny, że mogą być między nami a nimi punkty stykowe, ale najzupełniej chyba przypadkowe — bo chodzi o dwie linie rozwojowe zasadniczo różne. W tych warunkach zakładanie, że Sowiety mogą stanowić dla nas wzór do naśladowania nie jest tylko błędem: jest po prostu nonsensem. Dorosły lew może być ideałem lwiatka; ale nie będzie nim nigdy dorosły krokodyl, choć zdarzyć się może, że posiada on niektóre cechy i ze stanowiska natury lwa pożądane. Przejęcie sowieckich ideałów tak dalece nie jest postępem, że jest po prostu *metabazis ejs allo genos*, przejściem na całkowicie inną płaszczyznę, do innej kultury.

VI.

Sowiety są w tej chwili u nas największą podporą reakcji. Ich wpływ stanowi najpoważniejszą przeszkodę w realizacji europejskich ideałów demokratycznych. Nie chodzi tylko o to, że Sowiety są same krajem reakcyjnym, krajem, w którym panuje wartościowanie w porównaniu z naszymi zacofane, a wraz z wartościowaniami instytucje sprzeczne z naszym poczuciem. I ten szczegół nie jest bez znaczenia, bo gdyby Sowiety miały Europę opanować, groziłoby załamanie się naszej linii rozwojowej, po prostu zduszenie naszej kultury przez obcy krąg kulturalny. Ale Sowiety hamują nasz ruch rozwojowy nawet tam, gdzie ich policja nie może dławić głosu europejskiego sumienia. Ich wpływ stanowi dziś jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw dla demokracji właśnie tam, gdzie noga bolszewickiego komisarza jeszcze nie stanęła.

Chodzi o sprawę następującą. Sowiety występują na zewnątrz z propagandą niektórych haseł, pokrywających się z hasłami europejskiej demokracji. Ich agenci powtarzają nieustannie, że walczą z kapitalistami, z "lepszymi rodzinami" i tak dalej, że

pragną przynieść równość, wolność, demokrację. Niektórzy spośród nas dają się uwieść tym próżnym słowom. Ale takich jest mniejszość. Większość ludzi, należących do przodujących warstw Europy, nie jest ślepa na sowieckie zakłamanie, nie potrafi nie dostrzegać oczywistych faktów, które przeczą słowom sowieckich agentów i ich naiwnych "towarzyszy drogi". Fakty te wołają o antydemokratyczny duch i antydemokratyczne instytucje w Sowietach. Wołają także wielkim głosem, że Sowiety są kontynentem nam kulturalnie obcym, że zawładnięcie przez nie Europy byłoby może równoznaczne ze zniszczeniem naszej kultury.

Nic dziwnego, że wielu, zbyt wielu, ogarnia strach. Świadomy swojej odpowiedzialności Europejczyk postawić sobie musi, wobec grozy niebezpieczeństwa bolszewickiego, pytanie, czy w chwili, gdy o sam byt naszej kultury idzie, wolno nam przeprowadzać zmiany, choćby najbardziej z moralnego punktu widzenia pilne — skoro te zmiany mogą osłabić nas, bo każda zmiana osłabia? Pytanie to muszą sobie postawić tym bardziej ludzie odpowiedzialni za los swoich krajów, za los Europy. I łatwo zrozumieć, że groza sowiecka hamuje rozmach demokratycznych reform, paraliżuje wolę zmiany u najbardziej nawet uświadomionych Europejczyków. Już pod tym względem więc wpływ Sowietów działa na demokratyzację Europy hamująco.

To jednak nie wszystko. Zewnętrzne podobieństwo między moralnymi ideałami europejskiej demokracji a hasłami, których używa propaganda sowiecka, stwarza potężną broń w rękach reakcji. Cóż łatwiejszego, jak człowieka, który nawołuje do zniesienia niesprawiedliwości społecznej, który protestuje przeciw nieeuropejskiemu kultowi tak zwanych "lepszych" ludzi, który chciałby lepszego ustroju, nowych form życia — nazwać "bolszewikiem"? Że on te hasła przeżywa jako moralne imperatywy, podczas gdy dla agentów sowieckich chodzi tylko o chwyt, na to nie zważa nikt. Że demokracja europejska jest w swojej istocie chrześcijańska, a więc zorientowana na człowieka, podczas gdy bolszewikom chodzi nie o człowieka, ale o oderwaną dialektykę, tego obrońcy ancien régime'ów nie widzą i widzieć nie chcą. Skutek jest taki, że zwolennik demokratyzacji ma nieraz związane ręce.

W rezultacie, trzeba to ze smutkiem stwierdzić, groza sowiecka paraliżuje jednych, uniemożliwia działalność innym, innych jeszcze wprzęga w rydwan antydemokratycznej, nieeuropejskiej sprawy — a wreszcie niektórych wprost wpędza w obóz reakcji.

W szczególnie trudnym położeniu znajdują się ci, którzy jak my, Polacy, nie mają żadnej możliwości przeprowadzania jakichkolwiek zmian, bo w kraju swoim nie rządzą. Groza tego, co się pod rządami sowieckimi dzieje, jest tak wielka, że zupełnie naturalnie myśl nasza ześrodkowuje się na sprawie niepodległości, a więc na rzeczy czysto negatywnej, albo, jeśli kto

woli, czysto formalnej. Ponieważ jednak pusta forma nie może być ideałem, ponieważ nie można marzyć o "Polsce" ani walczyć o nią, nie nadając jej żadnej treści — idziemy po linii najmniejszego oporu i formę niepodległościową wypełniamy treścią najlepiej nam znaną — tym co było u nas przed wojną. Bardziej jeszcze niż inni zagrożeni jesteśmy przez Sowietów wtłoczeniem w obóz reakcji.

Ale tego Sowietów zapewne chcą i, być może dążą świadomie do takiego zglajszaltowania nas pod trupim sztandarem umarłej epoki. Gdyby się im to udało, odniosłoby większe zwycięstwo niż w Jałcie: na placu pozostałyby same, oko w oko z kierunkiem oczywiście skazanym na zagładę, pozbawionym dynamicznych sił moralnych, nie reprezentującym niczego. A wówczas z mocy tych strzępów naszych ideałów, jakie bolszewizm, mimo wszystko, reprezentuje, choć je spaczył i utopił w masie wartościowań i ideałów nieeuropejskich, przeciwdemokratycznych — mogłyby być pewne pełnego sukcesu, bo odniosłoby zwycięstwo na płaszczyźnie moralnej.

VII.

Wnioski wydają mi się oczywiste. Nie wolno nam dać się wpuścić w obóz reakcji. Nie wolno zaprzestać naszej pracy, organicznie z całości europejskich dziejów wynikającej. Mimo strasznego zagrożenia, mimo olbrzymich oporów, jakie nieprzyjaciel nam w nas samych stwarza — a raczej właśnie dlatego, że to zagrożenie i te opory istnieją — jest naszym obowiązkiem realizować to co uważamy za słuszne i sprawiedliwe. Obowiązek ten nie jest łatwy. Dużo wygodniej jest chwycić się kurczowo prostych, "pryncypialnych" formuł: tej która głosi, że wszystko ma zostać jak było, albo tej, tak cudownie prostej, bolszewickiej. Urzeczywistnić nasz wielki i trudny ideał w nasz skomplikowany, empiryczny sposób jest znacznie trudniej. Znacznie trudniej jest tym bardziej, że wypada nam pracy tej dokonać trzymając jedną rękę na mieczu, co gorzej, poświęcając znaczną część czasu na kucie broni, bez której zginąć musimy. Ale to jest cena, jaką się płaci za wielkość. Wielka kultura nie realizuje się wygodnymi środkami: buduje się w walce, w obliczu niebezpieczeństwa, kosztem narażania wszystkiego co się posiada i czym się jest.

Jeśli zaś o nas, Polaków, chodzi, nie tylko nie mamy prawa usuwać się od tej pracy, ale mamy w niej szczególne obowiązki. Zakładam, oczywiście — to jest inny aspekt współczesnej moralnej rewolucji — że w duchu nikt z nas nie jest już tylko Polakiem, ale Europejczykiem z kantonu Polska. Sytuacja jest obecnie taka, że (pomijając moralną stronę zagadnienia), wolność odzyskać możemy tylko pod warunkiem scalenia Europy i jej zwycięstwa w walce z molochem sowieckim. Wszystko więc, co Europę wzmacnia, bez względu na to, jak ten czy ów Europejczyk z innych kantonów na naszą kantonalną sprawę się za-

patruje, jest naszym lokalnym, polskim interesem. A wśród tych rzeczy jest obrona przeciw narzucanej przez Rosję reakcyjności i walka o wprowadzanie w życie ideałów, o które warto walczyć i ginąć. Mamy nie mniej, ale więcej od innych powodów, by się od współpracy w tej dziedzinie nie usuwać.

Mamy jednak i inne zadanie, którego, o ile się orientuję, nie spełniamy prawie wcale: myślowe budowanie Polski przyszłości. Wydaje mi się, że przekleństwo jakieś ciąży na naszej myśli politycznej, która zakrzepła na poziomie z 1939 r. — jeśli nie z 1926 roku. Pewnie, że myśleć jest trudno, będąc tak daleko od realnej pracy w swoim kraju. A jednak myśleć trzeba. Trzeba dyskutować, tworzyć projekty, budować moralne poczucie, które pozwoli nam kiedyś wrócić do kraju z czymś więcej, niż z ambicją zobaczenia z powrotem ojczystych stron i może ojczystego miejsca przy biurku.

I. M. BOCHENSKI, O.P.

"ORZEŁ BIAŁY"

TYGODNIK POLITYCZNO-LITERACKI
WYDAWCA: GRYF PUBLICATIONS LTD.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11
Tel. BATtersea 0879

ADRES REDAKCJI: c/o R. PIETRZYŃSKI,
31A, Dean Road — London S.W.2.

Przedstawicielstwa w Austrii, Belgii, Francji, Holandii, Norwegii, Szwajcarii, Szwecji, Włoszech, Argentynie, Kanadzie, Libanie, Płd. Afryce, St. Zjednocz.

■ CENA EGZEMPLARZA:
WE FRANCJI: 25 franków fr. — W BELGII: 5 franków belg.
W WIELKIEJ BRYTANII: 1/-

■ P R E N U M E R A T A :
WE FRANCJI: miesięcznie 100 fr. fr.; kwartalnie 300 fr. fr.
W BELGII: miesięcznie 20 fr. belg., kwartalnie 60 fr. belgijskich.
W WIELKIEJ BRYTANII: miesięcznie 4/4, kwartalnie 12/-,
rocznie 45/-.

■ PRENUMERATE PRZYJMĄJĄ:
WE FRANCJI: Libella, 12, rue St. Louis en l'Île, — Paris IVe,
nr konta pocztowego Paris cc 565.150.
W BELGII: J. Roskiewicz, 44, rue Vincotte — Bruxelles,
nr konta pocztowego 3172.28.
W ARGENTYNIE: Składnica Książki Polskiej, Av. Leandro
N. Alem. 641, Buenos Aires.

O G Ł O S Z E N I A : (za 1 cal przez 1 łam = £ 1)

przyjmują przedstawicielstwa «Orla Białego»,
na terenie zaś W. Brytanii wyłącznie firma

GRYF PUBLICATION LTD,

169/171, Battersea Church Road, LONDON S.W.11

Rocznice Gandhiego

Ut qui visibilis erat miracula pro
invisibilibus ostensurus, idem invi-
sibilis pro visibilibus illa ostenderet.

Dante: De Monarchia.

I.

SWARADŻ

Niedawno obchodzona w niepodległych Indiach osiemdziesiąta rocznica urodzin Gandhiego nie wywołała na Zachodzie szerszego echa. Prawie równocześnie ogłosiła prasa, że "następca Gandhiego", premier Indii, Nehru, zaproszony przez prezydenta Trumana przybył do Ameryki, prawdopodobnie celem wszczęcia starań w sprawie uprzemysłowienia swego kraju. Przemówienia samego premiera podczas podróży nie wiele różnią się od oświadczeń innych premierów. Podkreślenie neutralności w potencjalnym konflikcie i dążenie do zachowania pokoju, przypomina co najwyżej postawę Szwajcarii, w której neutralność jest jednym z pierwszych paragrafów konstytucji. Nie od dziś zresztą w środowisku nowoczesnej inteligencji hinduskiej Szwajcaria posiada sporo sympatyków.

Pandit Jawaharlal Nehru, wychowanek wojskowego college'u angielskiego, kolega szkolny marszałka Montgomery, po ukończeniu szkół w Anglii, poszedł w rezultacie inną drogą niż większość kolegów, a wróciwszy do Indii, w długoletnim, wytrwałym oporze wobec władzy brytyjskiej, zyskał niemały rekord pobytu w więzieniach, podobno w sumie trzynastoletni.

Jest zresztą, odmiennie niż Gandhi, zwolennikiem uprzemysłowienia i tego co nazywa "naukowymi podstawami kultury", które w hierarchii wartości stawia wyżej niż tradycję zarów-

Bibliografia:

Gandhi's Autobiography — The story of my experiments with truth, by M. K. Gandhi. Translated from original in Gujarati by Mahadev Desai, Washington, D.C.

Nehru Jawaharlal: An Autobiography, Bombay.

Madhuri Desai: Begegnung mit Gandhi. Nach dem englischen Manuscript übertragen von Hans Zbinden, Bern.

no hinduską jak muzułmańską, a nieskończenie wyżej niż ich wzajemne konflikty. Uważa, że uniformizacja wszystkich narodów na podstawie naukowo-przemysłowej jest nieuchronna, a walka przeciw tym koniecznym tendencjom daremna, bo chyba tylko katastrofa światowa mogłaby wstrząsnąć obecną cywilizacją i wstrzymać jej pochód.

W swej autobiografii stawia pytanie, narzucające się zresztą każdemu obserwatorowi, w jaki sposób on i inni przedstawiciele nowoczesnego światopoglądu, tacy czy inni indyjscy zwolennicy "postępu", tj. uprzemysłowienia, kolektywizacji, wszyscy socjaliści, liberałowie czy komuniści, tak dalecy religii i tradycji, uważający stanowisko chłopu indyjskiego za reakcyjne, nie tylko współdziałali z Gandhim politycznie, lecz nawet stawiali się jego oddanymi zwolennikami i uczniami. Bo Gandhi, powiada Nehru, jest kwintesencją mas chłopskich, personifikacją światowej woli milionów Indii. Mimo swe pochodzenie odległe od warstwy chłopskiej, mimo, że sam tak odmienny i wzniesiony ponad chłopski byt, mimo swą niepospolitą inteligencję, wysubtelnioną ludzkość i uduchowienie, jest wielkim chłopem, i to z całą ślepotą chłopu wobec pewnych dziedzin życia. Lecz Indie są krajem chłopskim, a Gandhi jest magnesem, który znając najłżejsze drgnięcia chłopstwa, umie pociągać je, trafiając zawsze z niezawodną dokładnością. Na swe pytanie Nehru nie odpowiada wszakże, że on i jemu pokrewni inteligenci i intelektualści indyjscy, po prostu szli za większością, ulegając woli ludu, czy to ze względów taktycznych, czy z wyrachowania politycznego, lecz że na pytanie to trudno odpowiedzieć komuś kto nie zna Gandhiego.

"Osobistość to coś nieokreślonego, to jakaś siła dziwna, mocą której władza Gandhi duszami ludzi, działając na każdego, który doń przychodzi, w sposób odmienny". To słuszne, że ma siłę przyciągania ludzi, ale ostatecznie nie co innego "jak intelektualne przekonanie jednało mu zwolenników i utrzymywało ich u jego boku. Śmiała i skuteczna akcja, z aureolą etyczną, nieodparcie odciągała zarówno uczucia jak intelekt". I właśnie u intelektualistów stwarzała przywiązania zapamiętałe, zaprzysiężone, a z tego rozrastał się i wzbierał nieodparty żywioł wpływu, nieoparty oczywiście ani na władzy, ani nawet na żadnym określonym fanatyzmie religijnym, lecz na przywiązaniu do osobistości. I samemu Nehru, gdy rozważa energię Gandhiego i jej wewnętrzną potęgę, tryskającą z niewyczerpanych zapasów ducha, przychodzą zawsze na myśl stare mity indyjskie, postacie dawnych władców duchowych, którzy bez użycia siły rządili masami.

Nehru reasumuje: "Gandhi nie jest ze zwyczajnego odlewu tego świata, jest on wytopiony z jakiegoś innego kruszca i to rzadkiej odmiany. Częstość coś nieznanego przeglądało ku nam przez jego oczy".

Także inni, szczególnie angielscy obserwatorzy Indii, podno-

szą, iż nieraz, gdy już zdawało się, że wpływ Gandhiego w Indiach należy do przeszłości, jego nieoczekiwane stanowisko, nieraz nawet z powodu jakiejś pozornie błażej okazji, elektryzowało Indie. Okazywało się, że prowadzi je nieustannie.

Zbliża się także nowa rocznica śmierci Gandhiego.

Nie był on zbyt przywiązany do życia. Słabowity, zapadający łatwo na zdrowiu, wycieńczony wysiłkiem i postami, miewał nawet okresy, w których trudno było mu odzyskać chęć życia. Narażał zresztą swe życie nieustannie, oczywiście nigdy w sposób graniczący z samobójstwem. Toteż kiedy, głównie dzięki sile woli, higienie i konsekwentnej dyscyplinie codziennego życia, wzmocnił odporność swą, żartował że dożyje co najmniej stu lat. Jego przyjaciele i Indie pragnęły tego. W okresie, gdy żaden z dyktatorów nie zginął od zamachu, Gandhi, do którego dostęp był aż nazbyt łatwy, padł z ręki rodaka, młodzieńca, który chciał być lub był wyrazem opinii tych, którym Gandhi wydawał się za mało patriotą, a może nawet "szkodnikiem narodowym". Zdarzyło się to bezpośrednio po zażegnaniu przez Gandhiego nieuniknionego, jak się zdawało, krwawego konfliktu pomiędzy dwoma dopiero co narodzonymi państwami: Indiami i Pakistanem. Wskazywano wówczas, że jednemu człowiekowi udało się to, o czym zaledwie marzą "Zjednoczone Narody".

Homer przedstawia nam szalonego w swej odwadze Eteolczyka Diomedesa jak przepędził z pola bitwy boga wojny Aresa, raniąc go dotkliwie tak, że ów napełnił jękiem cały Olimp. Gandhi przepędził Aresa postem i uśmiechem. Wszelako bóg wojny nie tylko na Olimpie zasiada, siedzi chętnie niżej i głębiej. Potrafi włożyć do rąk broń młodziankowi obalamuconemu lub nasłanemu przez tych, którzy go się wyprą. Na razie jednak Gandhi zwyciężył, jednocząc Indie żałobą.

Koniec końców może się wydawać, że odradzanie się wpływów politycznych przez czar osobistości jest możliwe tak długo, dopóki ta osobistość żyje. Przyszłość pokaże, co ze spuścizny Gandhiego będzie trwale działać w Indiach, w dziedzinach przezeń zamierzonych. Niewątpliwie analiza działalności i rozwoju Gandhiego wykazuje, jak poprzez liczne wpływy europejskie, poprzez pobudki do działalności, zdawałoby się zewnętrzne, a nawet przypadkowe, coraz bardziej odkrywały się w nim pokłady, jak dotąd, trwale indyjskie, a przez to rozszerzały się i utrzymywał jego wpływ. Na razie oficjalne organy nowego państwa, a widocznie także duże warstwy ludności, przyznają się doń całkowicie.

Warto przypomnieć wytyczne Gandhiego dla niepodległości Indii. Jest on przeciwko wszelkiemu izolacjonizmowi, a w konsekwencji wszelkiej nietolerancji. Według niego celem *Swaradź*, czyli jak my mówimy niepodległości, nie jest niezależność, lecz dobrowolna, wzajemna zależność i porozumienie, czyli wspólnota wszystkich wolnych narodów, gdyż dopóki narody nie są

wolne, nie mogą stworzyć wspólnoty. Słowo *swaradź* oznacza raczej władzę nad sobą samym; jest zresztą zapożyczone z Wedy i ma stosowne do tego namaszczenie. Zwolennicy Gandhiego ufają, że w miarę jak Indie dźwigną się z nędzy i wyczerpania, gdy przyjdą do sił, wówczas w myśli zasady *swaradź* przyniosą światu nowy uniwersalizm, nie jednotorowy i nie niwelacyjny, słowem odmienny od tego, z jakim zgłaszają się ostatnio tzw. młode narody.

Żądając prawa dla najsłabszych Indie nie tylko zachowają swoje tradycje, ale mogą się stać przykładem i pobudką dla innych. W każdym razie nie są prowincjonalne ani przestrzenne ani czasowo, a nawet tysiąc lat nie stanowi dla nich tytułu do nadmiernej chwały. Co prawda wiadomo, że Indiom brak jak to się mówi zmysłu historycznego; w każdym razie nie odznaczyły się w dziedzinie historiografii, nie wiele posiadają z tego co nazywa się *historia scripta*, zwłaszcza chronologia długich dziejów Indii jest zupełnie zaniedbana i tylko z wielką trudnością i bardzo niedokładnie można ją zrekonstruować za pomocą mozolnej a niepewnej synchronizacji z dziejami Grecji lub Chin. O dziejach Indii posiadamy tak niedokładne wiadomości, że nawet trudno właściwie wnioskować dlaczego zmysł historyczny tak jest zaniedbany.

Natomiast wiadomo jest sporo o zasadach religijnych i filozoficznych. Ciągący się od zamierzchłej starożytności, nieprzerwany szereg dzieł literatury i poezji jest imponujący. Z nich wynika, na podstawie wiary w Karman (to jest, że byt ludzki jest wynikiem czynów w poprzednich narodzinach), niedostępność umysłowości indyjskiej dla jakiegokolwiek wiary w postęp. Także przedkładanie aspektów ogólnych ponad szczegółów sprawia, że nawet ci, których można by nazwać kronikarzami Indii, są obojętni wobec wszelkiej chronologii i szczegółowej historii faktów. Z drugiej strony także u rzekomych historyków przeważała wiara w cudowne wkraczanie interwencji boskiej, w magię i w czary. A jako że *historia scripta* jest wyrazem świadomości tego, co nazywamy dziejami, czyli *res gestae*, można by powiedzieć, że Indie w pewnym sensie nie posiadały dziejów.

A przecież, tym więcej posiadają poczucia ciągłości i identyczności, co jest nieodzownym warunkiem psyche i duchowego istnienia. Nawet dla obecnych Indii herosi przeszłości a także ci historyczni królowie, którzy stali się nimi, są zupełnie realni, więcej niż miejscowi książęta i władcy współcześni i są zawsze obecni. Nie tylko to. Posiadają wielki plus, że są uznawani na całych obszarach Indii. Taka "namiastka" historii uwydatnia bądź co bądź prawdę, że człowiek nie tylko w epokach żyje, i jest nawet postulatem tej prawdy. Mogłaby wnieść do reszty świata, który pozamykał się nie tylko w granicach państw i narodów, ale ponadto w epokach coraz to krótszych, rzekomo wzajemnie niedostępnych, jakiś element bardziej ro-

zumny, ludzki i powszechny, element porozumienia nie tylko między kontynentami, ale także między epokami.

Co najmniej da się pomyśleć, że Indie kontynuując spuściznę Gandhiego, niezamąconą przez błagę sloganów politycznych, przez żadną misję ani manię imperialną, a w rezultacie przez żaden realizm podłości, mogłyby wśród sprzyjających okoliczności stać się języczkiem u wagi w stronę trwałego pokoju.

Istnieje w średniowiecznej literaturze Indii swoista sztuka wyrażenia gnomicznych, tak zwana Nyaya, polegająca na zwiernianiu przysłów lub sentencji w jedno złożone, a długie słowo. W porównaniu z tym nawet filozoficzne tasiemce niemieckie są nikłe. Dzięki wierze w słowo i w gramatykę przypisywano takim powiązaniom znaczenie naukowe. Jedna z bardzo starych gnom wyraża jednym słowem: "Prawdopodobieństwo żółwia, by włożył kark w dziurę jarzma, pływającego na potężnym oceanie". Gnoma ta ma służyć dla określenia wielkich trudności, gdyż żółw podobno wynurza się na powierzchnię morza tylko raz na sto lat.

Ostatecznie nie trudno ze stanowiska żółwia, z jego niezmiennych zwyczajów czy spoza jego pancerza — wykazywać trudności, podkreślać nieprawdopodobność ziszczenia spuścizny Gandhiego, a najłatwiej przepowiadać jej bankructwo. Niewątpliwie ktoś kogo pociąga przepaść między zamiarami a ziszczeniem, albo nawet lubuje się w oglądaniu katastrof zamierzeń ludzkich, a kto będzie dostatecznie inteligentny, aby nie upraszczać sprawy, mógłby się nawet zaciekawić, w jaki sposób ci, którzy będą się uważać za następców Gandhiego, wykręcają się od wytycznych jego spuścizny. Jeden ze współczesnych żartownisiów wyraził się, że wyznania religijne to "sto dróg szyderstwa z Boga". Nie można zaręczyć czy "wprowadzenie religii do polityki" zalecane przez Gandhiego nie utoruje nowych stu dróg dla szyderstwa z Boga i z człowieka. Lecz życie ludzkie, także życie grup, nie tylko kończy się ciągle, lecz także wciąż się zaczyna.

Wspominając dziś spuściznę Gandhiego, usiłujemy rozważyć ile wykracza ona poza Indie i poza aktualność sytuacji. Spuścizna ta jest zbyt poważna, aby ją uważać za epizod, nawet jeśli miałyby się skończyć kultem Gandhiego zamiast wypełniania jego zaleceń.

II.

NAJOGÓLNIEJSZE PRAWO

W naszej epoce monologów i monologistów, jako że zerwały się czy ukryły sieci wspólnoty, ludzie dość rzadko przemawiają jeden do drugiego. Raczej mówią obok siebie, nie starając się, nie dbając o porozumienie, nawet wtedy, gdy mówią bardzo wyraźnie aż do okrucieństwa. Nie tylko życie polityczne, nawet sztuka i literatura dają wiele przykładów zawziętego

monologizmu, także monologizmu grup i gruppek, bez oglądania się na porozumienie. I jakoś mimowoli rodzi się niesamowite przecucie, że wszystkich razem czeka takie porozumienie a raczej unifikacja, w której nikt nie będzie miał nic do gadania. Wydaje się przeto, że stosowną formą porozumienia także w pisaniu winien być dialog. Niekoniecznie zewnętrzna forma dialogu, raczej jego zasada: wysłuchanie innych, uwzględnienie nie tylko głosów, ale nawet szeptów. Gandhi jest pionierem porozumienia i tylko w tym duchu można rozpamiętywać jego rocznicę. Tą uwagą chciałbym usprawiedliwić liczne cytaty narzucające się pamięci i niestety w dużej części z pamięci i reminiscencje historyczne, które zresztą nie mają pretensji, aby być "historycznym wstępem" ani nie są żadnymi dowodami.

Przebywając na terenie Francji przypomnijmy sobie, że przed dwustu laty z górą, długo przed zapanowaniem w naszej części globu ludzkiego nadmiernych nadziei, a potem zgubnych rozczarowań, zgasł rycerski młodzieniec nazywany przez młodocianych kolegów, ojcem. Mam na myśli Vauvenargues'a, który jako moralista pilnie a dyskretnie wyszukiwał i ważył cienie i światła naszej condition humaine, i niezależnie od osobistego losu, mimo przewidywanie rychłej śmierci, wbrew opinii z prawa i z lewa, oczerniającej człowieczeństwo, wyrozumiałe i mądrze uwydatniał przewagę jasnych stron.

Voltaire podziwiał go: "Skąd ten młody oficer, który zresztą nie szuka śladem Pascala nowych uzasadnień dla nienawiści i pogardy wobec rodu ludzkiego, wziął tak wysoki polot w czasach małości?" Vauvenargues, tylko pośrednio obeznany z literaturą starożytną, wkracza w problematykę z czasów Sokratesa. Zastanawia się nad najogólniejszym prawem i stwierdza: najogólniejszym, niezmiennym i najważniejszym prawem pojęcia państw, narodów i jednostek między sobą, podobnie jak zwierząt i wreszcie bytów bezdusznych jest przemoc, prawo silniejszego nad słabszym. Nie trzeba dodawać, że Vauvenargues — nawet jeśli uznać, że pada ofiarą sofizmu utożsamiającego wszelką siłę z przemocą — wcale nie jest zwolennikiem ani tym mniej entuzjastą tego ogólnego prawa. Sformułowanie swoje uzupełnia zaraz następującą maksymą: "Kto zdoła wycierpieć wszystko, ten może odważyć się na wszystko".

Poza tym reguła tak sformułowana nie wyklucza wcale dążeń, aby używając "tymczasowych" środków przemocy, dążyć do usunięcia gwałtu, do ustalenia prawa i wolności. Mówi się nieraz, że powstanie wszystkich większych organizacji państwowych, przede wszystkim wielkich imperiów, w rezultacie dobroczynnych, bo ustalały pokój i prawo na wielkich obszarach i na długie wieki, zawdzięczamy tylko przemocy a nigdy perswazji. Nie gdzie indziej jak w Indiach wielki król Aśoka zjednoczywszy po raz pierwszy kraje i królestwa w wielkie imperium, dopiero po ostatniej krwawej wojnie zdecydował, że będzie to wojna

ostatnia. Świadczą o tym nie tylko źródła buddyjskie, mające więcej historycznego zmysłu niż bramińskie, ale przede wszystkim napisy, wyrzeźbione na skałach u wrót Indii na rozkaz króla. Głoszą one, że podbój duchowy jest cenniejszy i pewniejszy niż podbój orężny. Król Aśoka bowiem stał się buddystą i misjami torował drogę tej religii.

Buddyzm troszczył się przeważnie o wewnętrzną przemianę, a w małej mierze o sprawy państwowe. Wszelako buddyści, nawet w legendach o założycielu swej religii, więcej zbliżają się do tego, co my nazywamy historią, a prawnicy tego kierunku, uważając władzę królewską za kontrakt społeczny, a króla za płatnego urzędnika, dyskutowali stosunek siły do prawa, podczas gdy ortodoksja bramińska, ukonstytuowana zresztą dość późno wywodziła nie tylko władzę, ale nawet pochodzenie króla od Boga. Lecz i buddyjscy historycy, jeśli można ich tak nazywać, zamiast opisać, jak król Aśoka konkretnie urzeczywistniał swoje zamierzenia, przedstawiają nam jak zwierzęta leśne i dzikie ptaki, wzruszone akcją króla, zabraniającą przemocy i zabijania, same przychodzą do kuchni królewskiej i umierają na jej progu, aby przeszkodzić grzechowi zabijania ze strony ludzi.

Dając zaledwie tło, dotykamy tych spraw przelotnie, bez przygotowania, zatem powierzchownie, lecz niech mi wolno będzie zacytować z pamięci dwa charakterystyczne zdania ze starożytnych tekstów buddyjskich. Jedno dotyczy wojny, Budda powiada: "Zwycięstwo wylega nienawiść, gdyż pokonany jest nieszczęśliwy". Drugie dotyczy kary: "Któżby chętnie stosował twardą mowę wobec tych, którzy popełnili grzeszne czyny, sięgając niejako sól na rany ich czynów". Prawdopodobnie takie i inne zasady miały wpływy w dziedzinie prawa i polityki, czego przykładem jest zresztą *Kalhana*, ciekawa osobistość, najwybitniejszy historyk epicki, a raczej kronikarz indyjski, zalecający (podjętą po wiekach przez Gandhiego) zasadę *Ahimsa*, (nie-szkodzenia i bez-gwałtu), do której rzekomo zgłaszali akces i którą przeprowadzali w praktyce niektórzy królowie w Indiach.

Buddyzm był tolerancyjny nawet w stosunku do konkurentów, głoszących inne wyznania. Powiedzenia, przypisywane założycielowi jego, zachowane w starych księgach należących do kanonu buddyjskiego, zadziwiają istotnie wyrozumiałością. Wójen religijnych na terenie Indii co najmniej, o ile wiadomo, buddyzm nie prowadził, możliwe nawet, że jako organizacja religijna, stojąca poza państwami, był bezbronny. Buddyści wyginęli masowo z rąk fanatycznych najeźdźców mahometańskich.

Akcentując radykalnie wyzwolenie wewnętrzne, troszcząc się zatem bądź co bądź więcej o teraźniejszość i o przyszłość niż o przeszłość, i pomijając dogmatyczną choć wieloznaczną tradycję bramińską, buddyzm przyczynił się niewątpliwie do złagodzenia obyczajów co najmniej w Indiach. W ciągu wieków

stworzył także swe utopie przyszłości, niemal odwrotne w hierarchii czasów niż w bramińskiej chronologii mitycznej, w której epoki ziemskie, zaczynając od pierwszej najlepszej, niejako złotej, stają się coraz gorsze. Dzięki odkryciu Leumana znamy utopię buddyjską, przedstawiającą ludzkość w okresie przyszłego Buddy, Buddy miłości. W tej epoce życie moralne, społeczne i materialne przepełnione jest życzliwością, zdrowiem i pięknem i tak udoskonalone, iż tylko uczucie nietrwałości i przemijania pozostałe z wszystkich ludzkich cierpień i ono jedno tylko jest pobudką wyzwolenia. Lecz przysłowie ludowe indyjskie powiada: "mamy czas, pięć tysięcy lat" i tego nieraz trzymali się i trzymają się misjonarze buddyjscy. Gorączka nawracania i propagandy jest im obca. Bądź co bądź taka cierpliwość, o ile nie staje się obojętnością, co najmniej taki brak fanatyzmu stanowi podłoże dla wyrzeczenia się środków, które kłóć się z celem, a zatem przemocy.

Także dżainiści, wyznawcy religii współczesnej buddyzmowi (a ciekawe, że przodkowie Gandhiego wyznawali tradycję dżainistyczną), szczególnie silnie, nawet radykalnie, zwracali się przeciw wszelkiemu zabijaniu istot żyjących. Prawnicy i politycy dżainiści występowali przeciw wojnie, a w szczególności przeciw nieludzkiemu i okrutnemu prowadzeniu wojny.

Wyraźniej i bardziej zdecydowanie i praktycznie przejawiają się pokrewne tendencje u zarania cywilizacji europejskiej i to właśnie w Grecji, tak różnorodnie utalentowanej w sprawach organizacji państwowej, zjawiają się dość wcześnie protesty przeciw "tymczasowemu" środkom przemocy wraz z rojeniami i traktatami o doskonałym państwie. Współczesne wojnie peloponeskiej społeczeństwo żywo zareagowało, między innymi na tak ilościowo niepozorny fakt, jak ujarzmienie i zgnicenie małej, praworządnej republiki Melos i wyniszczenie jej ludności przez Ateńczyków.

W pertraktacjach towarzyszących ultimatum ateńskiemu, które żądało poddania się bez walki i przymierza wojennego, Melijczycy — według Tukidydesa — stanowczo bronią swej neutralności: "wierzymy w los i w Boga i stoimy jako zbożni wobec niesprawiedliwych". Ateńczycy powtarzają stary argument: "nie czynimy niczego nowego, Bóg działa na umysły ludzkie, a ludzie za pomocą siły. Nie my pierwsi ustanowiliśmy to prawo, zastaliśmy je". — Także ustanowienia oświeconych tyranii na Sycylii, jako środków jedności helłeńskiej, bądź uzurpacje dynastów macedońskich przed Filipem, frapowały Greków jako zagadnienie środków.

Odpowiedzią na te niepokojące podniety jest platoński "Gorgiasz". Zawiera nawet dość wyraźną aluzję do sprawy melijskiej: co zrobić kiedy własna ojczyzna krzywdzi innych? Sposób przeprowadzenia dialogu rzuca światło na przekonania i odruchy obywateli ateńskich w V. i IV wieku przed naszą erą. Wydaje się, że Gorgiasz czytany należycie jest szczególnie sto-

sowną lekturą dla naszych czasów. Młody pisarz polski B. Miciński¹⁾, zmarły podczas wojny we Francji, nie popełnił żadnej przesady, twierdząc, że rozmowa Sokratesa z Kalliklem jest ważniejsza od rozmów, jakie przeprowadzał niedawno w Europie delegat Stanów Zjednoczonych. Pocieszymy się, długo potrwa, zanim jakikolwiek delegat państwowy będzie mógł przeprowadzić, albo zanim zechce zrozumieć taką rozmowę.

Pamiętajmy przede wszystkim, że nie jest to rozmowa pułstelników lecz dyskurs w domu ateńskiego eupatrydy Kalliklesa, u którego bawi właśnie świetny gość z zachodu, mówca i dyplomata, wytworny mistrz sukcesu, pisarz, twórca prozy greckiej, Gorgiasz, jeden z niewielu mówców, któremu postawiono pomnik w Olimpii. Co więcej, Plato wkłada w usta Sokratesowi, który przeważnie zasłania się niewiedzą, te słowa: "Zdaje się należeć do niewielu Ateńczyków, którzy umieją uprawiać prawdziwą sztukę polityczną i działać politycznie, powiem nawet, że jest jedyny ze współczesnych". Uwydatnijmy pokrótce główne momenty dialogu.

"Krzywdzić jest czymś szpetnym — twierdzi Sokrates — i jest gorsze niż doznawać krzywdy". W pierwszej części dyskusji młody retor i autor dzieła o retoryce, Polos, uczeń Gorgiasza zbija Sokratesa, powołując się na opinię ogółu: "Spytaj kogo chcesz, Sokratesie, aby zbić twe twierdzenie nie potrzeba wcale dziejów dawnych, wystarczy wskazać najnowsze zdarzenia. I dziecko by je zbiło".

Godne jednak uwagi, że w dalszej fazie dyskusji, Polos przy ciśnięty do ściany pytaniem czy sam osobiście wybrałby przecież krzywdzenie, odpowiada: "Ani ja, ani nikt inny z ludzi" sądzi, że ogół ludzi, co najmniej Hellenów, wybierze raczej mniejsze zło, tj. doznawanie krzywdy. Lecz Sokrates nie ma zaufania do głosowania ani do ankiety w sprawach prawdy. On z wieloma nie rozprawia, tylko z każdym, ale zawsze z jednym, to jest z człowiekiem. Ogół waha się i dostarcza świadków fałszywych: "głosowaniem, wielką liczbą fałszywych świadków — woła Sokrates — chcesz mnie wyrzucić z mej ojcowizny, z mej substancji, z prawdy"? Krzywdzić jest szpetnie i źle, gorzej niż być krzywdzonym. Polos ustępuje przed argumentum ad hominem.

Ale czyż to wszystko na serio? — pyta gospodarz domu światły i wytworny pan ateński Kallikles (w którym dopatrywano się osoby Alkibiadesa). Kallikles jest konsekwentnym, jasno myślącym zwolennikiem władzy silniejszego. Niejednokrotnie porównywano stanowisko Kalliklesa z Nietzschem. Czyń to także B. Miciński we wspomnianym essayu, jednak trudno się zgodzić z jego pogardliwą charakterystyką obu postaci. Może przypisać ją należy sytuacji wojennej i niemieckiej oku-

pacji, poza tym sam przyznaje, że nie ma pod ręką "Gorgiasza". Trzeba powiedzieć, że Kallikles w porównaniu z Nietzschem jest zupełnie pozbawiony słowiańsko-germańskich tęsknot religijnych czy metafizycznych i wcale nie pragnie objawić nowego ładu ani nowej religii. Nie wygłasza też twierdzeń po młodzieńczemu, aby siebie lub kogoś epatować czy zadziwiać. Raczej niecierpliwi się fantastyką Sokratesa, ostrzega go po męsku i przyjaźnie:

"Przecież to co ty twierdzisz, Sokratesie, wywraca całe nasze życie, bo z tego wynikało by, że my wszyscy czynimy coś odwrotnego niż należy. Przyznanie Polosa to tylko słabość z przyzwyczajenia, bo to jakoś nieładnie, niesympatycznie co najmniej dla Hellenów, stawać po stronie krzywdzącego. Jednak w interesie prawdy zostawmy wstydlivość na boku, trzeba być męskim i mężnym. Takie gadanie, jak twoje, Sokratesie, godne młodzianiszka albo takiego, co schlebia odruchom tłumy, który w obawie o własną skórę boi się silnych jednostek. A przecie przyjmować razy, krzywdy i cierpienia to cecha niewolnika, dla którego lepiej byłoby od razu umrzeć niż czepiać się życia. Sprawiedliwość to nie więcej jak przewaga silniejszego. Przejawia się nie tylko wśród zwierząt, także między ludźmi, a przede wszystkim w stosunkach między państwami. To prawo przyrody. Nie mam oczywiście nic przeciw temu, aby młodzianekowie zajmowali się filozofią, to miłe, bo swobodne, co więcej młodzieńcowi wolnemu nie uchodzi zbyt wcześnie stawać się dorosłym, banalnie trzeźwym, bo nie jest niewolnikiem i może sobie pozwolić na jakanie i dociekanie, na to, aby swobodnie i bez przesądów dojść do prawdy. Ale gdy ktoś dorosły wkracza w polityczną praktykę, a nadal jąka się i szuka, co więcej szeptem z młodziankami po kątach i kiwa palcem w bucie, taki nie tylko jest śmieszny, ale chyba wart kija, gdyż takiego można bezkarnie bić po głbie, a taka filozofia propaguje niemrawą i niemęską bezrozumność i miękkość, koniec końców zagładę. Nie gniewaj się więc, Sokratesie, z życzliwości ci to mówię. Daj sobie spokój z tymi subtelnościami, z chłopięcym kramem pogoni za słowami. To są bagatelki i błyskotki. Czyż nie widzisz, że to brzydko? Najwyższy czas, aby człowiek twej miary, o tak szlachetnej naturze zabrał się do działalności męskiej, realnej. Słowem, troszcz się o to co należy, bo inaczej może się zdarzyć, że ktoś cię wtrąci do więzienia i ciebie właśnie oskarży o krzywdę i zbrodnię, a ty zapomnisz języka w gębie. A będzie to oskarżyciel podły i nędzny i to chyba nie jest cechą mędrca, jeśli zginie przez takiego nędzarza, a nie potrafi pomóc ani sobie, ani przyjaciółom i bliskim. Nie o drobiazgi mi chodzi, lecz o mężów stanu, o hodowlę lwów ludzkich, o takich, którzy podepcą konwencje przeciw przyrodzie, wyzwolą siebie i innych od czarów, od zamawiań i od narkotyków i ustanowią dzielność prawdziwą. Świadcze się czynami Heraklesa".

1) B. Miciński: *Portret Kanta i trzy essaye o wojnie*. Instytut Literacki, Rzym, 1947.

Sokrates wita z radością tak jaskrawo sformułowane stanowisko przemocy pozbawione słabostek wstydu a z dodatkiem groźby jako skarb prawdziwy: Gdybym miał duszę całą ze złota, mój Kalliklesie, nie znalazłbym lepszego kamienia probierczego jak ty. Taki jak ty, mężny i męski, otwarty bez żadnych słabości i wstydu to w sam raz dla mnie — „basanos”, — kamień probierczy.

Zwróćmy uwagę na ciekawy szczegół z historii języka, że słowo „basanos” oznaczające kamień probierczy, nabiera, zwłaszcza później w literaturze chrześcijańskiej, znaczenia próbnej tortury i męczeństwa.

Długą dyskusję o męstwie i męskości i wyzwanie Kalliklesa, wysuwające sprawdzian śmierci zamyka Sokrates: „samemu umierania i śmierci nikt się nie boi, chyba ktoś zupełnie bezmyślny i niemęski. A boi się jednego tylko krzywdzenia”. Prawo przemocy, to prawo rozbójnika, niezdolnego do wspólnoty, a wspólnota jest prawem kosmicznym. Wznosząc się ponad dotychczasowe zapasy, Sokrates wypowiada pamiętne słowa: „W kim nie ma wspólnoty nie może być przyjaźni, a powiadają mędrcy, że niebo i ziemię, bogów i ludzi wspólnota wiąże i trzyma i przyjaźń, przystojność, umiar i sprawiedliwość i dlatego tę całość kosmosem nazywają, mój przyjacielu, a nie akosmia”.

Wydaje się, że śmiało i bez wstydu sformułowane „refleksje nad gwałtem” są wyzwaniem, które czeka na śmiałych.

Ze swego punktu widzenia Sokrates przekreśla całą współczesną mu politykę Aten, zarzucając, że zamiast troszczyć się o umiar i sprawiedliwość, przepełniona jest „bagatelkami i błyskotkami”, jako to: portami, dokami, flotami, murami obronnymi. Takim cięciem, godzącym w sławne dzieje Aten zamyka Sokrates wywody. Są to przeważnie wywody samego Platona, który kontynuując swego mistrza, ocenił sytuację polityczną i położenie świetnych w swoim rodzaju, ale małych i egocentrycznych państw helleńskich i rozglądał się na wszystkie strony za ratunkiem, widząc wiszącą nad Helladą katastrofę.

Dla zrozumienia „Gorgiasza” należy pamiętać, że jest on jeszcze jedną „obroną Sokratesa” tzn. jego zasad. A te dadzą się tak wyrazić pokrótce: człowiek pragnie dobra i niczego więcej oprócz dobra. Wszelako dopiero przez poznanie dobra działa dobrze i staje się dobry. Potężny zamach racjonalisty na całego człowieka! Ta postawa daje się zresztą wysledzić już u Homera, który charakter człowieka określa podług tego co człowiek „wie”. Zatem „wiedzący zbożne rzeczy” albo „wiedzący zgubne rzeczy”. Identyfikuje wiedzę z przesiągnięciem nią całego człowieka. Cały „Gorgiasz” jest przeprowadzeniem tych zasad dla spraw organizacji ludzkich, z ukazaniem konieczności kamienia probierczego, choćby nawet śmierci, jako że w Atenach dla wolnych obywateli na razie nie było tortur.

Dialog ten snuje się przez wieki, co najmniej tam, gdzie jest wolność myśli i słowa. Bo jak się okazuje doktryna przemocy także zdolna jest do pogłębienia.

U Platona Kallikles zahamowany w swej aktywności, potrosze oszołomiony fantastyką Sokratesa a koniec końców znużony, nie odpowiada właściwie już Sokratesowi. A mógłby właściwie zapytać: ale skądże bierze się ta zachwalana wspólnota? Czy z przyjaźni jedynie, z poszanowania praw, czy tylko w najlepszym razie z wygody i z bezwładności, a koniec końców, u samych podstaw, ze strachu przed wrogami, a na wewnątrz ze strachu przed karą.

Wspomnianemu essay'owi Micińskiego zawdzięczam cytaty: „Wieczorów petersburskich” De Maistre'a, dający odpowiedź tak „odważną”, że może nawet mężny Kallikles, dzięki hamulcom helleńskim, nie powtórzyłby go zbyt chętnie. Po okresie wiary w dobroć człowieka, zakończonym rewolucją, która nie tylko zniszczyła prawa nabyte, ale także przyzwyczajenia oparte na bezwładności, ci którzy byli pokonani w rewolucji, odwołując wiarę w człowieka, mieli dość czasu myśleć o tym, o czym myślą zazwyczaj na schodach wyrzuceni za drzwi, co trzeba było zrobić? Podobnie De Maistre: Odkrywa jako więź wspólnoty tajemniczą istotę, na której opiera się zarówno każdy krok i wymiar życia społecznego jak i stosunki pomiędzy państwami. Odkrywa ostatnią ramę i sankcję społeczną. Jest nią — kat. Cytuję według Micińskiego: „Wszelka wielkość, wszelka władza, wszelka dyscyplina — powiada De Maistre — opiera się na oprawcy, jest on grozą i więzią społeczeństw. Odbieracie światu tego niepojętego wykonawcę sprawiedliwości, a chaos zajmie miejsce ładu, zwalą się trony, runie społeczeństwo. Bóg, który jest twórcą władzy, jest też twórcą kary — rzucił naszą ziemię między dwa bieguny”.

Doktryna przemocy ogłoszona brutalnie jest zaraźliwa i zawsze zgubna, wszelako w tej formie, przynajmniej przez jakiś czas, wzywa do myślenia i do protestu. Zrozumiałe i nie rzadko spotykane odwracanie się plecami do gwałtu pomaga chyba tylko temu, który się odwraca i to nie na dłuższą metę. Niestety nawet człowiek tej miary co Goethe zadowolili się takim odruchem: „wszystko co gwałtowne jest mi wstrętne jako przeciwne naturze”. Może się wszakże zdarzyć, że doktryna przemocy, przyjęta świadomie, niejako oswojona i zasymlowana usypia nie tylko ogół, ale nawet jej przedstawicieli, tak jak bismarkowski pokój „w cieniu miecza”, sen w cieniu miecza.

Lecz postęp jest nieublagany. W dalszym rozwoju zjawia się przemoc zamaskowana i zasklepiona, a przy tym prężna i czujna. Diabeł przekonał się, że nie jest wcale wskazane, aby go od razu poznano. Kto głęboko oddany gwałtowi, nie potrzebuje go wcale sławić. Taktyka gwałtu, a nawet wiara w

gwałt jako "jedyną wielką położną" przybiera wiele różnorodnych masek.

Przez uszy przelewa się nam codziennie gadanina czy to o nieubłaganym przeciwieństwie między wschodem a zachodem, czy to o potrzebie porozumienia. Chwile harmonii i nadziei wyraziły się już zresztą w takich fundamentalnych aktach wspólnoty narodów, jak układ w Jałcie, albo proces i szubienice w Norymberdze. Wywody de Maistre'a błędne. W okresie konfliktu zaś każda strona zapewnia, że można by zacząć nowe życie, gdyby nie przeciwnik. Nadzieja lepszego życia ogląda się za nowym wyładowaniem w nowym światowym konflikcie, od którego ma zacząć się znów nowy świat, jak po każdym poprzednim, w nowej krucjacie. Szczęściem tęsknota do pokoju odkryła dwie nowe gwiazdy przewodnie: Monachium i Jałta. Do nich wzdychamy nieustannie, za czym świętość krucjaty niecałkiem na serio. "They do but jest, they poison in jest, no offence in the world".

Gdzież szukać w obecnej chwili fundamentów wspólnoty i jej sprawdzianu? Czyżby już tylko w obozach koncentracyjnych i komorach tortur, które — jak chcą niektórzy — legitymują nowe szlachectwo, gdyż wyzywają, budzą i sprawdzają cnotę, jako, że perswazja uchodzi za synonim bezsiły, łagodne prawo, za letnie, a cnota bez uszkodzonych kości za nieprawdopodobną lub niepewną. W jakimże świecie — długich i trwałych przyzwyczajęń, czy młodzieńczej wiary w rozum — mógł bez szyderstwa zapewnić Vauvenargues: "Pierwsze dni wiosenne nie mają tego czaru, co narodziny cnoty!"

III.

N I E

"Polityka oplata nas jak wąż — powiada Gandhi — chcę walczyć z wężem, usiłuję wprowadzić religię do polityki". Pierwszym ruchem religii wobec przemocy jest: "nie". W jednej ze swych wypowiedzi bierze w obronę Buddę i buddyzm przeciw zarzutowi negatywizmu: Wielkie "nie" było czynem twórczym Buddy. "Nie" przeciw przemijaniu bez śladu, nie — przeciw cierpieniu, nie — przeciw klatce własnego ja, nie — przeciw śmierci, a raczej ponownemu umieraniu tej samej wciąż niewyzwolonej duszy, nie — przeciw książkowej dyalektyce i przeciw uroszczeniom rytualnych reguł w sprawach zbawienia, nie — przeciw kastom i przywilejom zarozumiałych kapłanów jako jednemu wyrazowi porządku na ziemi i na niebie. We wprowadzeniu religii do polityki Gandhī zwraca się przeciw przemocy, krzywdzie i wszelkiemu uciskowi, a także przeciw katowi i strachowi jako fundamentom wspólnoty, przeciw niewoli we wszelkiej formie, przeciw pogardzie i władaniu mocą po-

gardy i w końcu przeciw odsuwaniu ducha do lamusa abstrakcji, muzeów i papierów.

Rozstrzygnięcia duchowe czyhają nań na każdym kroku: w brudnym przedziale indyjskiej trzeciej klasy kolejowej, w obliczu zarazy w sąsiednim domu, w latrynach, siedliskach zarazy, których nikt nie chce czyścić. Cel ukrywa się we wszystkich środkach, Gandhī zaczyna tam gdzie jest, gdzie my wszyscy jesteśmy, *środkami są wszystkim*, bo w nich od razu choćby częściowo ziszcza się cel. Toteż protest i walka przeciw przemocy, wyzyskowi i krzywdzie nie może zawierać ich w środkach.

Wychodząc z każdej sytuacji, która go wezwie ku temu samemu celowi, Gandhī stara się dociekać prawdy moralnej, "najogólniejszego prawa". Postępuje wszakże jak badacz, który przeprowadza "eksperymenty z prawdą" w walce z gwałtem, zatem na razie nie wysnuwa wniosków, a przeżyć swych nie uważa za ostateczne i nieomylne. Nie umieszcza moralnej prawdy w dziedzinie irracjonalnych nakazów, lecz jest raczej empirykiem niż racjonalistą, a najbardziej przeciwny jest temu, co trafnie czy nie nazwano pragmatyzmem. W swej akcji politycznej opiera się nawet bardzo pojętej wymianie usług międzypartyjnych i po prostu mówiąc wszelkim politycznym "geszefcikom", jak w wypadku poparcia przez niego i przez Indusów mahometańskiej akcji w obronie Khilifatu, odrzuca pomysły, nawet cień jego, aby zastrzec sobie wzajemian za to ze strony muzułman ochronę krowy tak ważną dla tradycji indyjskich. Nie ceduje prawdy ani naukom przyrodniczym ani nawet medycynie, do studium której zresztą w młodości miał pociąg. Odrzuca wszelką niewolę i zależność od tego co silne, także od uogólnień i doktryn, choćby miały pretensje naukowe, o ile sprzeciwiają się prawdzie moralnej. Tym bardziej odrzuca konformizm, modę i maipiarstwo. Jako poszukiwacz prawdy musi być przede wszystkim cierpliwy i pokorny, lecz przy całej skromności jest dostatecznie uzbrojony w swoje "nie". To są podstawy tego, co Indowie nazywają Satya — prawdą.

Gandhī zadziwiał swoich i obcych, także przeciwników i krytyków, konkretnym ziszczeniem swego "nie". W rezultacie ukazywał nieraz, jak białhy na pozór szczegół wiąże się z nerwem życia. Charakteryzowała go mikroskopijna praktyczność i bezwzględna czystość. Pamięć jego życia i czynów jest świeża, dlatego nie znalazł się jeszcze nikt, kto by przedstawił tę swoistą Mahabharatę, epos walki z przemocą i poszukiwanie prawdy, wyczerpująco a sugestywnie, bo wspomnienia tego długiego życia są świeże i dostatecznie jeszcze sugestywne.

Najogólniejsze wytyczne Gandhiego prowadzą do oporu także wobec prawa i państwa, o ile nakazuje i utrzymuje przemoc, niewolę i krzywdę. Opór obywatela jest prawem obywatela. Kto zrzuca się oporu, zamyka swe sumienie do więzienia,

przestaje być obywatelem i człowiekiem. Nieposłuszeństwo obywatela wobec prawa nigdy nie znajdzie ujścia w anarchii, bo do oporu ma prawo tylko ten, kto wykonywał prawa i obowiązki z nich wynikające sumiennie, nie ze strachu, lecz z lojalności obywatelskiej aż do ostatniej granicy. Opór przeciw prawu i państwu jest ostatnią bronią, której należy użyć, gdy wszystkie inne środki zawiodły. Kto chwyta się tej broni, powinien wiedzieć, że pali za sobą mosty. Sam Gandhi przyznając się przed sądem do nieposłuszeństwa wobec prawa, wydatniał, że czyni to nie z braku respektu dla praw, lecz z posłuszeństwa wobec sumienia. Opór przeciw gwałtowi i wynikłe z tego nieposłuszeństwo nie ma w sobie nic z bierności. "Bierny opór", bojkot lub strajk jest tylko początkiem; istotną cechą tego dążenia, dla którego — jak sądzi Gandhi i jego zwolennicy — nie ma granic, jest trwanie przy prawdzie, jak je nazwał jeden z jego uczniów, tworząc nowy termin, *Satya-graha*.

Swaradż jak widzieliśmy jest starym słowem wedyjskim. *Satya-graha* jest słowem nowym, lecz miało swe namaszczenie zanim je ukuto. Niejednokrotnie widzimy, także w starożytności już, jak słowo będące niejako ostatecznym aktem narodzin idei, sygnalizując nowe dążenia elektryzuje ludzi jak gdyby już ziszczało te dążenia. Wiadomo jaką potęgę miało u Izraelitów imię Boże, którego nie wymawiano, choć trudno nam sobie wyobrazić akt narodzin tego słowa. Pausaniasz w opisie Beocji opowiada, że pierwszy spośród ludzi składał ofiary boginiom wdzięku, Charytom, tak drogim Helladzie, Eteokles i on im też nadał imiona nieznane. Sam Gandhi czuł, że należy dla jego dążenia "ukuć nowe imię". Z radością powiatał je i przyjął.

Satya-graha ma zastąpić i przewyższyć bohaterstwo osiąganę przez użycie przemocy, nie tylko przewyższyć większą i trudniejszą odwagą, lecz także rozumem, co najmniej wysiłkiem w kierunku rozumienia własnych czynów. Jest ona nieustannym kamieniem probierczym, gdyż pierwszym jej warunkiem jest wyzbycie się lęku. Budzi ukryte nieme i niewidzialne siły i zdolność ofiary do tego stopnia, że wydaje się cudem.

W rzeczywistości Gandhi posiada i budzi, zarówno dla dostrzeżenia, rozniecania i związania tych ukrytych sił czysto ludzkie organy: pokorę, współczucie i ufność do ludzi. Ułatwiają mu przede wszystkim odkrywanie moralnego kontynentu i jego gleby, zakrytej tak grubymi warstwami, że nieraz zmienia się w pustynię. Gandhi pamięta zapewne bajkę Tolstoja, według której Bóg zesłał na ziemię wątpliwego anioła, na to aby poznać "czym ludzie żyją". Wie przeto, że w niepozornych dziedzinach życia ludzkiego ukrywają się prastare kroniki cnoty codziennej, kroniki męstwa a nawet bohaterstwa. Zna je każde miasteczko, każda wioska, każda rodzina. Ciche i nieśmiałe ich stronicie dadzą się nawet tam odkryć, gdzie czło-

wieka od człowieka zamurowano nienawiścią i pogardą, w obozach koncentracyjnych, jak świadczą nieraz ci, którzy je poznali.

Teksty Indyj, szczególnie buddyjskie, przepełnione są przypowieściami i wskazówkami, sławiącymi szczególnie czarodziejskie i przenikające oczy współczucia. Religia buddyjska opiera się na współczuciu, celem rozszerzenia horyzontu człowieka i dla wzniesienia ponad człowieka. Lecz dla częściowej ilustracji odkryć Gandhiego niech mi wolno będzie wskazać tekst chwilowo bardziej dostępny niż teksty buddyjskie. Mam na myśli austriackiego poetę sprzed stu lat, Adalberta Stiftera, który, jak dowiadujemy się, niedawno przełożony na angielski pozyskał poważnych i rozsądnych krytyków i zapewne takichże czytelników.

Kto rozważy przez chwilę, jakich wysiłków i niemal cudów wytrwałości i pomocy wymaga w różnych warunkach wychowanie niemowlęcia, które już swą bezbronnością od razu objawia sytuację człowieka i "czym ludzie żyją", to jest, że ludzkość powstaje i istnieje dzięki wzajemnej pomocy i kredytowi (nie mówiąc o starych podkładach przyrody i życia organicznego) ten będzie dostępny dla Credo Stiftera. Odsłania on "łagodną prawą" i pyta: cóż jest wielkie? Odpowiada: nie to co rzuca się w oczy, co oszałamia, podnieca i powala, nie epizody nagłe i awanturnicze, lecz to co choć niepozorne buduje stale. Przecież i siłę lawy przelewającej się przez krater, sygnalizuje nam kipiący na kuchence garnuszek z mlekiem. Powiew powietrza, sączenie się strumyka, zieleni pól, kołysanie się zbóż, błysk nieba i blask gwiazd są czymś większym niż piorun, bo są przejawem praw bardziej powszechnych. Obserwator niepozornej igły magnetycznej stwierdza magnetyczną burzę, powodującą drżenie całej ziemi, co może wydać się śmieszne komuś nieświadomemu, który dostrzega tylko burze bliskie i widzialne. — W swoim czasie uczony niemiecki F. R. Ratzel w pracy swej "O tym co wzniosłe w przyrodzie" przytoczył te i podobne cytaty Stiftera, wywodząc, że po stronie Stiftera stanęliby uczeni największej miary, jak Robert Mayer, odkrywca prawa energii lub geolog Lyel i przyznałby mu rację, że to co najmniejsze wymiarem ma dzieje najstarsze i znaczenie fundamentalne dla przyrody.

Stifter w swych opowiadaniach ukazuje nieustannie władanie łagodnego prawa u podstaw człowieczeństwa i jego dziejów. Przytoczmy urywek Stiftera "Z teki mego pradziada": "Jest coś wzruszającego w tych niejasnych i zazwyczaj niemych opowiadaczach, od których słyszymy dzieje pewnego domu. Ileż boleści leży w nich i zostaje nadal ukryte, pogrzebane. Jasnowłose dziecko i nowonarodzona mucha, igrająca obok niego w słońcu są ostatnimi ogniwami długiego a nieznanego łańcucha, a pierwszymi może jeszcze dłuższego, bardziej nieznanego szeregu. A przecież jest to szereg pokrewieństwa i miłości,

choć tak samotna stoi wśród nich jednostka ludzka. Dopiero gdy jej uprzętną błąd obraz, choćby ułomek, choćby pył, z tych, którzy byli przed nią, staje się wówczas o wiele mniej samotna. I jakżeż bez znaczenia są te dzieje! Siegają wstecz do dziada, do pradziada, nie opowiadają nic więcej jak o chrzcinach, weselach, pogrzebach i o zaopatrzeniu potomstwa. Ale jakżeż nieogarniony rozmiar miłości i bólu leży w tej niepozorności. Zapewne i wielkie dzieje nie zawierają ich więcej, chociaż przeciwnie, są one raczej wyblakłym obrazem tamtych, gdyż pominięły miłość, a zanotowały przelew krwi. Lecz wielki złoty prąd miłości, który przetoczył się ku nam przez tysiąclecia, przez niezliczone serca matek, żon, ojców, rodzeństwa, przyjaciół jest regułą, podczas gdy nienawiść zapisana w tysiącach ksiąg jest wyjątkiem".

Dom ojca, śluby złożone matce zapadły głęboko w duszę Gandhiego i całe to prawo łagodne, prawo natury ludzkiej były mu nieomylnym przewodnikiem i sterem. Nie zaczyna od ideologii i nie kończy nią. Satya-graha nie jest dla Riszich, dla ascetów i mędrców, lecz zaczyna się od najmniejszych praktyk i obowiązków. Gandhi dostrzega wokół siebie oazy człowieczeństwa, wskrzesza je, umacnia i rozszerza. Stwarza nowe oazy przyjaźni. Z nich wyjdą na pustynię wiertnicy nowych głębokich studzien artezyjskich. Bo Satya-graha posiadająca oczy współczucia i ufności do ludzi, a opancerzona pokorą, według słów Gandhiego, nie siedzi za piecem lecz szuka. Jest przedsiębiorcza, jest pilna ale nie spieszna. Już w młodości Gandhiewi, jako młodemu adwokatowi, przy pierwszym kroku praktyki prawniczej, pierwszym procesie, zaświtało szczęście jego życia: odnalezienie i studium lepszych stron natury człowieka. Odsłoniła mu się solidarność ludzi i ich wspólnota, przez to że "wszedł w ich serca", a darząc ich zaufaniem zyskał ich ufność, łączył ich. Istnieje powiedzenie indyjskie: co jest we wszechświecie, to jest w małym kryształ. Gandhi odwraca je: co może być w jednym człowieku, co może być w oazie przyjaźni, to może być w narodach i w ludzkości. Podobnie niemal, jak ów przyjazny ludziom malarz polski, o którym opowiada Józef Czapki: "Był się jeden przerobił..." Zaczynamy — radzi Gandhi — gdzie jesteśmy, pierwsze pobojewisko walki z gwałtem, na którym otrzymamy chrzest bojowy, będzie tam, gdzie my stoimy.

Głównym przeciwnikiem człowieka i wrogiem wspólnoty jest *Himsa*, to jest gwałt. A pierwszym krokiem do wystąpienia przeciw niemu będzie zdanie sobie sprawy, że sami ulegamy pokusom gwałtu albo stajemy się jego ofiarami dzięki strachowi, który włada nami. "Hołdowałem gwałtowi, dopóki byłem tchórzem". Swoboda od lęku — tak słusznie sławiona — to nie znaczy, aby ktoś albo świat nas nie straszył, aby nam tę swobodę zakredytowano prawem pisanym i zagwarantowano ochroną policji, tylko abyśmy wykorzenili w sobie lęk, a

nawet bojąc się, jeśli mamy do wyboru *Himsa*, to jest gwałt, albo *Ahimsa*, to jest bez-gwałt, wybrali to ostatnie. Bo nie ma podatniejszego wierzchowca dla tyranów i tyranii niż lęk.

Gandhi jest, jak zapewnia, z tej samej kruchej gliny co każdy inny słabeusz, jest istotą słabą i ułomną, jak to ciągle podkreśla, a tylko "*nie*" przeciw gwałtowi, wykwitłe z wiedzy o tym "czym ludzie żyją" i służba tej wiedzy, chroni go od lęku i gwałtu. Lecz pokora nie oznacza wcale rezygnacji, przeciwnie — zadanie i otuchę bojową, nie jest także widowiskiem i nie jest mgławicą osłaniającą nie wiadomo co, przeciwnie — dzięki precyzji i praktyczności ma ułatwić zdanie sobie sprawy z naszych klęsk i osiągnięć. Gandhi przyznaje, że błędził często i długo, lecz walczył zawsze i że zмага się, korzystając z doświadczeń swoich i obcych. Ukazując otwarcie wewnętrzną walkę i przeprowadzając wciąż jej bilans, porywa innych, wzbudzając przeświadczenie, że człowiek słaby nie zawsze musi pozostać słabym.

Pokora Satya-grahy nie jest formułą ani przepisem. Zakładając *Aśram*, swą szkołę-pustelnię Satya-graha — Gandhi rozmyślnie nie wprowadził ślubu pokory, sądząc, że ślubowana pokora przestaje być pokorą. Już we wczesnym okresie działalności Gandhiego, jego rodacy, także starsi odcień, nazywają go bratem, nieco później ojcem, aż wreszcie na wielkim obszarze Indii rzesze ludności chyliły się przed nim jako przed Mahatmą, tj. wielką duszą. Gandhi nadal ostrzega, że nie jest ani świętym, ani ascetą, że nie posiada żadnych ukrytych i tajemniczych sił, jest z ziemi, całkowicie ziemski i każdy inny może dojść do tego samego co on. "Pokora — według nieoczekiwanego wyrażenia Nietzschego — ma najtwardszą skórę". Zabezpiecza zatem dążenie Gandhiego, tak iż nigdy nie zawiśnie w pustce. "Zwycięstwa człowieka, który sam siebie pokonał — mówi Budda — nawet Bóg nie może zamienić w klęskę". Nikt i nic nie może zmusić Gandhiego do zrzucenia swej skóry. Przypomina to nam tradycję polskich chasydów o rabinie cadyku, czyli sprawiedliwym: "Jeśli sam Mesjasz przyjdzie i powie mi: ty jesteś lepszy od innych, odpowiem mu na to — ty nie jesteś Mesjaszem".

Toteż nigdy nie szuka Gandhi ucieczki do Boga przez furtkę rozpaczcy z powodu podłości i nicości człowieka. Nie "ucieczkę" zaleca, lecz dążenie, by Bóg był obecny w każdym czynie i oddechu człowieka. Nie uzurpuje sobie pokory pysznej, demaskującej i nicującej, która jak gdyby sądzi, że im więcej wtrąci w błoto człowieczeństwo i wszelkie boże stworzenie, tym skuteczniej wzniesie się do Absolutu, jak gdyby skąpcy szukali sobie odwetu, że nie dają nic ludziom i światu. Niestety, w naszym otoczeniu obecnie uważa się czasem za uprzywilejowaną — jako jedyny i ostatni sygnał do wsiadania na okręty wiary — głos rozpaczcy: "Gwałtu, cywilizacja upada, chrońmy się pod skrzydła religii, ostatnie dzwonięcie!" — Gandhi miał

dla tych protestantów angielskich, którzy go szczerze chcieli nawrócić, a którym zresztą zawdzięczał nieskończenie wiele pobudek, odpowiedź nie pozbawioną pewnej dumy: nie pragnę zbawienia od skutków grzechu, tj. od potępienia i śmierci wiecznej, pragnę wybawienia od grzechu i pragnienia grzechu.

Satya-grahi¹⁾ okazuje nieustanne zaufanie także przeciwnikom, choćby go nawet zawiedli wielokrotnie. W oczach wielu poczynania Gandhiego są często łatwowierne. Nie przeczy zresztą temu sam, korygując się nieustannie, ale tylko w tym sensie, że nie należy się nigdy odurzać ani ludzi łatwymi sukcesami, więc tylko ta strona ufnosci do ludzi zasługuje na potępienie. W zasadzie, zaufanie do ludzi to wielkie ryzyko frontowego ataku na człowieka, celem porwania go. Satya-graha i ten kto ją wykonuje musi ponieść skutki tego ryzyka. Nie sądząc, aby był lepszy od innych, wierzy, że inni zdobędą się na to samo. "Niech setki podobnych mnie zginą, prawda przeżyje". Zdolność cierpienia tego, który związał się z Satya-grahą, nie ma granic ani w trwaniu, ani w rozmiarach. Ahimsa (bez-gwałt) jest pierwszym aktem wiary mej i pozostanie ostatnim — mówi Gandhi.

(C. d. n.)

Stanisław VINCENZ.

1) Satya-grahi — wyznawca idei Satyagraha.

PRZEDSTAWICIELEM KULTURY

I INSTYTUTU LITERACKIEGO

NA W. BRYTANIĘ JEST

„GRYF” Publications Ltd.

169/171, Battersea Church Road, London S.W.11

Tel. BAttersea 0879

We wszelkich sprawach związanych z prenumeratą „Kultury”, zamówieniami książek itp., prosimy zwracać się do wymienionej firmy

Dziennik podróży do Niemiec-1951

1.

Bern, 15 czerwca.

Niemcy zachodnie zdają się być w tym roku najmłodniejszym ośrodkiem ruchu turystycznego. Berneński Permit Office wydaje po kilkaset wiz dziennie. Za kilka dni funkcje jego przejęte zostaną przez świeżo otwarty w Zurychu niemiecki konsulat generalny. Dawniej podanie o wizę wymagało obszernego umotywowania. Często nie pomagało i to i należało się uciekać do różnych protekcji. Dziś formalności są uproszczone. Kwestionariusz zawiera kilka łatwych pytań. Jako motyw podróży wystarczy napisać: turystyka. Wizę otrzymuje się nazajutrz.

Tym razem będę więc podróżował po Niemczech w tłumie turystów jadących częściowo w własnych samochodach.

Odrodzenie europejskiego ruchu turystycznego miało kilka etapów. Pierwszym krajem, który po 1945 zaczął przyciągać turystów, by Szwajcaria, kraj nietknięty przez wojnę. Przyjeźdźni mieli w nim możliwość spędzenia chociażby kilku dni w warunkach przedwojennych, bez kartek żywnościowych i kuponów na tkaniny. Pobyt w Szwajcarii był podróżą wstecz do dawnych, zamożnych czasów, do życia względnie wolnego. Obcy gotowi byli płacić drogo za te chwile złudzenia. Później przyszła kolej na Włochy, klasyczny kraj turystyki, również mało zniszczony przez wojnę, potem na Francję i Austrię.

Różnice poziomu cen zdają się grać niewielką rolę w tych sezonowych migracjach zamożniejszych Europejczyków. Masowe przyjazdy turystów następowały zazwyczaj po wyrównaniu się cen do poziomu innych krajów. Wielki napływ podróżnych do Niemiec zaczął się również z chwilą, kiedy koszty pobytu w tym kraju stały się równie wysokie jak w Francji i Włoszech. Ruch ten jest dwustronny. Od kiedy marka niemiecka stała się równa frankowi szwajcarskiemu, wielu Niemców przyjeżdża do Szwajcarii. Spędzali tu wakacje prezydent Republiki Niemieckiej, prof. Heuss, i szef rządu, Konrad Adenauer.

Po długim okresie zamkniętych granic Europejczycy zaczynają znów poznawać swój kontynent lub raczej jego część zachodnią. Być może będzie to wstępnym krokiem do wytworzenia się poczucia solidarności europejskiej. Nie przeceniajmy jednak skutków nowoczesnej turystyki. Wagony, autokary, hotele, przewodnicy i inne narzędzia przemysłu turystycznego

izolują przyjezdnych od ludności miejscowej, nie zostawiając miejsca na żadne kontakty osobiste. Zresztą w krajach starej turystyki ani ludność miejscowa ani przyjezdni tych kontaktów na pozór zupełnie nie pragną.

Bern, 19 czerwca.

Przed odjazdem robię małe zakupy w pobliskim kiosku. Jego włoski właściciel zdobywał przed 30 laty Tripolis, dziś z pogodnym sceptycyzmem patrzy na świat z perspektywy swego kiosku, nucąc arie z "Il barbiere di Sevilla".

— Ach, ci Niemcy, powiada. Poznać ich więcej nie można. Nigdy jeszcze nie byli tak uprzejmi. Nawet po pierwszej wojnie światowej uważali, że wszystko jest tu zbyt drogie, i że w Szwajcarii nie ma żadnego porządku. Dziś płacą, nie nie mówią, uśmiechają się. Skąd ta zmiana? Czy z powodu przegranej wojny? Czy może sprzykrzyło się im być takimi jak przedtem? Nie można odgadnąć, nie można...

Monachium, 20 czerwca.

Wskazówka dla podróżnych. W ciągu ostatnich dwóch lat w Niemczech zbudowano i odnowiono wiele hotelów. Znalezione odpowiedniego mieszkania jest nadto ułatwione przez instytucję powstałą w latach powojennych trudności mieszkaniowych. W każdym mianowicie większym mieście niemieckim koło dworca kolejowego znajduje się kiosk z napisem: Zimmernachweis. W okienku siedzi zazwyczaj młody człowiek typu "social worker", rozumiejący różnorodność potrzeb mieszkaniowych i posiadający obszerną listę pokoi w hotelach, pensjonatach i u osób prywatnych. Przyjezdny wyjaśnia mu, jakie zajęcia sprowadziły go do miasta i ile pieniędzy przeznaczą na mieszkanie, wzamian za co otrzymuje kartkę na pokój dość dokładnie odpowiadający jego wymaganiom. Podróżnym zmuszonym do oszczędności w wydatkach Zimmernachweis oddaje nieocenione usługi.

Pierwszy kontakt z śródmieściem. W ciągu ostatnich dwóch lat odbudowa miasta zrobiła wielkie postępy. W 1945 między Karlsplatzem i ratuszem stały same ruiny i stosy gruzów. Dziś cała Kaufingerstrasse posiada z obu stron jednolity front domów. Jeden tylko większy budynek świeci jeszcze próżnią okien. Domy, w których ocalały ściany zewnętrzne, wypełniono konstrukcjami z żelazo-betonu, oczyszczając jednocześnie fasady z wykuszów i gzymsów szpecących większość budynków niemieckich z końca XIX wieku. Odbudowane w ten sposób domy mają wygląd prosty, lecz szlachetny. Na miejscu domów zburzonych do fundamentów postawiono wzdłuż frontu ulicy tymczasowe budynki jednopiętrowe mieszczące sklepy, restauracje, kawiarnie. Za tym frontem widać w wielu miejscach puste place, świeżo oczyszczone z gruzów.

Odbudowa polega w znacznej mierze na uzupełnianiu brakujących części budynków. W moim hotelu wybuch bomby zniósł wyższe piętra. Schody i podłogi niższych pięter są jeszcze czarne od pożaru. Wyższe piętra odbudowano w roku ubiegłym.

Tempo odbudowy zwolniło się w ostatnim roku z powodu braku kredytów. W śródmieściu nie widać niemal wcale rusztowań świadczących o nowych robotach.

21 czerwca.

Ranek jest ciepły i pogodny. Korzystam zeń dla obejścia dzielnic dawnych rezydencji i muzeów, będącej niegdyś najbardziej charakterystyczną częścią miasta.

Od strony Schwabingu, gdzie stały dawniej główne muzea, zniszczenia wydają się największe. W 1945 cała ta dzielnica była pusta, niezamieszkała. Nawet w południe nie widać w niej było przechodniów. I dziś, po naprawie wielu domów mieszkalnych, dzielnica ta wykazuje największe zniszczenia. Ulice biegnące niegdyś wśród nieprzerwanych frontów kamienic przecinają teraz łąki i trawniki pozostałe po uprzątnięciu gruzów. Z obu pinakotek pozostały stojące samotnie mury zewnętrzne. Sławna niegdyś akademія sztuk pięknych jest długą, czarną od sadzy fasadą, tonącą w zieleni dziczych krzewów.

Latem zieleń drzew łagodzi brutalność ruin. Na Karolinenplatz czarna iglica obelisku oparła się naciskowi powietrza, który zburzył otaczające wille. Czytam napis na jej podstawie: 1832, pamięci trzydziestu tysięcy żołnierzy bawarskich poległych w Rosji. Wspomnienie z udziału wojsk bawarskich w kampanii 1812. Wielu obywateli Bawarii poległo w Rosji w 1914-1917? Jeszcze więcej ich musiało polec tam pod rozkazami Hitlera. Czarny obelisk wywołuje w pamięci aktualny obraz: równinę rosyjską, pochłaniającą młodzież niemiecką. Wynik trzech pochodów na Moskwę: okupacja rosyjska Berlina, Drezna, Wejmaru i niejasna perspektywa nowego konfliktu z jeszcze bardziej niejasnym wynikiem, prowadzącym być może tylko do odroczenia następnej wojny. Na pobliskim murze czytam napis: "ohne uns". Napisy te, zresztą nieliczne, są odpowiedzią na propagandę za ponownym uzbrojeniem Niemiec.

Leżąca bliżej Isary część śródmieścia, jest lepiej zachowana. Monumentalna Ludwigstrasse jest niemal w całości odbudowana i odnowiona. Jedynie gmachy uniwersytetu i biblioteki, naśladujące pałace weneckie, są w ruinie. Odarte z tynku mury broczą czerwienią cegieł. W tym samym stanie znajduje się rokokowa Rezydencja i wielki teatr. Dokoła budynków tych widać rusztowania i ślady robót dążących do ich zabezpieczenia i późniejszej odbudowy. W księgarni dowiaduję się, że władze okupacyjne zabroniły fotografowania ruin. W handlu

znajdują się tylko pocztówki przedwojenne, przedstawiające miasto przed bombardowaniem.

Dokoła uniwersytetu przechadzają się lub siedzą na gruzach grupy studentów. Nieco dalej spotykam również dwóch profesorów. Wszyscy mieszkają w dzielnicach odległych od śródmieścia i godziny wolne od wykładów spędzają na ulicy.

Z rozmowy ze studentami dowiaduję się, że budynki uniwersytetu i biblioteki są w remoncie i nie posiadają w tej chwili sal, w których studenci mogliby pracować w przerwach między wykładami. Objasniają mi, że odbudowa tych gmachów posuwa się powoli z powodu kampanii prowadzonej w prasie przeciw odbudowie budynków monumentalnych dopóki trwa brak domów mieszkalnych i część ludności mieszka w barakach. Dla tej przyczyny odkładana jest wciąż odbudowa teatru, muzeów i sal koncertowych. Koncerty symfoniczne odbywają się w auli uniwersytetu lub w Deutsches Museum.

Sądząc z wyglądu dzielnic ekscentrycznych, mniej dotkniętych przez bombardowania, odbudowa ich jest już daleko posunięta. Ostry kryzys mieszkaniowy został w znacznej części przewyciężony. O ile wiem, w barakach mieszkają jedynie napływający z zony wschodniej uchodźcy. Przy odbudowie wszystkich zburzonych miast powstaje zapewne dylemat: czy budować naprzód bloki mieszkaniowe czy też uniwersytety, szkoły, biblioteki, muzea, teatry, słowem to co stanowiło sens i treść życia miast przed ich zburzeniem. Trudno sobie wyobrazić życie milionowego miasta złożonego z samych tylko bloków mieszkaniowych, bez teatrów i muzeów. Być może jednak tak będzie wyglądała za kilkadziesiąt lat część miast europejskich.

Przy Leopoldstrasse, na skrzyżowaniu dwóch ruchliwych ulic, widzę szkołę w prymitywnym baraku, ustawionym na fundamentach zburzonej kamienicy. Kilkunastoletnie dziewczynki siedzą stłoczone w ławkach. Nauczyciel i uczennice muszą krzyżować, aby przemóc hałas uliczny wdzierający się przez otwarte okna. Barak ten stoi w eleganckiej niegdyś dzielnicy, pośród odnowionych i zamożnie wyglądających domów mieszkalnych.

Aby ocenić ten obraz, należało by oczywiście wiedzieć co i jak jest w tej szkole nauczane. Wiele sławnych szkół nie miało w swych początkach lepszych pomieszczeń. Sokrates nauczał w cieniu platanu. Notuję ten szczegół jako przykład nierównomierności odbudowy.

Nie mało trudności następczą także przepisy prawne. W Niemczech właściciele zniszczonych budynków zachowują swe prawa do terenu, na którym stały ich domy. Także lokatorzy zachowują prawa wynikłe z kontraktów najmu w nieistniejących dziś budynkach. Przebiecie ulic nowych lub rozszerzenie istniejących, ułatwione przez zniknięcie zabudowań, następcza zagadnienia prawne i finansowe przechodzące możliwości zarządów miast. Dla tych przyczyn miasto odbudowuje się,

dom za domem, dokładnie tak jak wyglądało przed wojną, mało licząc się ze zwiększeniem ruchu ulicznego.

Max Frisch, szwajcarski architekt, który zwiedzał Warszawę w 1947, notuje w swym dzienniku, że cały obszar miejski został tam uznany po wojnie za grunt państwowy, wolny od serwitutów. Frisch uważa tę decyzję za genialną. Mimo swobody zostawionej w ten sposób urbanistom i architektom, odbudowa Warszawy poszła również w kierunku odtworzenia dawnego miasta. Z warszawskich pism ilustrowanych wiemy, że wiele starych budynków wzniesiono na nowo, naśladując najdokładniej ich wygląd pierwotny. Rys ten zdaje się więc być wspólny wszystkim próbom odbudowy miast zniszczonych przez ostatnią wojnę, niezależnie od wszystkich innych warunków.

22 czerwca.

Ogromny ruch uliczny w śródmieściu. Nigdy jeszcze na ulicach Monachium nie widziano tylu samochodów. Są to przeważnie tanie Volkswagen, lecz obok nich widać też wiele wozów amerykańskich i ciężarówek armii okupacyjnej. Ostrożnie przy przechodzeniu ulic! Nigdzie zapewne nie ma tylu lekkomyślnych kierowców. Dziś z rana widziałem już dwa zderzenia, zresztą oba bez ofiar. Z gazety dowiaduję się, że w Monachium co 7 minut ma miejsce jeden wypadek samochodowy. Co chwila widać śpieszące karetki sanitarne i wozy policyjne. Przejście przez Karlsplatz zwane Stachusem, gdzie zbiega się pięć ruchliwych ulic, wymaga więcej czasu i uwagi niż przejście przez place de la Concorde o 5-ej po południu.

W dzielnicy handlowej panuje równie ożywiony ruch pieszy. Wzdłuż wystaw sklepowych ciągną tysiące przechodniów, ubranych na nowo w kilka standaryzowanych typów odzieży, wartych osobnego studium. Wielu zatrzymuje się przed witrynami, badając wzrost i wahania się cen.

Już w latach międzywojennych było w Niemczech wiele magazynów uniwersalnych, sprzedających wszystkie rodzaje towarów, od artykułów spożywczych do książek i motocykli. Liczba ich musiała wzrosnąć w latach ostatnich, bo widać je wszędzie, nieraz po kilka na jednej ulicy. Witryny przytłaczają patrzącego masą i różnorodnością wystawionych towarów, jak gdyby mówiły: wszystkiego jest dziś w bród!

Po 10 latach racjonowania i głodu towarowego przechodnie zdają się patrzeć z przyjemnością na okna wypełnione aż do sufitu wszelkiego rodzaju towarami. Przed 5 laty wielu z nich nie posiadało nic poza zawartością chudego plecaka. Od tamtych lat wielu wróciło do posiadania własnego mieszkania, które należało od dołu do góry wyekwipować. Można stąd wnosić o chłonności, w ostatnich latach, niemieckiego rynku wewnętrznego. Rozczarowani tylu kolejnymi inflacjami, Niemcy przestali oszczędzać. Wiele przedmiotów można znów kupić na spłaty.

Rynek wewnętrzny niemiecki przechodzi obecnie swój pierwszy kryzys powojenny. W ostatnich miesiącach w Niemczech — podobnie jak w całej Europie zachodniej — nastąpiła znaczna wyżka cen, nakazująca ostrożność w zakupach. Wielu stoi dziś przed witrynami sklepów, lecz kupujących jest mało. Ceny, które widzę w oknach odpowiadają mniej więcej poziomowi cen w Szwajcarii i Francji. Stan ten wywołuje pewne niezadowolenie. Słyszę różne refleksje, jak np.: "W zonie sowieckiej są pieniądze, ale nie ma towarów; u nas są towary, ale nikt nie ma pieniędzy. Jedno warte drugiego". Po nasyceniu rynku wewnętrznego, Niemcy mają nadmiar produkcji i mogą znów eksportować. Od kilku miesięcy posiadają dodatni bilans handlowy.

W obrazie zaczynającego się zastoju wyjątek stanowią sklepy spożywcze, które zamiast przedwojennej nazwy "Delikatesen" noszą dziś szyldy z napisem "Feinkost". Tu również uderza ilość i różnorodność towarów, ale ceny ich wynoszą za ledwie połowę cen szwajcarskich lub francuskich. Droższe są tylko kawa, herbata i papierosy.

Jedynym towarem, którego brak daje się odczuwać, jest papier. Nawet wielkie sklepy sprzedają papier listowy tylko w ograniczonej ilości.

Równie wielkie ożywienie jak przed sklepami panuje w niezliczonych restauracjach i kawiarniach śródmieścia. Jedzenie jest w nich przeważnie tanie: śniadanie lub obiad z trzech dań kosztuje 2 do 2 i pół marki. Restauracje ofiarowujące podobny wysiłek za 5 marek posiadają równie żywą frekwencję.

Niemcy nie przerywają pracy w południe. Już podczas poprzedniego pobytu w Niemczech widziałem, że w firmach wydawniczych, w redakcjach dzienników itd. o 12-ej każdemu — od naczelnego dyrektora do najniższego urzędnika — stawiano na stole ten sam skromny posiłek, najczęściej talerz jarzyn. Zwyczaj ten był nowy, nieznanym z lat przedwojennych. Mówi on wiele o tym, co Niemcy nazywają "das deutsche Arbeitswunder" — niemiecki cud pracy. Będę zapewne nie raz jeszcze wracał do tego tematu.

I dziś również nie ma przerwy obiadowej. Ruch w restauracjach tłumaczy się odległością dzielnic ekscentrycznych i ilością osób zatrudnionych częściowo lub nieregularnie. Kto nie zdążył załatwić swych spraw w śródmieściu przed południem, temu nie opłaca się tracić godziny lub dwóch czasu na powrót do domu i ponowny przyjazd do miasta.

Istnieje też nowa warstwa osób zamożnych i mało zajętych. Po południu w cukierniach widać setki pań pijących herbatę i jedzących ciastka. Te ostatnie są maszynowe, imponujące rozmiarem, zdające się mówić: "Głodnych tu więcej nie ma!". Być może po latach racjonowania i niedożywienia Niemcy odczuwają potrzebę takich zewnętrznych znamion dosytu. Mi-

mo rozmiarów ciastek większość kobiet zachowuje nadal szczupłą sylwetkę.

W restauracjach i kawiarniach śródmieścia spotyka się wielu żołnierzy amerykańskich. Częściowo są to weterani ostatniej wojny, umiejący grać w morę i opowiadający anegdoty z kampanii włoskiej i afrykańskiej, przeważają jednak chłopcy zupełnie młodzi. Wielu z nich w sposób widoczny czuje się źle na obczyźnie. Niektórzy piją z nudów, ale i po pijanemu zachowują się poprawnie. Wieczorem każdy z nich wychodzi na miasto ze swą niemiecką Gretchen. Te ostatnie zdają się grać ważną rolę w procesie osławiania obcych żołnierzy i nadawania rodzinnym pozorów śmiertelnej nudzie garnizonów okupacyjnych.

Żołnierze amerykańscy zdają się stanowić najlepszą klientelę kawiarni i restauracji monachijskich, gdzie zwracają ludności część opłacanych przez rząd niemiecki kosztów okupacji.

Ogromny ruch śródmieścia z jego handlem i niezliczonymi zakładami gastronomicznymi robi wrażenie czegoś tymczasowego, powstałego z chwilowej koniunktury, częściowo fikcyjnego i niestałego. Wrażenie to odpowiada zresztą obecnemu położeniu Niemiec i Europy.

23 czerwca.

Wczoraj wieczorem byłem w Prinzregententheater na wznowieniu "Ariadne auf Naxos", którą po raz pierwszy słyszałem w Monachium w 1912 r. pod batutą Bruno Waltera. W tymże roku słyszałem po raz pierwszy także "Elektrę", "Salome" i "Rosenkavaliera", który już wówczas wydał mi się mniej ambitny od dwóch poprzednich oper Straussa. Opery te słyszałem wielokrotnie w latach późniejszych, zawsze z jednakowym zainteresowaniem, jakkolwiek od 1912 ubyło mi trochę wrażliwości, przybyło natomiast wiele krytycyzmu.

W odróżnieniu od trzech nazwanych wyżej oper, "Ariadne" w ciągu 39 lat utraciła większą część swego uroku. Słyszałem ją wczoraj w nowej, nieznanej mi i nie bardzo szczęśliwej wersji. O ile mnie pamięć nie myli, w 1912 słyszałem "Ariadne" łącznie z molierowskim "Le bourgeois gentilhomme", do którego Strauss dorobił lekki komentarz muzyczny. Bohater Mollera zamawia u poety i kompozytora operę i w końcu sztuki zasiada ze swymi gośćmi przed wzniesioną na scenie miniaturą teatru, w którym jest grana "Ariadne", krótki szkic operowy trwający około 40 minut.

W tej oprawie "Ariadne", napisana na zamówienie sprzed dwóch i pół wieków, ze swymi sopranowymi fantazjami, była kosztownym, barokowym żartem mieszcza-szlacheckiego.

Wersja, którą słyszałem wczoraj, jest nieco inna. Zamiast komedii Mollera pierwszą część opery stanowił napisany widocznie później rodzaj obszernego prologu, o muzyce barokowej lecz ciężkiej, szytej grubym ścięciem. Z tym wstępem "Ariadne"

ne" pretenduje do kształtów monumentalnych, których jej brak. Całość zostawiła mi wrażenie rzeczy nieudanej, zlepionej z różnych nie pasujących do siebie części.

Nie mniej od muzyki interesowali mnie jej słuchacze. Prinzregententheater liczy koło tysiąca krzeseł ustawionych na jednej pochyłej płaszczyźnie. Z każdego jej miejsca widać całą scenę, i akustyka sali jest doskonała. Teatr był niemal całkowicie wyprzedany. Publiczność uderzała swą różnorodnością. Było wśród niej trochę osób starszych, dawnych bywalców opery monachijskiej, większość składała się jednak z osób na pozor zupełnie nowych, mało obytych z sofistyką teatrów operowych. W ostatnich rzędach siedzieli uczniowie szkół muzycznych, którzy w końcu wieczoru zrobili wielką owację dyrygentowi. Jeden z nich objaśnił mi, że dyrygent, Georg Solti, jest zagrożony dymisją przez burokratów, i muzyczna część publiczności protestuje w ten sposób przeciw przemocy administracji w rzeczach sztuki. Wtajemniczeni w te sprawy musieli być jednak nieliczni, bo siedząca w niższych rzędach publiczność zdawała się nie wiedzieć o co chodzi. Z wieczoru tego wyniosłem wrażenie, że życie muzyczne Monachium znajduje się w fazie przejściowej i nieprzejrzystej. Dla znalezienia drogi w tym chaosie widzę następujące punkty orientacyjne.

Monachium posiada dobre tradycje muzyczne. Przed 40 laty miało jeden z najlepszych w Niemczech teatr operowy, bardzo dobrą orkiestrę i akademię muzyczną, na której czele stał Max Reger, kompozytor niezwyklej wiedzy i subtelności, oryginalnego talentu. Pod wpływem tych czynników miasto doszło do posiadania publiczności muzycznej, licznej zarówno w grupie znawców jak w grupie profanów, o gustach nieco konserwatywnych lecz otwartych także dla nowinek.

Od tamtych czasów miasto przeszło przez całą serię wstrząsów społecznych i politycznych: republikę socjalistyczną Kurta Eisnera, zdobycie miasta przez Reichswehrę i pogrom inteligencji, rządy katolicko-konserwatywne, pierwszy pucz Hitlera, dalszy ciąg rządów konserwatywnych i objęcie władzy przez "partię". W wyniku tych wypadków już w 1925 widziałem Monachium ponure, bez księgarni, bez kawiarni i bez inteligencji.

Z przewrotów tych wyszły całe gmachy teatrów, sale koncertowe i łatwe do skompletowania zespoły muzyków zawodowych. Największe luki powstały w szeregach wykształconej publiczności. Z poprzedniego okresu pozostał tylko zwyczaj chodzenia do teatru i na koncerty jako tradycyjna rozrywka wyższych sfer towarzyskich, naśladowanych w tym przez warstwy nowe, wyszłe z wstrząsów i przewrotów. Była to więc w znacznej mierze publiczność instytucyjna, przywiązana raczej do murów teatrów i sal koncertowych niż do nowych dla niej spraw sztuki.

Okres hitlerowski zdekompletował zespoły artystów, których

część wyszła na emigrację. Bombardowania i pożary zniszczyły budynki i rozproszyły publiczność instytucyjną.

W odbudowanych wreszcie nielicznych lokalach poświęconych muzyce gromadzą się dziś znawcy i resztki publiczności instytucyjnej. Stąd przypadkowy i mieszały charakter słuchaczy, których widziałem w Prinzregententheater.

Jaki rodzaj muzyki potrafi przyciągnąć i utrzymać tę publiczność, także w chudych latach kryzysów gospodarczych? Obawiam się, że na razie potrafi to tylko tradycyjna w Niemczech muzyka romantyczna, liryczna, upajająca jak wódka i likiery. Dopóki sale koncertowe są nieliczne i improwizowane mogące pomieścić najwyżej kilkaset osób, liczba znawców, dostępnych także dla muzyki nowej, jest wśród słuchaczy niezwykle wielka. W miarę odbudowy sal koncertowych i wzrostu ich frekwencji konserwatywne gusty publiczności będą się coraz silniej zaznaczały. W kraju posiadającym tyle szkół muzycznych ewolucja publiczności może dostarczyć wielu niespodzianek, na razie jednak nie widzę w Niemczech wielu słuchaczy wrażliwych na chłodny ogień muzyki współczesnej. Z Schönberga zostaną być może w repertuarze niemieckim tylko "Gurrelieder". Wątpię, aby "Pierrot lunaire" mógł dziś zgromadzić w Monachium większą ilość słuchaczy. Być może uda się wprowadzić do repertuarów niemieckich Strawińskiego, ale w najbliższych latach nie znajdą zapewne w Niemczech swej publiczności ani Frank Martin, ani Bela Bartok, ani nawet Britten i Bohuslav Martinu. W drodze podobnej ewolucji publiczności Niemcy dzisiejsze stały się dla muzyki współczesnej równie niedostępne jak Związek Sowiecki. Fakt ten i jego społeczne przesłanki zasługiwałyby na bliższe rozpatrzenie zanim świat zachodni utraci swą substancję. Zagadnieniu temu poświęciłbym chętnie rok pracy, gdybym miał do tego warunki.

Na murach miasta rozklejono właśnie program letniego festiwalu muzycznego i koncertów symfonicznych na sezon zimowy. Programy te są równie konserwatywne jak programy dorocznych festiwalów w Lucernie i Salzburgu. Od pół wieku towarzystwa koncertów symfonicznych ofiarowują słuchaczom to samo menu, w którym plat de résistance stanowi niemiecka muzyka romantyczna. Jedyną koncesją jest poświęcenie na rok kilku punktów programu kompozytorom lokalnym. W ostatnich latach mówiono wiele o oderwaniu się dzisiejszych kompozytorów od słuchaczy. Zjawisko to zdaje się polegać nie tyle na ezoteryzmie kompozytorów ile na ślepych i głuchym zasklepieniu się w przeszłości towarzystw muzycznych, władz miejskich i decydującej o rozgłosie i sławie części publiczności.

Z dziedziny psychologii publiczności instytucyjnej chciałbym zanotować szczegół, który uderzył mnie dziś przed południem. Opera na Max Joseph-Platz jest monumentalną ruiną, stojącą w czerwieni cegieł, z dawnej Tonhalle zostały tylko fragmenty murów zewnętrznych. Mimo to programy i obwieszcze-

nia dotyczące przedstawień operowych wywieszane są na ruinach dawnego teatru, wszystkie zaś wiadomości o koncertach symfonicznych umieszczone są na żalonym murze Tonhalle. Tam widocznie szuka ich starym zwyczajem publiczność przywiązana do miejsca, w którym odbywały się niegdyś misteria sztuki.

24 czerwca.

Blaski i cienie regionalizmu. Nigdy przedtem nie noszono w Monachium tytu "Trachten", czy strojów ludowych. Znaczna część przechodniów — na niektórych ulicach połowa — nosi bawarski strój składający się z bardzo krótkich skórzanych shortów, szerokich skórzanych szelek i białej koszuli. W 1912 stroje te były rzadkie w mieście; widywałem je raczej na wsi. Portki noszono wówczas nieco dłuższe, do kolan, gdy dziś sięgają tylko do pół uda.

Powrót do strojów ludowych, do afiszowania oznak przynależności szczepowej czy regionalnej zdaje się mieć dwa aspekty. Z jednej strony jest to być może pozostałość po emblematkach i sztandarach modnych w czasach Trzeciej Rzeszy. Z drugiej strony jest w tym zjawisku także coś nowego. Odradzanie się z katastrofy świata germańskiego odbywa się nie centralnie, lecz od najstarszych, regionalnych ośrodków cywilizacji. Stąd renesans regionalizmu w jego różnych przejawach i skutkach.

Po próbach unifikacji i niwelacji Niemiec, obecny podział na Länder o spornych i niejasnych granicach nie jest bynajmniej fikcyjny. Najlepiej świadczy o tym fakt, że Niemiec chcący zmienić miejsce pobytu i zamieszkać w sąsiednim kraju niemieckim jest w nim traktowany niemal jak obcy i może mieć wielkie trudności w uzyskaniu prawa osiedlenia. Podobne ograniczenia prawa zamieszkania dla własnych obywateli istnieją zresztą od kilkunastu lat także w Szwajcarii. Po dwóch mniej więcej stuleciach swobody poruszania się Europejczycy wracają do wzorów średniowiecznych, kiedy podróży płacić myto na granicy każdej gminy.

Bardziej jeszcze uderza parcelacja życia kulturalnego. W 1949 miałem wrażenie, że zjawisko to jest przemijającym skutkiem podziału na zony i braku komunikacji. Dziś z różnych szczegółów wnoszę, że chodzi tu o trwalsze zjawisko.

Wiosną już słyszałem w Paryżu, że w ostatniej dekadzie czerwca odbędzie się w Frankfurcie międzynarodowy festiwal muzyki współczesnej, zorganizowany przez Radio heskie. Nie wziąłem wówczas ofiarowanego mi prospektu, sądząc, że w Monachium znajdę łatwo szczegółowy program festiwalu. Okazało się, że byłem w błędzie. Ani sklepy z muzykaliami, ani redakcje pism, ani biura informacyjne i turystyczne nie wiedziały nic o festiwalu. Myśl, że ktoś mógłby pojechać z Monachium do Frankfurtu w celu słuchania muzyki, spotykała się wszędzie z niedowierzaniem. Odwiedziłem także biura Radia ba-

warskiego; organizacji bliźniaczej Radia heskiego. Tam powiedziano mi, że część muzyków zatrudnionych w Radiu bawarskim wyjechała przed paru dniami do Frankfurtu celem wzmocnienia tamtejszej ekipy, niczego jednak więcej na Rundfunkplatz nie wiadano. Uprzejma sekretarka telefonowała przez pół godziny do różnych osób dobrze poinformowanych w sprawach muzycznych, ale na próżno.

Wynika stąd, że na 10 czy 20 kompozytorów i wykonawców zainteresowanych zawodowo muzyką współczesną przypada tylko jeden słuchacz. Istnienie podobnej proporcji między muzykami i słuchaczami podejrzewałem już dawniej. W miastach posiadających najlepsze orkiestry symfoniczne widziałem często marną publiczność, nie mogącą wcale ocenić wartości granych utworów ani ich wykonania. Widocznie łatwiej jest zebrać najlepszą nawet orkiestrę niż taką samą liczbę oświeconych słuchaczy. Trudno się nawet temu dziwić skoro nikt się dotąd zbieraniem słuchaczy nie zajmował. Tymczasem w towarzystwach muzycznych, w kompetentnych wydziałach magistratów i biurach rządowych, od których zależy tyle spraw muzycznych, zasiada ta sama właśnie nieoświecona publiczność, opierająca swe decyzje i kalkulacje na ignorancji własnej i czcigodnych kolegów.

Nie znajdując nigdzie wiadomości o festiwalu, postanawiam jechać sam do Frankfurtu.

W handlu księgarskim skutki parcelacji są jeszcze bardziej uderzające. Jako tako zaopatrzone są tylko księgarnie sprzedające literaturę techniczną. Najgorzej stoi literatura piękna. Książek wydanych w odległym o 3 godziny drogi Stuttgarcie nie ma w żadnej księgarni monachijskiej, nie mówiąc już o książkach z Hamburga, Berlina lub Baden-Baden. Rocznik bibliograficzny, którym posługują się księgarze, jest wyborem książek "najlepiej idących". Nie znajduję w nim żadnej wzmianki o trzech czwartych potrzebnych mi książek. Na próżno pytam o "Das deutsche Buch", przewodnik prof. Eppelsheimera po literaturze niemieckiej ostatniego pięciolecia. Tej zasadniczej książki nie posiada nie tylko żaden księgarz, ale także żadna biblioteka monachijska. Staram się kupić przynajmniej ostatnią powieść Luízy Rinser, nagrodzoną przed kilku miesiącami przez miasto Monachium. I tu doznaję zawodu, bo książkę tę wydała firma S. Fischer w Frankfurcie.

Rozmawiam o tym stanie rzeczy ze znanym mi z poprzedniej podróży właścicielem literackiej księgarni koło Fraunkirche. Rozmówca mój widzi przyszłość w ciemnych barwach. Od dwóch lat publiczność odwróciła się od książek i literatury. Książka była pierwszą ofiarą polityki deflacyjnej rządu związkowego. Księgarnie sortymentowe nie mają ani pomieszczeń ani kapitału, aby móc trzymać na składzie większą ilość książek. Sprowadzają je więc od wydawcy na zamówienie klienta. Trwa to 5 do 10 dni. Ceny książek wzrastają z dnia na dzień

według fantazji kalkulacyjnych wydawców. Cena katalogowa nie w tej chwili nie znaczy.

Aby sprzedać książki posiadane na składzie, mój znajomy ima się różnych sposobów. Każdej środy wieczorem zaprasza klientów do swej księgarni, gdzie mogą wszystko czytać i przeglądać. Księgarz czyta razem z nimi, opowiada anegdoty, wtajemnicza w intrygi, byle zainteresować książkami i literaturą.

Pytam go czy istnieje możliwość nabycia antykwarycznie starych numerów najbardziej znanych miesięczników, jak "Wandlung" lub "Merkur".

— Przed dwoma laty miałem jeszcze koło tysiąca kg niesprzedanych numerów tych pism. Zbyłem je na wagę wiedząc, że są tam najlepsze rzeczy, jakie napisano w pierwszych latach po wojnie. Ale co robić? O sprzedaniu ich nie ma mowy. Pan jest w ogóle pierwszym klientem, który mnie o to pyta. Przy obecnym braku papieru wszystko to poszło do kotła na wyrób nowego papieru. Ten sam los czeka wszystkie książki, które w ciągu dwóch lat nie znajdują nabywcę.

Moja podróż do Frankfurtu staje się nieunikniona. Może prof. Eppelsheimer potrafi mi coś poradzić.

25 czerwca.

Rankiem w redakcji monachijskiego dziennika. Dziennik ten pamiętam w jego początkach, kiedy 2-3 razy na tydzień ukazywał się na 4-6 stronicach za licencją amerykańską, poruszając ostrożnie bieżące tematy. Dziś jest to wielki dziennik, żywy, doskonale poinformowany, z licznymi dodatkami ilustrowanymi, poświęconymi głównie sprawom miejskim i regionalnym. Temu właśnie krajowemu charakterowi dziennik zawdzięcza swój rozwój. Z dawnych lat pozostała mu tylko ostrożność w traktowaniu tematów politycznych.

Naczelny redaktor jest typem doskonale pyknicznym. Sceptyczny i pogodny zarazem, myśli szybko z niezwykłym wyczuciem aktualności. W traktowaniu gości i interesantów posiada własną metodę. Wszystkich przyjmuje razem, sadzając ich w fotelach dokoła okrągłego stołu. Obecność tylu osób nie przeszkadza mu wcale. Udziela wywiadu przyjezdnemu dziennikarzowi, omawia układ następnego numeru pisma, rozmawia o moich projektach, stawia pytanie i słucha uważnie rozmówców.

Interviewujący go dziennikarz rzuca m. in. pytanie czy prasa niemiecka posiada wpływ na kształtowanie się opinii. Z rozmowy widzę, że nikt z obecnych nie przypisuje dziennikom takiego wpływu. Jesteśmy daleko od czasów, kiedy prasę nazywano "le quatrième pouvoir". Przychodzi mi na myśl, że złudzenia związane z propagandą radiową na Europę Wschodnią utrzymują się głównie dzięki istnieniu żelaznej zasłony, nie dającej możliwości sprawdzenia wrażeń i reakcji słuchaczy.

W związku z wpływami prasy jeden z rozmówców porusza lekko sprawę ponownego uzbrojenia Niemiec, ale nikt nie ma ochoty wypowiadać się na ten temat.

Heidelberg. Nareszcie widzę miasto niemieckie nietknięte przez bomby. Żałuję, że nie mogę tu zostać dłużej, bo widok jest bardzo pouczający. Miasto leży w wąskiej dolinie Neckaru, pośród lesistych wzgórz. Leży ciche, bez kurzu ruin i gorączkowego ruchu ulicznego. Główna ulica mija nową dzielnicę i prowadzi do miasta starego z pięknym rynkiem, sławnym niegdyś uniwersytetem i wznoszącym się na wzgórze wśród zieleni zamkiem. Starsze budynki wzniesione są z szaro-malinowego kamienia, nadającego całej dzielnicy niemal jednolitą barwę.

Uderza mnie widok kilku wielkich i doskonale zaopatrzonych księgarni. W witrynach widzę większą część nowości wydawniczych, których na próżno szukałem w Monachium. Chaos w handlu księgarskim i odwrót czytelników są widocznie zjawiskami związanymi z ruiną miast. W Heidelbergu znajduje się kilka dobrych firm wydawniczych; tu wychodziło do końca 1949 "die Wandlung", jedno z najlepszych czasopism tego rodzaju.

Ruch uliczny toczy się bez pośpiechu. Restauracje i kawiarnie mają wygląd przedwojenny, nie widać na nich wahań koniunktury. Studenci piją piwo. Z miejscowej gazety dowiaduję się, że ostatnio młodzież wznowiła również tradycję tzw. mensur czyli pojedynków na rapiery, co wywołuje żywe dyskusje. Jedni są za, inni przeciw wznawianiu tego obyczaju.

Oglądam stary uniwersytet. Obok stoi nowy budynek uniwersytecki z betonu i szkła, podobny do domu towarowego i kłócący się z otoczeniem. Budynek ten jest zresztą zarekwirowany przez amerykańskie władze okupacyjne.

W okolicy uniwersytetu znajduje się kilka starych, dobrze zachowanych domów z różnych wieków. Cała dzielnica jest zresztą stara, utrzymana w duchu XVIII wieku. Sam pobyt w takim mieście musi posiadać dla studentów — zwłaszcza obecnie — wartość wychowawczą.

26 czerwca.

Frankfurt. Śródmieście zostało tu zburzone radykalniej jeszcze niż w Monachium, i odbudowa jest mniej posunięta. Roboty natomiast są w pełnym biegu. Całkowitemu zniszczeniu uległa stara dzielnica z domami dawnych patrycjuszów. W dzielnicy tej, którą pamiętam niejasno z lat przedwojennych, stoją tylko zieleniejące z wierzchu pagórki gruzów. W swych rysach ogólnych Frankfurt różni się bardzo od Monachium. Gdy to ostatnie — w swych budynkach monumentalnych przynajmniej — jest dziełem fantazji jednego króla, w Frankfurcie widać powolną pracę paru pokoleń zamożnego mieszczaństwa.

W świeżo wykończonym, jednopiętrowym budynku Radia he-

skiego dowiaduję się, że festiwal już się rozpoczął. Otrzymuję całą książeczkę z portretami kompozytorów i analizą utworów figurujących w programie festiwalu. Dzięki uprzejmości zarządu Radia dostaję też bilety na najbliższe koncerty.

Muzykę dawną słyszałem zawsze w pewnym wyborze. Wybór ten jest być może stronny i powierzchowny, lecz posiada dla słuchacza pewną zaletę; utwory najniestrawniejsze zostały z programu koncertów skreślone. Muzykę współczesną słyszymy przed selekcją. Na festiwalach mamy przed sobą całą krestencję muzyczną ostatnich 2-3 lat i musimy sami odróżnić lepsze od gorszego. Wśród kilkudziesięciu utworów zazwyczaj kilka tylko nosi znamiona wielkiego talentu lub daje skądinąd do myślenia, lecz te właśnie utwory stanowią o obliczu muzyki współczesnej. Aby się z nimi zapoznać, należy przede wszystkim wysłuchać cierpliwie całego programu. Niestety będą mogli być tylko na trzech z jedenastu koncertów.

Pierwszy koncert. Sala Radia heskiego jest niewielka, mieści 350-400 osób. Ściany jej są wyłożone polerowanym drzewem. Wielka orkiestra Radia berlińskiego robi w niej niesamowity huk. Właściwości akustyczne sali odpowiadają być może potrzebom radia, lecz nie sprzyjają muzyce współczesnej. Ta ostatnia nie ma na ogół szczęścia do wykonawców. Przy pierwszych audycjach chodzi głównie o jej poprawne odczytanie, ale już to założenie obniża najwidoczniej w praktyce wymagania i sprawia, że utwory są grane na chybił trafił. W sali Radia heskiego hałas instrumentów przeszkadza spokojnemu rozpatrzeniu wykonywanych utworów.

Na dzisiejszym koncercie utworem najbardziej udanym była sonata na skrzypce i orkiestrę naszego emigracyjnego kompozytora Michała Spisaka. Jej pomysł i budowa są bardzo przekonujące, całość zaś błyskotliwa i bardzo przyjemna do słuchania. Utwór ten ma wielkie szanse wejścia do repertuaru koncertów symfonicznych.

Utworem, który dał zapewne frankfurckim słuchaczom najwięcej do myślenia, było 5 refrenów Messiaena na 12 głosów solowych, wykonanych z imponującą precyzją przez francuski chór Couraud. Kompozycja Messiaena miała lodowaty blask muzyki intelektualnej i była długo oklaskiwana. Mam wrażenie, że przyczyną tego entuzjazmu była raczej niezwykłość utworu i wykonania niż przekonania słuchaczy do tego rodzaju muzyki.

27 czerwca.

Rankiem zwiedzam "das Goethehaus". Zburzony, jak wszystkie domy sąsiednie, do fundamentów w 1944, dom rodziców Goethego został odbudowany wiosną br. najdokładniej według zachowanych planów i fotografii. Nowe ściany i podłogi pokrywają rodzajem patyny.

Pomysł ten wywołał różne głosy krytyczne. Wielu sądziło, że taki falsyfikat nie licuje z rzetelnym kultem dla znakomitego poety. Toteż z pewną podejrliwością przestąpiłem próg domu. Zapoznanie się z jego wnętrzem zostawiło mi jednak wrażenie, że pomysł odbudowania domu był słuszny. Przed zburzeniem dom był rodzajem muzeum, w którym przechowywano wszystkie przedmioty, jakie znajdowały się tam w dzieciństwie i młodości Goethego. Przedmioty te zabezpieczono przed bombardowaniem, i należało je potem gdzieś umieścić. W budynku naśladowującym dokładnie dom rodziców Goethego przedmioty te nie są martwymi eksponatami muzealnymi, lecz posiadają pewne życie, umożliwiając rozpoznanie ich sensu i znaczenia.

Są to meble, książki, instrumenty muzyczne, kilkadziesiąt obrazów i liczne przedmioty domowego użytku, których sens zrozumiały jest tylko w miejscu ich pierwotnego przeznaczenia. Razem wzięte, przedmioty te dają pojęcie o wychowaniu i wykształceniu Goethego, o wczesnym wykształceniu jego wrażliwości artystycznej i różnorodności zainteresowań.

Jak w wielu dawnych domach frankfurckich, uderza tam jakoś starych mebli z XVIII wieku. Każdy z nich jest indywidualnym tworem artystycznego rzemiosła. Dzieci wychowane w takich wnętrzach muszą posiadać inną wrażliwość, inny stosunek do świata przedmiotów niż dzieci, które wyrosły otoczone fabryczną tandetą. Odległość między domem Goethego i mieszkaniem w dzisiejszej czynszowej kamienicy jest zapewne ta sama, co między wizjami świata autora "Fausta" i Franza Kafki.

Bardzo ciekawa jest też — z punktu widzenia wychowawczego i z punktu widzenia formacji artystycznej Goethego — kolekcja obrazów znajdujących się w posiadaniu jego rodziców. Są to obrazy dobrych malarzy niemieckich XVIII w., interesujące przez różnorodność swych przedmiotów.

Bardzo charakterystyczny i bogaty jest sprzęt kuchenny, skrzynie na chleb, rzeźbione drewniane formy na pierniki i ciastka z anyżem, cała seria form na pudingi i kisiele itd. Nawet przygotowanie jedzenia posiadało w tych czasach coś z rzemiosła artystycznego. W tym miejscu następuje się porównanie między wizjami świata Goethego i Williama Faulknera, którego jeden z bohaterów "siedzi przez życie z nożem do otwierania konserw w rękę".

"Das Goethehaus" zawiera niezrównany materiał dla studiów nad historią wychowania i formacji kulturalnych Europejczyków.

Wiesbaden. W programie festiwalu znajduje się opera buffo hiszpańskiego kompozytora mieszkającego w Anglii, nazwiskiem Roberto Gerhard. Wystawienia jej podjął się teatr miejski w Wiesbaden, dokąd jadę po południu autobusem kolejowym. Jest to mały Volkswagen na 7 osób. Wozy te uruchamia-

ne są w liczbie odpowiadającej każdorazowej liczbie podróży.

Wiesbaden jest również miastem nietkniętym przez wojnę, lecz zupełnie innym od Heidelbergu. Ten ostatni jest przede wszystkim miastem uniwersyteckim, Wiesbaden natomiast jest miastem wesołym, posiadającym eleganckie kawiarnie, teatry i kasyna, leżące na skraju starego parku. Dokoła nich widzę w Niemczech po raz pierwszy elegancki, ożywiony tłum poszukujący rozrywki i mało liczący się z pieniędzmi.

Jest to oczywiście tylko jeden z aspektów miasta. Idąc przez nie pieszko widzę starannie zabudowane ulice, których mieszkańcy jadają zapewne w domu i wcześniej kładą się do snu. Po drodze widzę też ciekawą starą część miasta. Wszystko to zdaje się leżeć bardzo daleko od Monachium i nawet od odległego o pół godziny Frankfurtu. Genius loci jest tu zupełnie inny. Niemcy są zjawiskiem złożonym, którego nie podobna ująć w żadną prostą formułę.

W teatrze "La dueña" przynosi mi pewne rozczarowanie. Jest to publiczna lektura tekstu, bez kostiumów i dekoracji. Na jaskrawo oświetlonej scenie siedzą w kilku rzędach krzesel artyści w wielkich toaletach i frakach: gwiazdy po środku, otoczone chórem. Muzyka jest pełna ruchu, werwy, folkloru; chór towarzyszy większości epizodów. Opera buffo Roberto Gerharda musi być świetnym utworem scenicznym.

Utwór ten zdaje się wskazywać na pewną nową linię rozwoju opery współczesnej. Dotąd przywykliśmy widzieć w operze w pierwszym rzędzie muzykę. Oper Wagnera, Richarda Straussa lub Debussy'ego można z równą przyjemnością słuchać poza teatrem, w wykonaniu koncertowym. Muzyka przyciąga i spycha na dalszy plan ich libretto i stronę widowiskową. Skutkiem tej ewolucji był coraz widoczniejszy odwrót publiczności od teatrów operowych. Specjaliści twierdzą, że przed wojną liczone ogółem 75 oper przyciągały słuchaczy i opłacających swe koszty: dziś liczba ich nie przekracza 40.

Zmierzyć opery dałoby się być może odroczyć przez przywrócenie jej wartości teatralnych. Możliwości te wskazał ostatnio Giancarlo Menotti w swym "Konsulu", będącym żywym, aktualnym utworem scenicznym. Sama muzyka zdaje się w nim być na służbie teatralnej całości widowiska. Ten sam rys znajdujemy w "Telefonie", krótkim szkicu operowym Menottiego. Mimo zupełnie innego charakteru muzyki, "La dueña" Gerharda zdaje się posiadać taką samą sceniczną.

Wobec kosztów wystawienia każdej nowej opery, publiczne próby czytane — dla zbadania reakcji słuchaczy — zdają się wchodzić w modę, i wypada pomyśleć o właściwych formach takich audycji. Trzymanie artystów scenicznych przez cały wieczór na krześle z nutami w ręku wydaje mi się czymś przeciwnym naturze, zwłaszcza gdy chodzi o operę buffo. Wielkie toalety i fraki wydają mi się również nie na miejscu podczas

próby czytanej. Artystom należało by dać pewną swobodę ruchów i możliwość markowania roli. Jako kostium widzę raczej ubranie robocze i perukę, co dałoby słuchaczom możliwość śledzenia intrygi. Refleksjami tymi dzielę się po przedstawieniu z autorem, który też nie jest zbyt zadowolony z wieczoru i podziela moje zastrzeżenia.

28 czerwca.

Wizyta u frankfurckiego wydawcy Petera Suhrkampa, który proponuje mi wspólne spotkanie u prof. Hansa Wilhelma Eppelsheimera, dyrektora instytucji obejmującej zarazem biblioteki miejską i uniwersytecką oraz centralną dla całych Niemiec Deutsche Bibliothek.

Biblioteka ta mieści się w dawnym pałacu Rotschildów na brzegu Menu, odbudowanym sumarycznie po częściowym zburzeniu. Prof. Eppelsheimer, którego znam jako autora historii literatury światowej i bardzo użytecznego przewodnika bibliograficznego do tejże historii, opowiada o początkach swej biblioteki. W 1945 - 1946, widząc efemeryczny charakter ówczesnych wydawnictw niemieckich, zaczął zbierać wszystkie książki nowe na własną rękę. Dopiero po pewnym czasie uzyskał na to subwencję miasta. Dzięki tej inicjatywie powstała jedyna dziś biblioteka posiadająca wszystkie książki niemieckie ostatniego pięciolecia.

Przyszłość książki niemieckiej prof. Eppelsheimer widzi w dość ciemnych barwach. Książka utraciła pozycję uprzywilejowaną, jaką zajmowała dotąd wśród innych towarów. Przy trudnościach płatniczych jest jednym z pierwszych artykułów, których przywóz jest zakazany. W obecnych warunkach ekonomicznych książka może się łatwo stać towarem sezonowym. Nie sprzedane w ciągu roku lub dwóch egzemplarze będą znikły z handlu, jak to już ma miejsce w Stanach Zjednoczonych. Stąd rola, jaka w tych okolicznościach może przypaść bibliotekom.

Peter Suhrkamp i prof. Eppelsheimer aprobuja mój plan numeru niemieckiego "Kultury" i robią ustny przegląd literatury niemieckiej ostatniego pięciolecia, z czego robię notatki. Wynika z nich, że oprócz czasopism mam jeszcze koło stu tomów do przejrzania.

Wieczorem koncert symfoniczny w gmachu Radia. Interesuje mnie przysłany z Polski utwór młodego lwowskiego kompozytora, Stanisława Skrowaczewskiego. Spodziewam się, że da mi pojęcie o obecnej twórczości krajowej i da poznać skutki tamtejszej cenzury muzycznej. Utwór ten, napisany na sopran i małą orkiestrę, nosi nazwę "Pieśni nad pieśniami". Niestety, nie można zeń w ogóle nic wnosić.

(Dokończenie nastąpi)

Paweł HOSTOWIEC.

«Szkoła serca»

Poniżej podajemy rozdział z ostatniej powieści Arthura Koestlera, która ukazała się w jęz. angielskim pt. *The age of longing* (The MacMillan Co., New York, 1951), co można przełożyć na polski jako "Wiek tęsknoty". Akcja tej powieści dzieje się w Paryżu, w roku 195... Jak stwierdza we wstępie autor, wypadki w niej opisane "jeszcze nie zaszły".

Jednym z bohaterów powieści jest Fiedia Nikitin, dyplomata Wspólnoty Wolnych Narodów (ta zmiana w nazwie Związku Sowieckiego została wprowadzona między r. 1950 i 1960 przez Marszałka Pokoju) i funkcjonariusz Bezpieczeństwa. Treścią rozdziału jest dzieciństwo i początek kariery Fiedi; urodził się on w robotniczej dzielnicy Baku. Był synem rosyjskiego robotnika, działacza rewolucyjnego i Ormianki. Straciwszy w czasie Rewolucji ojca, który zginął zamordowany przez Białych i matkę, Fiedia wyruszył do Moskwy z dziadkiem swoim Arinem.

Komisarz, którego spotkali w drodze do Moskwy, dał im list polecający do władz w stolicy. Dostali więc po pewnym czasie pokój i Arin został majstrem w spółdzielni szewskiej, a Fiedia poszedł do szkoły.

Pokój ich był w centrum miasta, w wielkim mieszkaniu, które należało dawniej do bogatego kupca drzewnego. Kiedy wybuchła rewolucja kupiec z rodziną uciekł zagranicę, a mieszkanie podzielono pomiędzy ludzi, którzy odznaczyli się w służbie sprawy. Dwanaście rodzin mieszkało teraz w siedmiu pokojach, bo większe pokoje podzielono prześcieradłami na dwie, albo nawet trzy części. Arinowi i Fiedi udało się: mieli małeńki, służbowy pokój tylko dla siebie. Kiedy weszli pierwszy raz do pokoju Fiedia zaniemówił, a jego szare oczy napełniły się łzami. Nigdy dotychczas nie widział podobnego luksusu. Zamiast podłogi z ubitej ziemi była tam parkietowa posadzka. Z sufitu zwisała elektryczna żarówka z papierowym abażurem. Stało tam metalowe łóżko, stół i krzesła — te wynosiło się na noc na korytarz, żeby zrobić na podłodze miejsce na materac Fiedi. Upłynęło sporo czasu zanim Fiedia pojął fakt nie do wiary: wszystko to należało do nich. Wtedy zrozumiał, że Wielka Zmiana dokonała się naprawdę.

I dla Arina to nowe życie przyniosło spełnienie najgłębszych

marzeń: miał teraz kogoś, kto mógł mu czytać. Co wieczór, po kolacji złożonej z chleba, śledzia i herbaty, stary Arin siadł na łóżku pałac machorkę a Fiedia zasiadał przy stole i czytał mu głośno. Na szczęście w tych pierwszych latach po Wielkiej Zmianie uczniom nie nie zadawano do domu. Zniesiono to, razem z innymi formami niewolnictwa. Wychodziło się z założenia, że uczniowie powinni uczyć się nie z przymusu a z ciekawości i tylko tego, czego zechcą. Nie było kar ani egzaminów, stopni ani narzuconych godzin. Zachęcano dzieci, aby tworzyły grupy, czy brygady i same ustalały program. Po poważnych dyskusjach z dziadkiem Arinem Fiedia, który miał wtedy niespełna dziewięć lat, zdecydował, że poświęci swoje lata szkolne studiowaniu uciśnionych klas i narodów. Pierwsze książki, jakie czytał Arinowi, dotyczyły prześladowania Armeńczyków: Fridtjof Nansen i pastor Lepsius. Fiedia czytał tekst, a stary Arin ilustrował go opowiadaniem o tym co zdarzyło się w Urfie i przedtem. Tak historia i życie spletały się w jedno w umyśle Fiedi i nigdy nie miały się rozłączyć. Inne dzieci uczyły się historii jak baśni o abstrakcyjnych wypadkach w abstrakcyjnej przeszłości. Dla Fiedi życie było częścią historii, a stary Arin, nieżyjący Grisza i on sam — jej bohaterami.

Książki Nansena i Lepsiusa stały się biblią Fiedi. Mniej więcej połowa tego co czytał była dla niego niezrozumiała, ale niektóre epizody pozostały mu na zawsze w pamięci. Car rosyjski chciał zagarnąć Armenię, ale bez jej nieugiętego ludu. Zachęcił więc Armeńczyków, aby zbuntowali się przeciwko Turkom, a w tym samym czasie jego ambasador nakłaniał Turków, aby zabijali Armeńczyków. Streszczała to klasyczna rada księcia Rostowskiego, udzielona Abdul Hamidowi: "Massacrer, Majesté, massacrer..." W ten sposób dla Fiedi car, sułtan, papież i rząd brytyjski stali się diabelskimi członkami sprzysiężenia, które spaliło żywcem żonę Arina i sześcioro jego dzieci. Wpływ książek był tym większy, że autorami powodowała nie nienawiść a litość. Ich pełne smutku potępienie amoralności wielkich potęg i kościołów wraz ze wstrzemięźliwym językiem i dokumentami, jakie cytowali, stanowiły dla dziecka dowód zupełnej nikczemności ludzkiego gatunku przed Zmianą; należało przeorać świat jak pług obraca skibę. Nie mógł zrozumieć dlaczego ludzkość tak długo tolerowała cierpliwie świat, którego królowie byli mordercami, mężowie stanu kłamcami, w którym kilku bogatych arystokratów i kupców obróciło resztę ludzi w swoje ofiary i niewolników. Ale Arin miał na to odpowiedź: lud znosił to wszystko, bo był ciemny, niepiśmienny i niekulturalny. Arinowi i Fiedi przypadł wielki przywilej doczekania Wielkiej Zmiany kiedy życie zaczynało się na nowo, jak po potopie.

Życie było naprawdę upajające dla chłopca w latach dwudziestych dwudziestego wieku. Wkrótce potem jak skończyła się wojna z Polską zaczęło być dosyć żywności dla każdego, kto mógł zapłacić. Sprawilo to wydarzenie nazywane N.E.P., o którym

*) Arthur KOESTLER, *Les hommes ont soif*. Ed. Calmann-Lévy, Paryż 1951, str. 424. Cena 780 frs.

mówili wszyscy, ale którego ani Arin, ani Fieda nie mogli zrozumieć. Mała szewska spółdzielnia, w której pracował Arin, robiła i sprzedawała więcej butów niż kiedykolwiek. Mieli teraz na kolację biały chleb, a czasem prócz śledzia — kawalek kiełbasy, albo porcję prasowanego, czerwonego kawicru. Często mieli nawet cukier do herbaty: żółtą grudkę, którą kładło się na język. Gorąca herbata przechodziła nad nią i smakowała rozkosznie śladko kiedy się ją przelykało. Fieda miał teraz parę butów z prawdziwej skóry, a Arin okulary w stalowej oprawie. Co tydzień chodzili razem do kina i oglądali tam niekulturalnych amerykańskich cowbojów, strzelających do siebie, albo bandy zbrodniarzy, starających się zabić nadzwyczajną dziewczynę, która była żywotna jak kot i która zmieniała się, jak powiadał tekst wyświetlany na ekranie, z kapitalistycznej dziedziczki w bohaterkę rewolucji. A mniej więcej raz do roku, dostawszy bilety rozdawane kolejno przez związki zawodowe, szli do opery, albo na balet do Teatru Wielkiego. Było to życie jakie przed Zmianą wiodli tylko książęta.

Szkoła była niemniej porywająca. Fieda mógł, jeżeli chciał, siedzieć w domu albo włóczyć się po ulicach, ale wołał szkołę. Była to jedna z najlepszych szkół w stolicy, zarezerwowana dla dzieci, których rodzice zostali dygnitarzami rewolucji, albo zginęli w jej służbie. Fieda, ponieważ był synem Griszy Nikitina, jednego z zamęczonych komisarzy Baku, człowieka, którego imię stało się już legendą, od początku cieszył się tam pewnym autorytetem. Mając trzynaście lat został przywódcą brygady pionierów, która postawiła sobie za cel zrewolucjonizowanie botaniki, nadając roślinom nowe nazwy, tak jak Rewolucja Francuska, zmieniła nazwy miesięcy kalendarza. Rada uczniów i nauczycieli, która zarządzała szkołą, entuzjastycznie zaaprobowała plan i zwróciła się do nauczyciela historii, aby pomógł brygadzie znaleźć stosowne nazwy. W ten sposób dąb stał się "kolumną rewolucji", wierzba płacząca "drzewem liberalnej dekadencji", kwiaty zostały nazwane od bohaterów rewolucji, a chwastom dano ogólne miano — "burżuazyjnych pasożytniczych roślin". Po kilku tygodniach trzeba było jednak zarzuścić projekt, bo okazało się, że jest więcej roślin niż można wymyślić nazw. Grupa pionierów oskarżyła nauczyciela historii, który należał do przedrewolucyjnej inteligencji, o sabotaż. Zanim jednak sprawie nadano bieg, staruszek umarł na zapalenie płuc, padłszy ofiarą trudności na froncie opałowym.

Stopniowo dawni nauczyciele zrezygnowali, albo wymówiono im pracę, albo po prostu bali się pokazywać, bo uczniowie ich bili. Zastąpili ich nauczyciele nowego typu: członkowie Partii, albo Komsomołu, którzy zgłosili się na wezwanie rządu, zadowolonego o jak najszybsze stworzenie pedagogicznych kadr. Byli to ludzie mocni, przeważnie chłopskiego i robotniczego pochodzenia. Zdobyli oni szacunek uczniów, bo podobni byli do samych dzieci przez swoją młodość i stosunek do życia, śmia-

łość spojrzenia i chciwość umysłowej przygody. Ich zawodowe kwalifikacje sprowadzały się do kilkumiesięcznego przygotowania, przeważnie na kursach wieczorowych. Ich wykształcenie nie górowało zbyt nad wykształceniem uczniów, a w ortografii nie czuli się mocni. Często dobroduszenie pozwalali się poprawiać chłopcu z 9 czy 10-tego oddziału, który wyrósł za starego reżimu i prosił go, aby doprowadził lekcję do końca. To wszystko jednak nie miało znaczenia. Najważniejsze było, że cała szkoła, dzieci i nauczyciele, miała wspólną świadomość brania udziału w olbrzymiej przygodzie. Żyli w pierwszym dniu stworzenia, kiedy ziemia i niebo wyłaniały się z chaosu. Świat leżał przed nimi. Trzeba było go poznać i zdobyć. Nie obciążała ich, jak inne szkoły, przynębiająca perspektywa nudnej, niekończącej się alei faktów, którą deptało tyle pokoleń. Zarówno nauczyciele jak ich pupile patrzyli na wiedzę, nagromadzoną przez przeszłość, jako na śmietnik, na pozostałość minionego świata. Poezja tego świata była sentymentalną bzdurą, jego książki historyczne — zbiorem kłamstw, jego filozofia — środkiem, przy pomocy którego dawni władcy próbowali imponować ciemnemu ludowi. Wszystko powinno być zaczęte od nowa przez generację po potopie. Byli chciwi wiedzy, spragnieni kultury — ale musiała to być nowa wiedza, nowa kultura, bez korzeni w przeszłości. Pośród tematów, jakie dyskutowano w klasie Fiedy byli następujące: "Jak możemy zmienić klimat naszej planety?", "Kiedy i jak nauka zwycięży śmierć?", "Czy szkoły będą konieczne po rewolucji światowej?", i "Socjalne przyczyny tyranii rodziców". W trzecim roku pobytu w szkole Fieda mógł się poszczycić autorstwem szeregu rezolucji, które jego brygada uchwaliła po gorących debatach: o zniesienie małżeństwa; o wyzwolenie murzyńskich niewolników w Ameryce; o przymusowe szczepienie; przeciwko szkodliwej teorii, że czyszczenie zębów jest kapitalistycznym przesądem; w obronie teorii, że istnieją inne planety, zamieszkałe przez ludzi.

Ze zbliżaniem się dojrzałości Fiedą owładnął wewnętrzny niepokój. Szkoła nie zaspakała już jego umysłowej ciekawości. Czuł potrzebę sięgnięcia głębiej w tajemnice życia, aż do atomów, "małych diabełków" jak nazywał je Arin, od których zależały losy świata. Czytał dużo i wszystko co popadło pod rękę — postrzeplone książki, drukowane starą ortografią o fizyce, astronomii, historii, nawet poezji. Pozbawiony podstawowych zasad rozumiał tylko piątę przez dziesiątę i te jego braki bardzo go martwiły. Był szanowanym członkiem Pionierów, za rok czy dwa miał być przyjęty do Komsomołu, a wreszcie do Partii. Członek Partii musi wiedzieć wszystko, musi być zdolny wypełnić swoje obowiązki na każdym stanowisku, jakie powierzy mu Partia, musi być wzorem mądrości, charakteru i siły woli. Ale skąd wziąć te zalety? Wielu starszych pionierów miało te same wątpliwości i zmartwienia. Utworzyli specjalną brygadę "Pod-

boju Wiedzy" i zadreczali nauczycieli protestami i żadaniami. Nauczyciele nie mogli nic poradzić: większość dawnych podręczników była zakazana, a nie zastąpiono ich nowymi. W szkołach brak było wszystkiego: sal, ołówków, papieru, tablic, kredy, a przede wszystkim wykwalifikowanych nauczycieli. Dlaczego tak się działo? I dlaczego proces Wielkiej Zmiany znalazł się jakby w martwym punkcie? Kiedy Fiedia miał dziesięć lat każdy mówił o dokonującej się rewolucji światowej, która przyniesie trwały pokój, szczęście i obfitość. Teraz, kiedy miał już lat prawie piętnaście, nic się nie dokonało, a mówiono że rewolucja ma się ograniczyć do jednego kraju, otoczonego przez krwiożerczych wrogów i że kraj będzie musiał pozostać w tym stanie oblężenia przez Bóg wie jak długo. I, co gorzej, również tu, w domu, rzeczy nie szły tak jak powinny. Znow byli bogaci i biedni. Choć nazywano ich Nep-manami i każdy nimi pogardzał, pozostawało faktem, że mogli jeść i kupować czego tylko zapragnęli, a inni tego nie mogli.

Nagle przyszła seria oburzających rewelacji, które wytłumaczyły wszystko, rozproszyły wszelkie wątpliwości i przywróciły wiarę Fiedi. Nie żeby podstawy jego wiary były kiedykolwiek zachwiane — bo stała się ona jego częścią, tak jak jego mięśnie i kości; nie zdawał sobie nawet sprawy, że jest to wiara i że mogłyby istnieć jakieś inne alternatywy. Zdarzyło się tylko, że jego wiara jakby odrobinię się obtłuła czy wytarła na krawędziach w tych ostatnich, monotonnych latach, kiedy się zdawało, że proces Zmiany stoi w martwym punkcie, a jego cel ostateczny zaczął się nawet oddalać. Jednak po wykluczeniu z Partii dawnego Komisarza Wojny i innych rewelacjach, które za tym przyszły, ukazały się prawdziwe przyczyny wszystkich trudności. Przeszłość była martwa i pogrzebana, ale na jej grobie wyrosły złośliwe rośliny, które chciały zatruć i zadiawić przyszłość. Zagraniczne siły interwencyjne zostały pokonane przez armie rewolucji, ale rządy imperialistyczne czekały tylko swojej godziny, gotowe znow uderzyć na pierwszą oznakę słabości i niezgody w kraju jutra, w kraju, którego nienawidziły jak śmierci, bo naprawdę wróżył im śmierć samym swoim istnieniem. Przeciwno międzynarodowce rewolucyjnych robotników wysuwały swoją międzynarodówkę szpiegów, szkodników i agentów we wszelkich możliwych przebraniach. Ci agenci kontrrewolucji, te siły zła, czaili się wszędzie i koło każdego. Główną podporę miały w przedrewolucyjnej inteligencji, w ludziach przeszłości, których należało tolerować, a nawet dawać im odpowiedzialne stanowiska ze względu na ich specjalizację i wiedzę. Nic dziwnego, że wszystkiego było mało i że wszystko było drogie jeżeli ci organizatorzy przemysłu mieli tylko jeden cel, jak przyznał się w publicznej rozprawie sądowej inżynier Ramzin: zniszczyć gospodarke kraju. Nawet niektórzy z najbardziej znanych wodzów proletariatu ulegli pokusie i stali się agentami kontrrewolucji. Partia musiała walczyć przeciwko nim

wszystkim, prowadzić nieustanną bitwę na wielu frontach, wieloletnich i niewidzialnych. Każda uśmiechnięta, dobroduszna twarz nauczyciela, czy najlepszego z przyjaciół, mogła być maską, za którą ukrywało się prawdziwe oblicze zdrajcy. Wielka Zmiana nie mogła nabrać prawdziwego rozpędu zanim ostatni z nich nie został zdemaskowany i zlikwidowany.

Delegatka Partii opowiadała na zebraniu Pionierów o chłopcu-męczenniku, Pawliku Morozowie, który zadenuncjował swoich rodziców, oskarżając ich o ukrycie zboża należnego rządowi i został za to zabity przez ciemnych wieśniaków. Fiedia myślał: jak to dobrze, że jego rodzice byli bojownikami rewolucji, bo zadenuncjować ich, a nawet starego Arina, byłoby nieprzyjemnym obowiązkiem. Ale gdyby należeli do kontrrewolucjonistów na pewno byłiby z nich zupełnie inni ludzie: brutalni, podstępni i zdradliwi, więc zadenuncjować ich byłoby prawdziwą przyjemnością. Lubił sam rozwiązywać problemy i sprawiło mu zadowolenie, że i ten problem umiał rozwiązać.

Fedia skończył właśnie 15 lat kiedy gnuśny spokój NEP'u urwał się nagle. Zapowiedź pierwszego planu pięcioletniego przyszła jak nagły loskot grzmotu, który wstrząsnął krajem i którego echo rozległo się po całym świecie. Okręt rewolucji długo stał na miejscu. Teraz skoczył naprzód, jak podcięty biczem, z trzaskiem masztów i łopotem żagli, napiętych aż do pęknięcia. Fiedia nie wiedział wtedy, że te nagłe zrywy i chyboty nie ustaną do końca jego życia. Nie wiedział też jak wielu jego towarzyszy wyrzucą za burtę powtarzające się periodycznie uderzenia wzburzonych fal. Wiedział wtedy tylko jedno: że zbliżał się ostatni etap Wielkiej Zmiany. W ciągu pięciu lat naprawione zostać miało zło stuleci, zmarnowanych przez reakcyjnych władców, a on sam, w dwudziestym roku życia, miał uczestniczyć w inauguracji bezklasowego społeczeństwa i Złotego Wieku.

Dyscyplina w szkole stała się surowsza. Każda klasa, jak tłumaczył nauczyciel, powinna być stać się brygadą szturmową w bitwie o Utopię. Głowa huczała Fiedi od cyfr Planu, których uczył się na pamięć: tyle i tyle milionów ton rudy żelaznej po pierwszym roku, tyle i tyle kilowatt-godzin, tyle i tyle milionów analfabetów zmienionych w kulturalnych członków społeczeństwa. Sam dźwięk tych milionów bogactwa, wyprodukowanego przez lud dla ludu, wprowadzał w zachwyt. Kilowatt-godziny, tony, pudy, litry i kilometry stawały się postaciami bohater-skiej sagi. Miejsce, gdzie toczyła się ta bitwa gigantów, była olbrzymia mapa, która zajmowała całą ścianę w klasie. Usiana była chorągiewkami, które wskazywały główne pola bitwy o Plan. Daleko na północ od koła polarnego, dokąd sięgnąć można było tylko przystawiając drabinę, wyrysowana ołówkiem linia wskazywała bieg przyszłego kanału, najdłuższego jaki kiedykolwiek zbudował człowiek. Czerwony sznurek, rozpięty na przestrzeni paru metrów między pluskwkami, oznaczał tor przyszłego Turksibu. Las chorągiewek w górach Uralu znaczył

miejsca przyszłych gigantycznych kombinatów stali. Czerwone kółko otaczało Dnieprostroj, najpotężniejszą tamę wodną świata. Małe samochody i traktory, wycięte z papieru, symbolizowały fabryki, w których wytwarzano te błyszczące cuda.

Każdy chłopak i dziewczyna w klasie sprawowali fikcyjny zarząd jakiejś gałęzi produkcji i obowiązani byli składać stałe raporty o osiągnięciach. Najlepszym uczniom powierzono surowce i ciężki przemysł. Gorszym — produkcję dóbr konsumpcyjnych. Znany w klasie cichy idiota doglądał produkcji spinek i dostał na ten temat prawdziwej manii. Kiedy w dzień 1 Maja dyrektor szkoły wspomniiał w swoim przemówieniu, że w innych krajach zdarzało się iż dzieci wpinały w mapę chorągiewki nie po to, żeby zaznaczać tam pola bitwy o budowę i życie, ale miejsca śmierci i zniszczenia — sala zafalowała niedowierzaniem. Kiedy jednak powiedział dalej, że nigdy dotychczas młode pokolenie nie żyło na tak decydującym zakręcie historii i żadnemu nie dane było uczestniczyć w historii z tak pełną świadomością — czuli głową i sercem, że mówi prawdę.

Ten obchód 1 Maja stał się szczytowym punktem w życiu Fiedii: uzupełnił, choć Fiedia o tym nie wiedział, niewzruszone fundamenty jego wiary. W przyszłości budowla tej wiary miała zostać poddana wielu przeróbkom — były okresy kiedy jej fasada ulegała ciągłym zmianom, jakby na rozkaz szalonego architekta — ale te powierzchowne poprawki nie sięgały mocnych fundamentów. Pierwszy kamień został położony przez Griszę, który zaszczerpił dziecięcemu sercu mistyczną wiarę w Wielką Zmianę — w kataklizm, po którym nastąpi Złoty Wiek. Drugi kamień został położony, tak samo mimo woli, przez Arina kiedy zdradził chłopcu sekret życia, opowiadając mu o małych atomach, które rządzą światem. Przemówienie dyrektora uzupełniło świętą trójkę jego zasad. Odtąd wiedział, że szczęście można mierzyć tylko w kilowatt-godzinach, pudach i tonach, bo były one jedynym środkiem walki przeciwko wiekowi ciemności i wrogom ludu, którzy z takim uporem i sprytem starali się przedłużyć złą przeszłość. To były żelazne fakty. Wszystko inne to było zacofanie, przesad, herezja i dywersja — jak na przykład te doroczne nagrody literatury i pokoju, przyznawane przez tych samych braci Nobel, do których należały rafinerie Baku i którzy wynaleźli dynamit.

W ostatnim roku szkoły życie Fiedii nawiedził romans w postaci szczupłej, lnianowłosej Nadieżdy Filipowny, towarzyszkii z Komsomolu. Była to siedemnastoletnia dziewczyna o gwałtownym usposobieniu i temperamencie. Jej namiętnością było łączyć po drzewach i czytać wiersze Majakowskiego, kołysząc się na wątej gałęzi. Jako córka chirurga, który należał do przedwojennej inteligencji, była bardziej wykształcona niż Fiedia, ale ten fakt psuł ich stosunki tylko w chwilach irytacji. Chociaż o kilka miesięcy młodsza, jednak zdarzało się, pomimo jej burzliwego charakteru i zmiennych nastrojów, że

okazywała Fiedi tę samą, niemal matczyną, czułość jak jego dziecinna kochanka, tatarska dziewczynka w Baku. Raz, w jednej z rzadkich chwil, kiedy Fiedia pozbywał się swojej zadzierzistej, chłapięcej pozy, zapytał ją: "Dlaczego zadajesz się z facetem takim jak ja, kiedy ty jesteś ode mnie znacznie bardziej kulturalna?" Na to odpowiedziała trąc dłonią jego krótko ostrzyżoną głowę: "Bo jesteś czysty i prosty i twardy jak nasza "proletariacka młodzież" z propagandowego plakatu".

Ich związek trwał tylko rok, do chwili kiedy ojciec Nadieżdy został aresztowany jako członek opozycyjnego spisku i wróg ludu. Fiedia lubił raczej dziewczynę i jak mógł próbował jej pomóc, oczywiście w granicach na jakie pozwalały mu jego polityczne sumienie i rewolucyjna czujność. Lubiono ją w Komsomole a nawet, jak zdawało się, towarzysze z Okręgowego Komitetu skłonni byli puścić jej to płazem — bo, patrząc z perspektywy, lata młodości Fiedii były czasem prawie karygodnej pobłażliwości i tolerancji. Klęskę więc, jaka na nią spadła, trzeba przypisać wyłącznie jej własnemu uporowi.

Fiedia spotkał ją na ulicy na kilka minut przedtem jak miała stawić się przed komisją kontrolną. Zdziwił się bledością jej twarzy, ale wytłumaczył to sobie jako skutek skrobanki, którą musiała dać sobie zrobić przed kilkoma dniami. Fiedia czuł się i trochę dumny i trochę winny z tego powodu, ale ostatecznie sama nalegała, żeby rzucić wszystkie ostrożności do diabła. W każdym razie nie usłyszał od niej żadnych wymówek. Ale teraz, odkąd zaczęła się ta cała sprawa z jej ojcem, wydawała się zupełnie bez głowy. Zamiast powitania powiedziała:

— Moja matka rozwiodła się z nim. Suka. Co ty na to?

Fiedia zaśmiał się dobrodusznie: "Pewnie że powinna to zrobić, jeżeli okazało się, że to kontrrewolucjonista".

Obróciła się ku niemu z taką furią, z wciągniętymi nozdrzami i mówiąc przez zęby, że przypominała syczącą, rozgniewaną gęś:

— Powiedz to jeszcze raz, a dostaniesz po tym swoim piegowatym pysku.

Zaśmiał się do niej z lekko zmrużonymi oczami: "Ta cała skrobanka wytrąciła ciebie z równowagi, ale musisz być spokojna przed Komisją. To bardzo ważne". Poszła szybko naprzód, nic nie mówiąc; szła nie w nogę z Fiedią, Fiedia starał się zmienić nogę choć zwykle Nadieżda dostosowywała się do niego, jakby usprawiedliwiając się, że jest trochę od niego wyższa.

Kiedy podchodzili do budynku Fiedia powiedział: "Musisz teraz przyrzec, że będziesz zachowywać się rozsądnie". Nic mu nawet nie odpowiedziała i do klasy, w której miało się odbyć zebranie, weszła z miną wyzywającą, co natychmiast nastawiło do niej nieprzychylnie wszystkich. Krzesła były ustawione w półkole przed stołem, za którym towarzysze z Okręgowego Komitetu mieli zasiąść pod portretami dwóch wodzów — dawnego i obecnego. Ale nie przyszli i komsomolcy musieli czekać

ponad pół godziny rozmawiając i gryząc siemieczki. Było ich dwudziestu pięciu czy trzydziestu. Kiedy Nadieżda weszła hałas ucichł i padło kilka powściągliwych przywitań. Zaraz wrócili jednak do rozmowy. Od czasu do czasu ktoś rzucił wzrokiem na Nadieżdę, ale napotykać jej dzikie spojrzenie odwracał natychmiast oczy, okazując obojętność. Skierowała się prosto ku krzesłu w końcu drugiego rzędu, które było oddzielone od innych czterema pustymi krzesłami. Fieda, idąc za nią, siadł obok, zostawiając jednak między nimi jedno puste krzesło. Siąść przy niej i oddzielić się w ten sposób od reszty kolegów — wyglądało by na demonstrację, albo nawet na stworzenie politycznej frakcji. Zostawić ją zupełnie samą — wyglądało by na demonstrację innego rodzaju. Dlatego poprawnym rozwiązaniem było zostawić jedno puste krzesło. Nic nie mówili, czekając na komisję. Nadieżda patrzyła prosto przed siebie, blada, z dzikim i nieobecnym wzrokiem. Fieda czytał „Komsomolską Prawdę”.

Wreszcie przybyli towarzysze z Okręgowego Komitetu. Była to trójka: czarniawy, mały człowieczek z zabawną twarzą i o łagodnym głosie; robotnica fabryczna w chustce z okrągłą, nieco tępą twarzą, która od razu spoglądała na Nadieżdę z wrogością; tudzież wymokła, biurokratyczna figura w okularach. Czarniawy człowieczek, który nazywał się towarzysz Jesieński, powiedział co należało o obowiązku rewolucyjnej czujności i o wadze chronienia kadr przed infiltracją socjalnie niebezpiecznych elementów. Potem zaczęła się przewlekła procedura wypytywania Nadieżdy o jej działalność, przekonania, o socjalne pochodzenie jej rodziców i dziadków.

Odpowiedzi jej były krótkie, dokładne i rzeczowe. Wypowiadała je jednak tonem wyzywającym. Okazało się, że dwa pokolenia przodków Nadieżdy zaliczały się z pochodzenia do burżuazji: ojciec jej ojca był również lekarzem, nawet specjalistą, z własnym domem w Petersburgu; ojciec jej matki był kupcem zbożowym, a więc pasożytem socjalnym par excellence. Została przyjęta do Komsomolu tylko dlatego, że jej ojciec wstąpił do Partii na wiele lat przed rewolucją i walczył, jako dowódca oddziału partyzantów, w wojnie domowej. „Czy już wtedy był kontrrewolucyjnym agentem i szpiegiem?” — zapytała kobieta w chustce. Nadieżda spoglądała na towarzysza Jesieńskiego, który pełnił funkcję przewodniczącego, i zapytała: „Czy muszę odpowiadać na takie idiotyczne pytania?” „Tak” — powiedział łagodnie przewodniczący. „I nie wolno wam używać obraźliwych słów wobec odpowiedzialnych towarzyszy, którzy są waszymi przełożonymi. Jeżeli odkryto, że ktoś jest kontrrewolucjonistą, nie jest idiotyczne przypuszczenie, że zaczął nim być dziesięć lat temu”. „Nie macie prawa nazywać go kontrrewolucjonistą” — powiedziała Nadieżda głosem nieco drżącym od hamowanej hysterii. „Człowiek jest uważany za niewinnego dopóki sąd nie dowiedzie, że jest winien”. „Skąd wzię-

liście ten pomysł liberalno-burżuazyjnej filozofii prawa?” — zapytał przewodniczący dziwnym głosem. Nadieżda zawahała się, wreszcie powiedziała niepewnie: „Czytałam to gdzieś w książce”. Kobieta w chustce rzuciła: „Na pewno w książce, która należała do waszego ojca?”. Szmer rozległ się wśród zebranych. „Nie — powiedziała Nadieżda i głos zaczął jej drżeć. „Kłamiecie” — stwierdziła kobieta. „Czy sądzicie” — zapytał łagodnie przewodniczący — że nasi towarzysze z Bezpieczeństwa aresztowaliby człowieka bez dowodów winy? Pomyślcie, zanim odpowiecie” — dodał szybko. „Bo jeżeli powiecie, że tak, to będzie znaczyło, że oskarżacie naszych towarzyszy z Bezpieczeństwa o aresztowanie niewinnych, a więc o kontrrewolucyjne szkodnictwo”. Nadieżda zagryzła wargi. „To mogła być pomyłka” — powiedziała wreszcie. „Organy bezpieczeństwa działają z największą ostrożnością i rozumą — to wyklucza możliwość pomyłek” — powiedział przewodniczący. „Czy chcecie temu zaprzeczyć?”. „Nie” — głos Nadieżdy był bezdźwięczny. „Możecie usiąść” — pozwolił przewodniczący. „Kto chce zabrać głos w sprawie towarzyszki Nadieżdy Filipowny?”.

Wystąpiło szereg członków komórki. Ich zeznania były raczej sprzeczne i nie wносиły wiele. Dziewczyna, o której powszechnie wiadano, że leci na Fiedię, wspomniała, że zawsze podejrzewała iż Nadieżda jest wilkiem w owczej skórce. Kiedy jednak przewodniczący zaczął ją przypierać do muru, żądając konkretnych faktów, które mogłyby dać powód do podejrzeń, zmieszła się i nie mogła wymienić żadnego. Jeden z chłopców świadczył na korzyść Nadieżdy, że zawsze była bardzo gorliwa w wypełnieniu zadań, jakie zleciła jej komórka. Kiedy jednak kobieta w chustce zapytała go czy nie mogła to być z jej strony zimna hipokryzja, aby zamaskować własne, prawdziwe intencje, przyznał, że nigdy nie można wiedzieć. Inny chłopiec powiedział, że zawsze zachowywała się arogancko, co dowodziło jej burżuazyjnego środowiska. Kiedy jednak ktoś przerwał mu uwagę, że miał złość do Nadieżdy za to, że go odstawiła, zaczęli się i słowa jego utonęły w powszechnym śmiechu. Towarzysz Jesieński uderzył w stół dłonią: To jest sprawa poważna. Jeżeli nikt inny nie ma nic do powiedzenia, udzielam głosu towarzyszowi Nikitinowi. Fieda Grigoriewicz, jesteście poważani przez kolegów, a wiemy, że byliście w przyjaźni z Nadieżdą Filipowną. Dacie nam teraz jej charakterystykę i powiecie co myślicie o niej, jako o socjalnym elemencie”.

Fieda wstał wśród powszechnej ciszy. Odsunął z czoła swoją czarną czapkę i spojrzał na towarzysza Jesieńskiego uważnie i bez śladu zakłopotania. „Tak” — powiedział — „myślałem o tym. Znam ją dobrze od niemala roku i nigdy nie miałem żadnych podejrzeń, aż przyszła ta wiadomość o jej ojcu”. Zatrzymał się i zdawało się, że sądzi, iż powiedział wszystko co było do powiedzenia. Kobieta w chustce zapytała: „To znaczy, że oczy wam się otworzyły dopiero kiedy dowiedzieliście się o jej

ojcu? Czujny z was towarzysz, nie ma co". Fiedia podrapał się w głowę w zamyśleniu: "Może i dałem się wprowadzić w błąd, ale nie wydawało się, żeby coś z nią było nie w porządku". "Wszystko w porządku" — powiedziała kobieta — "tylko że jej ojciec to wróg ludu, obrońca kulaków, a ona wiedziała cały czas o jego szkodliwej działalności przeciwko Partii i rządu. A was oszukiwała trzęsąc tyłkiem i beczelnie flirtując". Spojrzała naokoło i jej bezbarwne oczy matrony łowiły po kolei spojrzenia chłopców, ci spuszczały oczy i patrzyli na swoje buty. Widać jednak było, że coś zaświtało wreszcie w młodzińskich głowach.

Towarzysz Jesieński zwrócił się do Fiedy: "Powiedzieliście przed chwilą, że nie podejrzewaliście jej zanim jej ojciec został aresztowany. Cóż takiego powiedziała wtedy, czy zrobiła, że jej dawne zachowanie się ukazało się wam w nowym świetle?"

Fiedia przemyślał starannie odpowiedź. Wreszcie zaczął: "No, były takie drobiazgi, nic szczególnie ważnego. Była zła, że jej matka z nim się rozwiodła. To mnie zdziwiło, bo jej matka postąpiła tak jak należało, kiedy odkryto czym on jest. A później tu, na zebraniu, zachowywała się, jakby była otoczona wrogami. To dało mi do myślenia. To dowodzi, że nie czuje się tu naprawdę między swoimi..."

Towarzysz Jesieński chrząknął. "Czy to wszystko?"

— Tak.

Czarne oczy towarzysza Jesieńskiego błędziły po zebranych, a kiedy spoczęły na Fiedy znów pojawiła się w nich isierka humoru.

— No, to razem nie wiele, powiedział. — Przypuśćmy, że nic nie wiedziała o zbrodniczej działalności jej ojca, co w warunkach konspiracji jest zupełnie prawdopodobne. Takie nagle odkrycie musiało być dla niej bolesne. Jak sądzicie, jakbyście sami postąpili w podobnej sytuacji?

Fiedia znów wstał. Tarł sobie głowę, próbując znaleźć poprawną odpowiedź: "To by mnie się nie mogło zdarzyć" — powiedział nareszcie. "Więc nie umiem odpowiedzieć na wasze pytanie".

— Zupełnie słusznie — powiedziała kobieta w chustce — takie rzeczy mogą zdarzać się tylko w rodzinach z burżuazyjną, kulacką przeszłością. To właśnie temat, który dyskutujemy.

Były jeszcze małoistotne rozmowy, po czym zebranie zamknięto i wszyscy wyszli z wyjątkiem towarzyszy z Komitetu Okręgowego i Nadieżdy, którą poproszono, żeby została i udzieliła bardziej szczegółowych wyjaśnień. Inni członkowie komórki wąleli się jeszcze trochę po korytarzach, omawiając wypadek. Ich nastroje wobec niej były umiarkowane wrogo, ale wszyscy się godzili, że wyjdzie z tego z rocznym zawieszeniem z Kom-somołu i że przez rok będzie siedzieć cicho, co, jak przyznawali nawet jej przyjaciele, nic jej nie zaszkodzi. Ponieważ jednak decyzja Komitetu miała zapaść nie wcześniej jak za tydzień,

rozbiegli się wkrótce do swoich wieczorowych zajęć — na zebranie Szkolnego Komitetu Higieny, czy na Radę Kontroli Nauczycieli. Niektórzy wyruszali na godzinną wyprawę tramwajem do jednej z fabryk, aby wygłosić tam przemówienie o Planie, albo udawali się na pracę kulturalną w ośrodku likwidacji analfabetyzmu. Fiedia też się spieszył, bo miał wygłosić odczyt o materializmie dialektycznym w świetlicy na przedmieściu. Uważał jednak, że będzie grzeczniej jeżeli poczeka na Nadieżdę i odprowadzi ją najpierw do domu, rezygnując wskutek tego z kolacji.

Mniej więcej po pół godzinie Nadieżda wreszcie wyszła z twarzą jeszcze bleśszą niż przedtem i z nienaturalnie błyszczącymi oczami, jakby miała gorączkę. Wyglądała jakby była na niego obrażona, przeszła nie dostrzegając go, wyniosła — jak księżniczka z kina, pomyślał. Podreptał cierpliwie za nią i dołączył do niej na ulicy. Chociaż jednak starał się iść z nią w nogę, ciągle psuła to, jakby na umyślnie. To i jej uparte milczenie rozdrażniły go. Trzeba być jednak cierpliwym z głupimi kobietami, więc zapytał: "No, i jak tam poszło?"

Zatrzymała się nagle na środku ulicy i dosłownie zasyczała: "Jak śmiesz — jak śmiesz mówić do mnie?". "O co chodzi?" — zapytał zdumiony. Ale nie można było z nią dojść do ładu. "Ty brudna, parszywa świnię, po tym co powiedziałaś na zebraniu, ty...". I dalej tak syczała obrzucając go wyzwiskami, nazywając go zdrajcą, donosicielem itp. Próbował cierpliwie jej wytłumaczyć, że spełnił tylko swój obowiązek, mówiąc prawdę, chyba nie chciałaby żeby kłamał wobec Partii i stał się w ten sposób przestępcą, tylko dlatego, że utrzymywali ze sobą fizyczne stosunki dla wzajemnej wygody? Na to Nadieżda uderzyła go w twarz i uciekła omal nie wpadając pod tramwaj. Fiedia patrzył za nią niepomiernie zdziwiony, obracając na głowie czapkę. Potem nagle nasunął ją na oczy zdecydowawszy, nie bez pewnej ulgi, że to pewnie to i nic innego.

Nigdy już nie zobaczył Nadieżdy. Nie pokazała się w szkole i mówiono, że została wysłana do pracy w fabryce, czy kołchozie, gdzieś w środkowej Azji. Ale mniej więcej w tydzień potem Fiedia dostał wezwanie, aby zadzwonić pod pewien numer. Kiedy zadzwonił, przyjazny głos polecił mu zgłosić się o pewnej godzinie, do pewnego urzędu i nie wspominać o tym nikomu. Fieda wiedział, że miał zobaczyć towarzysza z Bezpieczeństwa i czuł się mile podniecony. Wiedział też, że musi być to w związku z Nadieżdą. I kiedy myślał teraz o niej, starając się ją sobie zsumować w umyśle, aby móc dać o niej przejrzyste sprawozdanie towarzyszowi z Bezpieczeństwa, zdarzyło mu się ciekawe przeżycie. Żywo pamiętał ton jej głosu, pamiętał, że miała zwyczaj chwycić jego wargi zębami, co zwykle podniecało go niesłychanie, pozostało mu przyjemne wrażenie dotyku gładkiej skóry jej piersi i pośladków — ale były to tylko okruczności wspomnień, których nie mógł połączyć w jedną całość. To

znaczy, zdolny był sobie przypomnieć części jej ciała i cechy, ale nie całą Nadieżdę, jako żywą osobę: jej obraz, jako osoby, blakł niby stara fotografia, pękał i rozpadał się w jego pamięci na kawałki. Chociaż próbował, nie mógł ich zebrać. Nie była już rzeczywista i sam nie wiedział czy była rzeczywista kiedykolwiek.

Po odrobinie namysłu odkrył, że to nie było wcale dziwne. Bo wiedział, że to co ktoś mógł nazwać "osobą" było ostatecznie tylko zbiorem części, cech i zapachów i tak dalej; poza tymi częściami i cechami osoba nie istniała, była tylko złudzeniem, które rozpięło się w nicłość. Jasne więc, że nie mógł zebrać w jedno fragmentów tej gramatycznej fikcji, która nosiła jej imię. Ciągłe trwały w pamięci jej usta, słaby szepc jej głosu w uchu, wrażenie krzepkiej miękkości we wnętrzu jego dłoni. Ale poza tym nie było Nadieżdy i nigdy nie istniała. Zadowolony, że rozwiązał jeszcze jedną zagadkę, włożył czapkę i wyruszył do budynku Bezpieczeństwa — imponującego gmachu, niemal drapacza chmur, który zawsze podziwiał z zewnątrz. Mówiono, że w przeciwieństwie do amerykańskich drapaczy, które były wadliwie budowane dla zgarnięcia szybkich zysków, ten nie wibrował i nie chwiał się: była to mocna, niezachwiana rzeczywistość, nie fikcja.

Człowiek, do którego biura został wprowadzony po spędzeniu pewnego czasu w poczekalni i długiej wędrówce po labiryncie korytarzy, podniósł się zza biurka i uściśnął rękę Fiedy z poważną życzliwością. Pierwszy rzut oka przekonał Fiedię, że towarzysz Maksimow należał do tej specjalnej rasy, z której wywodzili się przyjaciele jego ojca: doktor i prawnik w Baku, komisarz, którego spotkali w podróży i towarzysz Jesieński z Okręgowego Komitetu. Miał ten sam sposób uważnego słuchania, traktował młodych jak dorosłych, bez protekcyjności, sięgał od razu do sedna sprawy odsuwając na bok wszystko, co nie miało bezpośredniego związku, niby pajęczyny ruchem ręki. Chociaż ubrany był po cywilnemu poruszał się jakby ciągle jeszcze nosił wojskowe spodnie i długie buty — jak to nadal robili wszyscy ci, którzy walczyli w wojnie domowej i którzy spotykali się kiedyś, przed Wielką Zmianą, w izbach z glinianą podłogą. Zdawało się, że ich nogi czują się źle w zwykłych spodniach tęskniąc do dawnych partyzanckich dni. I oczywiście pierwszymi słowami, jakie wypowiedział towarzysz Maksimow było: "Znałem waszego ojca, Fiedia Grigoriewicz".

Zasiadł znów za biurkiem. Fiedia trzymał się prosto przed nim, grzecznie czekając aż poprosi go usiąść. Ponieważ towarzysz Maksimow nic więcej nie powiedział, oczekując, że Fiedia coś powie, Fiedia zapytał: "Gdzie? W Baku?"

— Tak. Byłem komisarzem na jednym z tankowców, które szmuglowały ropę morzem Kaspijskim dla naszych wojsk. Byliście za młodzi, żeby to pamiętać.

— Nie. Pamiętam. Mój ojciec wtedy mawiał: "Tej nocy wysyłamy ropę dla okrętu Iljicza".

Iljicz było to popularne imię zmarłego wodza rewolucji. Maksimow uśmiechnął się przelotnie na dźwięk tego niegdyś znanego sobie zdania.

— Dla okrętu Iljicza — powtórzy jak starzejący się bon viveur powtarza nutę dawno zapomnianego walca. — Ile lat mieliście wtedy? — zapytał, a jego twarz stała się znów przyjazna i poważna.

— Sześć albo siedem.

— Zgadza się. Siadajcie. Chodzi o waszą przyjaciółkę, Nadieżdę Filipownę. Co wiecie o niej?

— Powiedziałem wszystko na zebraniu komórki. A ona nie jest już moją przyjaciółką.

— Nie? Dlaczego? Czy myślicie, że jest kontrrewolucjonistką?

— Tego nie wiem. Ale myślałem o tym i odkryłem, że była zawsze obcym socjalnie elementem z klasowego punktu widzenia.

— Więc żał wam żeście się z nią zadawali?

Fiedia pomyślał. "Nie" — powiedział po chwili. "Wtedy nie wiedziałem tego, co wiem dzisiaj, więc nie mogłem postępować inaczej i nie mogę teraz żałować".

— Ale przyznajecie, że to był błąd?

— Tak — powiedział Fiedia. Jego umysł pracował i czujny, podejrzliwy wyraz zmącił jego szczere rysy. "Nie" — poprawił się. "Ponieważ nie wiedziałem, więc to nie mógł być błąd". Jego umysł pracował dalej i nagle twarz mu się rozjaśniła: "Tak. To był błąd dla tego, że nie wiedziałem".

— Ale powiadacie, że w tej samej sytuacji zrobilibyście ten błąd jeszcze raz.

— Tak, to prawda. Jestem winien, bo postępowałem błędnie, ale ponieważ myliłem się, nie mogłem postępować inaczej.

— Jeżeli jesteście winni to powinniście być ukarani.

— Tak.

— Ale ponieważ nie mogliście inaczej postępować niż postąpiliście, trzeba wam wybaczyć?

— Nie.

— Dlaczego?

— Pomylić się nie jest żadną wymówką.

— Czy możecie gniewać się na kogoś za to, że popełnił błąd?

— Nie.

— Ale ukaralibyście go?

— Tak.

— Zlikwidowaliście go jeżeli zagraża społeczeństwu?

— Tak.

— Za co?

— Za to, że stał się niebezpieczny dla społeczeństwa, postępując tak, jak musiał postąpić.

Towarzysz Maksimow spojrzał na niego z zaciekawieniem i zapalił papierosa.

— Nie zapytaliście mnie jeszcze co się stało z waszą Nadzieją.

— Wiem, że nie powinienem zadawać pytań.

— Nie macie się co o nią tak bardzo martwić...

— Ja się nie martwię.

Znów Maksimow rzucił na niego zaciekawione spojrzenie. Fiedia patrzył na niego swoim jasnym, młodzieńczym spojrzeniem lekko zmrużonych oczu. Wreszcie Maksimow powiedział:

— Dobrze. Wróćmy do rzeczy, Plan wymaga od ludzi ofiar. Zacofane elementy w masach nie rozumieją celu tych ofiar. Wiedzą tylko, że dostają mniej do jedzenia, niż dostawały przed rokiem. Tę sytuację wykorzystuje nieprzyjaciel. Kułacy chowają zboże i wyrzynają bydło. Opozycja popiera kułaków przeciwko rewolucji. Stara się podminować Partię. Dzieci opozycjonistów mają powierzone sobie zadanie podminowania Komsomolu. Mamy dowody, że Nadieżda Filipowna była jedną z czołowych działaczek dywersyjnej konspiracji...

Zrobił pauzę, czekając na efekt tego stwierdzenia. Dostę dziwne było, że nie patrzył na Fiedię. Jego oczy były zwrócone w pustą kąt pokoju, jakby działa się tam coś bardzo interesującego, a jego głos dźwięczał niespodziewanie bezbarwnie. Ale Fiedia był zbyt podniecony, aby zauważyć te dziwne objawy w zachowaniu się towarzysza Maksimowa. Gwizdnął przeciągle, zarumienił się z powodu własnej śmiałości i powiedział: "Więc to jest poważniejsze niż przypuszczałem. To chytne ścierwo..."

I myślał o uśmiechniętej twarzy księcia Rostowskiego, kiedy szeptał sułtanowi w ucho te słowa: "Massacrer, Majesté, massacrer". Żeby nie wiem jak kto był czujny, wróg swoją nieprawdopodobną przewrotnością i sprytem zawsze weźmie nad nim górę. Pomyślał o zębach dziewczyny, chwytających figlarnie jego wargi i czuł, że całe plecy ma pokryte gęsią skórą. "Och, ścierwo", powtarzał. Wtedy powoli straszny obraz Griszy pojawił mu się w pamięci — jak stał w środku izby, kopany przez nich w brzuch, z oczami utwionymi w jego oczach, przekazując mu wzrokiem ostatnie polecenie.

Nareszcie towarzysz Maksimow oderwał wzrok od pustego kąta pokoju i skierował go na ręce Fiedi; te były splecione i mocno zacisnięte, kwadratowe paznokcie wpijały się w wierzch dłoni.

— Teraz, kiedy wiecie całą prawdę — powiedział towarzysz Maksimow znużonym głosem — radzę wam niczego nie ukrywać, we własnym interesie.

— Ależ ja powiedziałem wszystko co wiem — zapewnił Fieda z jękiem bezsilnego gniewu.

— Kiedy pierwszy raz próbowała was wciągnąć do sabotażowej organizacji?

— Wcale nie próbowała. To najgorsze. Była tak chytra, tak podstępna, że niczego nie zauważyłem. Z wyjątkiem tego, że...

— Z wyjątkiem?

— Robiła uwagi. Wtedy myślałem tylko, że byli głupie, ale

teraz... Twarz mu się rozjaśniła, promieniała: rozwiązał zagadkę.

— Mówcie dalej — powiedział towarzysz Maksimow bez entuzjazmu. Jakie uwagi? Wziął ołówek i notes.

— Na przykład, kiedy ogłoszono projekt metra. Wszyscy wtedy oszaleliśmy z radości, ale ona się śmiała i mówiła, że w innych krajach też są metra, więc po co szaleć?

— A wy? Wyście jej wierzyli?

— Powiedziałem jej, że kłamie, a ona obiecała mi pokazać fotografie metra w Paryżu czy w Londynie. Zapomniałem gdzie.

— I pokazała wam te fotografie?

— Tak. W jakiejś encyklopedii.

— Więc w tym wypadku nie kłamała?

— Nie o to chodzi. Nie miała potrzeby śmiać się z naszego metra i chwalić metro w Paryżu czy w Londynie. Osobiście na mnie to nie robiło wrażenia, bo wiem, że jesteśmy zacofanym krajem i że kapitaliści nas wyprzedzili, ale inni czuli się zawiedzeni — oszukani — kiedy patrzyli na te fotografie z Paryża. Nie miała potrzeby chodzić naokoło pokazując te fotografie z Paryża, żeby podkopać nasze morale, jak...

— Jak kto?

— E, to nie ma z tym nic wspólnego.

— Proszę powiedzieć.

— Nic, przypominałem tylko sobie, kiedy byłem dzieckiem, w Baku, była tam sadzawka w Białym Mieście i Grisza — mój ojciec — zrobił mi żagłówek z kawałka drzewa i z rękawa swojej starej koszuli. Zawahał się i mówił dalej twardym, zimnym głosem: "A kiedy pierwszy raz puszczałem tę żagłówek na sadzawce, przyszedł chłopak, ubrany jak lalka w niebieskie marynarskie ubranko, a jego guwernantka niosła wielki żaglowiec-model z trzema masztami, śmigą i motorem, i chłopak pokazał mi język..."

Towarzysz Maksimow wstał i zaczął chodzić po pokoju. Po chwili zapytał, jakby zmuszając się do tego:

— Czy to zdarzenie z metrem było jedyne w tym rodzaju?

— Nie. Często z nami się tak drażniła. Pamiętam, któregoś dnia ktoś miał odczyt o zwycięskim wypełnieniu planu produkcji manganu, a ona wtedy powiedziała: "Żeby ja mogła najeść się tym manganem, to by było dobrze". I pamiętam jak poszliśmy raz do kina, a to był film o rewolucyjnym przywódcy, którego w piwnicy męczyli mnisi, aż robotnicy zdobyli klasztor i uwolnili go, ona cały czas chichotała, a kiedy film się skończył powiedziała, że to najgłupszy film, jaki zdarzyło jej się widzieć w życiu.

Towarzysz Maksimow zatrzymał się i powiedział obojętnym głosem:

— Ale powiedzieliście, zeznając na zebraniu, że zawsze gorliwie wypełniała swoje obowiązki?

— Kiedy tak było. Robiła wszystko, ale robiła to jakoś inaczej

niż my — jakby to była zabawa, dla sportu... Szukał słowa i wreszcie je znalazł. — Niepoważnie... Nigdy nie była naprawdę poważna, okazywała lekkomyślny stosunek do zadań socjalistycznego budownictwa.

Towarzysz Maksimow zasiadł znów za biurkiem. Wyglądał na zmęczonego i Fiedia miał uczucie, że towarzysz Maksimow ma go dosyć, choć nie pojmował dlaczego. A zresztą to go nie obchodziło. Miał obowiązek mówić prawdę i mówił prawdę, czy podobało się to komu, czy nie.

Wreszcie Maksimow powiedział:

— Słuchajcie uważnie. Powiedziałem wam, że mamy dowody przeciwko niej. Przypuśćmy, że powiedziałem to tylko, żeby was nastraszyć i że nie mamy dowodów, tylko podejrzenia. W takim wypadku jej los zależałby tylko od waszych zeznań. Czy podtrzymalibyście to, coście tu powiedzieli?

— Oczywiście. Wszystko co powiedziałem to prawda.

Towarzysz Maksimow zaczął się bawić ołówkiem. Głos jego był pełen powagi:

— I powiedzielibyście, że jej postawa zmierzała do podminowania morale jej towarzyszy?

— Tak.

— Zmierzała celowo?

— Tego nie wiem. Jaka różnica? Wychodzi na to samo. To jej wychowanie, jej całe socjalne środowisko, zmuszało ją do postępowania tak, jak postępowała.

— Krótko mówiąc, jej winą jest, że bawiła się żaglowcem i ma być ukarana za chłopca, który pokazał wam język?

Fiedia zastanawiał się do czego zmierza towarzysz Maksimow, zadając takie dziwaczne pytania. Wyglądało jakby próbował bronić sabotażystki. Wróg czuwał wszędzie. Jego agenci potrafili się wcisnąć na najważniejsze stanowiska, do najbardziej chronionych urzędów. Nawet arcyzdrajca zaszedł raz wysoko w armii. Możliwe jednak, że towarzysz Maksimow wystawiał go po prostu na próbę. W każdym razie pytanie było tak głupie, że lepiej było nic nie odpowiedzieć.

Po dłuższym milczeniu Maksimow rzekł nagle:

— Dobrze. Wziął telefon i zażądał stenografistki. Czekać aż przyjdzie, powiedział:

— Być może któregoś dnia zrozumiecie coście zrobili. Ale najprawdopodobniej nie zrozumiecie nigdy.

Choć ton był obojętny Fiedia wiedział, że towarzysz Maksimow chciał go obrazić. Siedział przed biurkiem, usta miał zacisnięte, oczy lekko zmrużone. Kiedy zjawiła się stenografistka towarzysz Maksimow szybko podyktował jej streszczenie zeznań Fiedi. Wspomniane tam było zdarzenia z metrem i manganem. Dosłownie podane było oświadczenie Fiedi o lekkomyślnej postawie Nadieży Filipowny wobec zadań socjalistycznego budownictwa, łącznie z konkluzją, że jej zachowanie się obiektywnie zmierzało do podminowania morale jej towarzyszy.

Fiedia słuchał uważnie, aby żadna część jego zeznań nie została opuszczona, ale niczego nie brakowało. Jeżeli Maksimow był szkodnikiem, to w każdym razie dbał o to, żeby kryć siebie jak najlepiej.

Kiedy Fiedia podpisał i sekretarka wyszła, Maksimow zapytał chłodno:

— Co macie zamiar robić ze sobą po skończeniu szkoły?

— Pójdę na uniwersytet.

— Czy myśleliście kiedyś o pracy dla Bezpieczeństwa?

— Nie.

— Czy mielibyście ochotę?

— Tak.

— Zdaje się, że nadajecie się szczególnie. Możliwe, że dostaniecie od nas wiadomości. Do widzenia.

To było wszystko. Ostatnia uwaga Maksimowa była największym kompletem, o jakim mógł marzyć Fiedia. Jednak ton, w jakim została zrobiona, był znów obrażający — gorzej, pogardliwy. Ale może i to stanowiło część ich techniki badań.

Fiedia rad był wydostawszy się na świeże powietrze. Diabli niech wezmą Maksimowa, pomyślał. Właśnie mijał go, klekocąc, przepełniony tramwaj. Wcisnął mocno czapkę, puścił się biegiem i zdołał wskoczyć na platformę lądując na nogach oberwanego, starszego mężczyzny. Mężczyzna cicho coś tam do siebie zamruczał i Fiedia odgadł po gatunku pięknego kiedyś palta, że jego właściciel należał do przedwojennej inteligencji — dlatego nie śmiał kłać głośno. Fiedia uśmiechnął się z zadowoleniem. Diabli niech wezmą ich wszystkich — myślał: człowieka w palcie i towarzysza Maksimowa i resztę tych starych, czy należą do Partii, czy nie. Wszyscy oni to przeszłość. Cóż takiego ostatecznie zrobili, żeby zajmować tyle miejsca? Konspirowali, rzucali bomby i bili się w partyzantce — roman-tyczne, przestarzałe bzdury. Nie zbudowali ani jednej fabryki, nie mieli pojęcia o produkcji i planie. Fiedia nagle zrobiło się wesoło. On i jego szkolni koledzy będą mieli akurat dwadzieścia lat kiedy Plan zostanie wykonany. I oni pokażą jak się organizuje widowisko — widowisko, jakiego nigdy dotychczas nie oglądano w historii.

Odsunął czapkę w tył, aż do szyi i zaczął gwizdać pod perkatym nosem. Jakie to szczęście być młodym i żyć w tych heroicznym czasach. A może ostatnia uwaga Maksimowa była zrobiona całkiem poważnie i on, Fiedia, będzie wysłany zagranicę, między dzikich baronów finansowych w cylindrach i frakach, jako misjonarz zbawienia ludzkości. Prawdopodobnie będą go torturowali i zabijali, jak zabili Griszę i rodzinę Arina, ale nie bał się tego. Jedyną rzeczą, której się bał i którą nie mogła się nigdy zdarzyć, było zostać wyrzuconym z Ruchu, jak Nandieżda, w ciemności zewnętrzne, tam gdzie potępieni wiążą się w męczarni pragnienia, wygnani na zawsze w wyschłą, ponurą krainę bez kropli wody.

Arthur KOESTLER.

Zycie dystansuje Koestlera

Przedrukowany poniżej wiersz został wzięty z warszawskiego tygodnika "Nowa Kultura" (Nr 29, z dnia 22 lipca 1951 r.). Jest on, jak się zdaje, dostatecznie ważnym przyczynkiem socjologicznym, aby zasłużyć na uważne czytanie.

Przedruk tego utworu byłby nieusprawiedliwiony, gdyby zdecydowała o tym skłonność do satyry czy taniej propagandy. Został on jednak napisany w r. 1951 przez jednego z młodych polskich poetów i opublikowany w oficjalnym tygodniku wychodzącym w Polsce, co oznacza, że znalazł on licznych czytelników i że jest przeto faktem społecznym.

Treścią wiersza jest gloryfikacja policji politycznej. Policja — a również policja polityczna — funkcjonowała i funkcjonuje we wszystkich znanych nam ustrojach i cywilizacjach. Można na ogół jednak stwierdzić, że o ile konieczność tropienia i karania przestępców nigdy niemal nie była podawana w wątpliwość, o tyle inaczej rzecz się ma z wyznaczaniem szczególnie zaszczytnego miejsca w społeczeństwie ludziom zajmującym się tą legalną "moką robotą".

Kat w średniowiecznej Europie zgładzał skazanych na śmierć to znaczy, że był tylko wykonawcą. Mimo to był wyobcowany ze zbiorowości: konieczny, ale nieczysty. Pachołkowie, którzy zajmowali się torturowaniem badanych w śledztwie byli uważani za zwyrodniałców — o czym dają pojęcie choćby fragmenty ołtarza mariackiego Wita Stwosza.

Tajny agent policji politycznej w czasach nowoczesnych istniał dotychczas jako mroczna, "zła strona" państwa i nosił niemną nazwę szpicla. Również jego szefowie przebywali na granicy światła i cienia, nigdy nie mogąc uzyskać w pełni szacunku swoich współobywateli.

Wielu z Polaków zna instytucję tzw. hyclów czyli rakarzy. Utrzymywały ich w Polsce zarządy miejskie, których byli funkcjonariuszami. Zwykle urządzali swoje obławy wczesnym rankiem, jeżdżąc swoją "budą" i wyskakując z niej niespodziewanie kiedy w pobliżu zjawiał się nieostrożny pies; polowali na niego przy pomocy długich kijów zakończonych pętłą. Co było dziwne, to powszechna nienawiść ulicy do hyclów, wyzwiska jakie padały pod ich adresem i rzewne łzy sklepikarek i służących na widok złapanego bezpańskiego psa. Ta nienawiść istniała niezależnie od społecznej użyteczności hycła. Było to poczucie solidarności z prześladowanymi psami — tak jak w wypadku kata i tajnego agenta prawdopodobnie odgrywało rolę poczucie solidarności z jednostką ludzką, osaczoną przez zbiorowość — choćby słuszność była po stronie zbiorowości.

Poematów wysławiających zawód kata, szefa "Ochrany", szpicla czy rakarza nie znajdzie się chyba w annałach cywilizacji.

Urząd Bezpieczeństwa łączy w sobie funkcje komisarza policji politycznej, tajnych agentów, rakarzy i katów. Przyjmijmy założenie, że jest on niezbędny, bo bez niego nie dałoby się realizować tej nowej niewątpliwie odmiany rewolucji jaką jest rewolucja "za naciśnięciem guzika" wprowadzona w Europie Środkowo-Wschodniej, dzięki sile Czerwonej Armii.

Sięgając wstecz warto przypomnieć, że kiedy powstała Czek nie była ona uważana przez rewolucjonistów z otoczenia Lenina i Trockiego za instytucję godną dyktatorów: nie można było ich zdaniem uniknąć jej stworzenia, to wszystko. Dzierżyński był chwalony za to, że poświęcał się: uprawiając terror robił robotę najmniej wdzięczną, bo właśnie leżącą w sferze cienia, robotę kata i oprawcy w imię obrony rewolucji.

Zaszczyt dość daleko od tamtego czasu. W wierszu młodego polskiego poety jest po pierwsze podkreślony pierwiastek pracy — kwestia przesłuchania pewnej liczby więźniów jest kwestią socjalistycznego współzawodnictwa. Po wtóre, jest tutaj całkowite wyprowadzenie zawodu pracownika Bezpieczeństwa na światło, a co za tym idzie przekreślenie jakiegokolwiek, nawet podświadomej, solidarności z ofiarą, to jest z człowiekiem, który chociażby nawet był winien to zasługuje na współczucie.

Jest to zresztą logiczne. Stulecia historii w ciągu których powstały legendy o spalonych heretykach, legenda poety-przestępcy Villona, legenda Janosika — nie zasługują już na uwagę. Jeżeli pojawiła się wtedy solidarność z prześladowanymi nie była ona — jak naucza się dzisiaj w Polsce młode pokolenie — niczym innym niż objawem socjalnego protestu klas uciskanych.

Stracenie Murzyna MacGee w Stanach Zjednoczonych jest wykorzystywane przez propagandę w Polsce, która apeluje do zwykłego ludzkiego współczucia: to jest dozwolone, jest to kanalizowanie odruchów emocjonalnych, których istnienie stwierdza się przez sam fakt podobnej propagandy. Równocześnie wymaga się od obywatela, aby i d e n t y f i k o w a ł się z aparatem śledczym i oprawczym we własnym kraju. Cokolwiek zrobi ten aparat musi być przez to samo uważane nie tylko za słuszne, ale witane z entuzjazmem. To znaczy, że obowiązkiem człowieka ulicy jest pomagać rakarzom w łapaniu psów. W danym wypadku chodzi jednak o ludzi. Konsekwencje tego zjawiska zachodzącego po raz pierwszy w historii są i będą olbrzymie — znacznie większe niż zdolny jest pojąć autor przytoczonego wiersza, brat nieodrodny Fieda z rozdziału powieści Koestlera.

TOWARZYSZOM Z BEZPIECZEŃSTWA

W pokoju,
gdzie gołe kąty
świeciły pustkami —
nie działa,
nie granice,
nie linie frontów,
tylko biurko ich rozdzielało;

W pokoju,
gdzie dużo palili,
a mówili
niechętnie i mało,
i każde pytanie
paliło,
i każda odpowiedź kłamała.

Serce krzyczało:
"Patrz,
patrz w oczy",
a majorowi
chciało się spać —
tyle nocy,

niedospanych,
mętnych,
popłątanych,
od dymu ciasnych,
— "wyprowadzić" —
rzeki konwojentom
i zasnął.

Śpij, majorze,
świt niedaleko,
widzisz
księżyc zaciąga wartę;
szósty rok już nie śpi Bezpieka,
strzegąc ziemi
panom wydartej.

Brnęła noc
przez serce,
przez rzyśka,
kolejami się snuła,
po torach,
i przyszedł towarzysz Dzierżyński
do towarzysza majora.

Z krzesła zrywając się,
patrzac,
(przecież twarz tę z dzieciństwa
[znałeś],

major stanął na baczność
i słów nie potrafił znaleźć.
Barki zdrętwiały
ból ciał,

tętno waliło w skroniach.
— "Towarzyszu Dzierżyński?
Pozwólcie.
Opowiem o nas.

Chyba chcecie wiedzieć
jak dzisiaj,
jakie sprawy
i jakie troski?
Zwyciężyliśmy, towarzyszu,
nową
budujemy Polskę.

Z gruzów,
z ruin
rośnie budowa
robociarz rządu,
kolejarz,
hutnik.
Towarzyszu,
wam tylko powiem,
jakże bywa tu czasem trudno:

jeszcze wróg
do końca nie uległ,
jeszcze w owczej
chowa się skórze,
jeszcze siedzi na miedzach kułak,
w czarne grunty łapy zanurzył,

jeszcze gnieździ się
różna swolocz
po zapadłych,
ciemnych powiatach.

— "Ale wy musicie podolać" —
rewolucja nam powiada.
Podołamy,
choć nie z żelaza,
przecież po to jesteśmy na ziemi;
naszej Partii,
naszej klasy,
nigdy w życiu nie zawiedziemy".

Dzierżyński patrzył:
jakże ojczysta
noc
za oknem
drzewa kołysze:
"Cóż, jestem stary czekista,
a zazdroszczę wam,
towarzyszu.

Zazdroszczę wam nocy łódzkiej,
tej,
na Piotrkowskiej,
i tej w oczach
znajomej,
łódzkiej,
niespokojnej bezpiecniackiej tro-
[ski]".

Zamilkł,
opuścił ręce,
uśmiechnął się,

prosto,
bez żalu:
"Wiecie,
wtedy,
gdy nawaliło serce,
to właśnie widziałem"...

Major pięści zaciska,
a pięści ma mocne, ciężkie,
i idzie Feliks Dzierżyński
z majorem
przez gmach Bezpieczeństwa —
"To właśnie widziałem" —
echo na piętrach krzyczy,
prężąc zmęczone ciała
wyciągają się wartownicy.

Oczy otwarte na oścież,
ramię obok ramienia,
ludzie z krwi i kości,
ludzie z prawdziwego zdarzenia.

Major obudził się,
stanął,
zadzwoił,
kazał wywołać,
i znów padały pytania,
i znów kłamała odpowiedź.

Słowa milczały,
sztywne,
i myśl urywała się raptem,
lecz nawet z tych negatywów
major wywoła prawdę.

"To właśnie widziałem" —
echo powtórzy,
i teraz
biurko,
co ich rozdzielało
najeży się kłami papierów.

Notuj, majorze, notuj,
szukaj, majorze, nici,
żadna brunatna hołota
nie powstrzyma naszego życia.

Stary przed tobą wróg,
szpieg i kret,
ty go w garści masz,
myślą myśl zakłamaną pruj,
słowo każde na dłoni waż.

Za nim wojen wodorowych mit,
dolarami mu kieszeń dźwięczy,
a za tobą jesteśmy my,
nas, majorze, o wiele więcej.

Cóż więc z tego,
że jeszcze dość ich,
do morderstwa szykujących ato-
[my,
my ojczyzny naszej młodości
nie oddamy nigdy nikomu.

Andrzej MANDALIAN.

(«Nowa Kultura», Warszawa, 22 lipca 1951, nr 29).

Poezja murzyńska

Tematyka murzyńska zdobyła sobie prawo obywatelstwa w literaturze już przed stuleciem, aczkolwiek ograniczała się początkowo do akcentów sentymentalnego humanitaryzmu w stylu słynnej "Chaty Wuja Toma" pani Beecher Stowe. Bogata twórczość ludowa czarnych nie zwracała na siebie uwagi badaczy ani pisarzy. Dopiero wiek XX przyniósł radykalną zmianę pod tym względem.

Powolny, ale stały awans społeczny Murzynów, zapoczątkowany zniesieniem niewolnictwa, wprowadził z biegiem lat wielu przedstawicieli rasy czarnej do literatury, sztuki, muzyki i stworzył przed nimi aule uniwersyteckie. Proces ten był szybszy i wyraźniejszy w krajach Ameryki Hiszpańskiej niż w Stanach Zjednoczonych, gdzie ścisła separacja czarnych od białych nie obowiązuje jedynie na froncie. Stąd bujny rozkwit literatury murzyńskiej — poezji przede wszystkim — w języku hiszpańskim, koncentrujący się na Wyspach Antylskich, z Kubą i Portoriko na czele.

"Instytucja niewolnictwa — pisze jeden z najlepszych znawców przedmiotu, Ramon Guirao — wydawała się Murzynom czymś naturalnym, była uzupełnieniem przyrody". Klęska konfederatów w wojnie secesyjnej przyniosła teoretyczną wolność, ale nie polepszyła sytuacji ekonomicznej. W wielu wypadkach wręcz przeciwnie, jeszcze ją pogorszyła. Usprawiedliwia to w pełni ostre akcenty poczucia krzywdy ludzkiej i społecznej i coraz gwałtowniejszego buntu. Prawie nie ma murzyńskiego poety, który by w tej czy innej formie nie skarżył się na dyskryminację rasową i społeczne upośledzenie. Niektórych z nich, jak Guillena, bunt ten zaprowadził do obozu komunistycznego, a przynajmniej w szeregi sympatyków marksizmu. Trzeba jednak podkreślić, że społeczny nurt bije jeszcze mocniej w poezji murzyńskiej w języku angielskim, która wydała już kilka liryków na miarę Langstona Hunghesa czy Countée Cullena. Poeci z wysp Karaibskich również lubią zakładać czapkę frygijską na głowę, ale ostry biologizm i sensualizm ich liryki nie dopuszcza do przesadnego społecznikowania, a przynajmniej je łagodzi: odwieczne tradycje Czarnego Łądu odżywają w tej poezji z niepohamowaną siłą i drewniane bębny puszczą afrykańskiej raz

po raz głośną krzyk wiecowego agitatora. Po dziś dzień istnieje na Kubie świetnie zorganizowana tajna sekta, zwana *ñ a ñ i g o*, której członkowie zbierają się w odludnych okolicach, aby oddawać się orgiom rytualnym, wywodzącym się bezpośrednio z religijnych tradycji pogan afrykańskich. To, co w pierwszej chwili mogłoby wydawać się stylizacją literacką, zrosnięte jest mocno z całym światem wierzeń, podań i obyczajów, które mimo powierzchniowej amerykanizacji trwają, mocno zrosnięte z psychiką Murzyna. Na skutek ciągłego dopływu niewolników aż do drugiej połowy ubiegłego stulecia, *pépowina* łącząca z Czarnym Łądem nie została zerwana, okrzepła i doprowadza żywotnym sokom do twórczości współczesnych poetów murzyńskich. Rzecz zastanawiająca: na Kubie powstało zjawisko, które można by określić jako *a f r y k a n i z a c j ę* innych ras, współżyjących z Murzynami; do wspomnianej sekty *ñ a ñ i g o* wstępują nie rzadko nie tylko Mulaci, ale również Chińczycy, a nawet Kreole.

Poza składnikami ściśle folklorystycznymi nie brak w tej poezji elementów czystej liryki, widoczny jest wpływ surrealizmu, nade wszystko zaś Fryderyka Lorki, którego egzotyzm i sensualizm dobrze przylega do psychiki kolorowych poetów. Ale podczas gdy na przykład na kontynencie, u pisarzy sięgających do autochtonicznych tradycji amerykańskich przeważa romantyzm rasy podbitej i podupadłej, a zatem stylizacja wspomnień przeszłości, na Antylach liryka pije u samych źródeł ludowych, niezagiętych mimo tylu stuleci. Jest ona na pewno bardziej autentycznym wyrazem duszy murzyńskiej niż *j a z z*, który bardzo rzadko występuje w czystej formie: przeważnie jest to muzyka oderwana od tła ludowego i zniekształcona przez tryby cywilizacji technicznej.

Rozkwit literatury murzyńskiej w języku hiszpańskim (często nazywając ją *a f r o - k u b a ñ s k ą*) nie ogranicza się do samej poezji. Lino D'On i Gustavo Urrutia uprawiają publicystykę i essay na wysokim poziomie; proza posiada tegich przedstawicieli w osobach Alejo Carpentiera, Lino Nóvasa i Luisa Felipe Rodrigueza. Jednak postacią najbardziej reprezentatywną jest liryk, Nicolás Guillen, autor świetnego zbioru "*Són-goro-Cosongo*", który dopiero w ostatnich latach odszedł bar-dziej ku tematyce społecznej (tom "*West-Indies*"). Guillen jest kubańskim Mulatem; również na Kubie urodził się Arozarena i Tallet. Pedroso ma w sobie krew murzyńską i chińską, Pales Matós jest Portorykańczykiem, Pereda Valdés pochodzi z Urugwaju.

JOSE ZACARIAS TALLET

R U M B A

Sumba, mama, rumba i tambo,
mabimba, mabomba, mabomba i bombo.

Sumba, mama, rumba i tambo,
mabimba, mabomba, mabomba i bombo.

Hej, w rumbę się puszcza murzynka Tomasa,
hej, murzyn Józef wypuszcza się w tan!
To jednym pośladkiem, to drugim pośladkiem,
wypreża się, spreża, wystrzela swym zadkiem,
brzuch naprzód wystawia, przegina się, zgina,
obcasem wybija rytm.

Czaki, czaki, czaki, czaraki.
Czaki, czaki, czaki, czaraki.

Potężne biodra murzynki Tomasy
kręcą się dokoła niewidzialnej osi,
furia rozpetana, oszalały wir.
Coraz to lubieżniej w tym tańcu się miota,
w podrzutach i skrętach, w namiętnych obrotach
murzyna Józefa do walki wyzywa;
ten, sztywny jak pajac, wygięty jak łuk,
za tyłkiem drgającym w furiackiej pogoni,
w podskokach gwałtownych — i krąży koto niej
w zgodnym rytmie ramion i nóg.

Zmień krok, Józefie, zmień krok.
Zmień krok, Józefie, zmień krok.
Zmień krok, Józefie, zmień krok.

Murzynka Tomasa biodrami ucieka
i głowę unosi, ramiona unosi,
i dłonie zaplata i kark swój z hebanu
na dłoniach opiera i w ruchu zamiera
i piersi okrągłe do przodu podaje,
dwie piersi drgające na prawo i lewo,
by olśnić czarnego Józefa.

Czaki, czaki, czaki, czaraki.
Czaki, czaki, czaki, czaraki.

Z chustą jedwabną, wzniesioną nad głową,
murzynkę Tomasę okrąża dokoła,

już ma ją, już chwytą, a ta go wyzywa,
a ta, nieulekta, piersiami go woła.
„Nie ujdiesz!”

I wycie wyrywa się z krtani,
żrenice — to węgle żarzące, sam diabeł
rozpetał się w ciele murzyna.

Murzynka Tomasa umyka przed ciosem
i woła szyderczo: „Nic z tego!”

I znowuż
biodrami przed czarnym Józefem się miota,
w lubieżnych nawrotach i w furii pożądań.
Samba, mama, rumba i tambo,
mabimba, mabomba, mabomba i bombo!

Rytm biją pałeczki,
zawodzi tamburyn,
urywa się bęben,
zanosi się flet.

W gwałtownym podskoku, w ostrym skręcie ciała
murzyn Józef przysiadł przy ziemi.
A czarna Tomasa na wpół oszalała
i bije odór puszczy
i odór dzikich ptaków
i odór samicy
i odór samca
i odór przedmieścia
i odór murzyńskiego baraku.

I dwie głowy — dwa suche kokosy,
na których ktoś kredą naznaczył
w górze dwa kółka, w dole grubą krechę.
I dwa ciała — czarnego i czarnej —
jak dwa lustra świecące od potu.

Rytm biją pałeczki,
zawodzi tamburyn,
urywa się bęben,
zanosi się flet.

Czaki, czaki, czaki, czaraki.
Czaki, czaki, czaki, czaraki.

I w ciałach tancerzy paroksyzm się skłębil,
pod władzą czaru murzyn się zgina
i bęben oszalał, załamał się bęben
i stania się czarna dziewczyna.

*Pikiti-pan, pikiti-pan.
Pikiti-pan, pikiti-pan.*

*Ku ziemi się chyli czarna Tomasa,
ku ziemi czarny Józef się chyli.
W konwulsjach się wiją, czar święty w nich wstąpił
i bęben zamiera po chwili.*

*Skończyła się rumba. Kon-Kon-Ko-Ma-bó.
Pa-ka, pa-ka, pa-ka, pa-ka, pa-ka,
pam, pam, pam.*

ILDEFONSO PEREDA VALDÉS.

MURZYŃSKA GITARA

*Dwaj murzyni na dwóch gitarach
grają i, śpiewając, łkają,
wzburzenie mają na ustach,
iskry miotają ze żreń.*

*Błyszczącym brzeszczotem zębów
tną swój śpiew na dwa kawały.
Och, melancholia murzyńska,
kieliszek nalany dżynem!
Dwaj czarni śpiewają, łkając,
rytmiczną tęsknotę kandomby.
Jakże tępo, jakże głucho
zawodzi bęben ich duszy.
Dalekie echo odgrzmiewa
i budzi ich z sennych marzeń!*

*Dwaj murzyni na dwóch gitarach
grają i łkają, śpiewając.*

MARCELINO AROZARENA.

KARIDAD

„Gwasa, Kolumbja, a kon-kon-kó ma-bó!”

*W krtani wódką przepalanej znojne echo się odbija,
głucho bęben galopuje w huczny rytm,
pjana czkawka się wyrzywa, spite słowa charczą w zębach
i na deskach się odzywa wściekły taniec pa-ta-tà.
Czemuż dotąd się nie zjawia, choć z nią każdy tańczyć rad,
ta soczysta,*

*rozłożysta,
ta piersiasta i biodrzasta
Karidad?*

*Ta mulatka złotoskóra, gdy miłosny rzuca urok,
kiedy, silną pierśią drżąca,
w tańcu zwodzi i potrąca,
gdy na deskach takt wybija jej namiętny, chutny chód,
gdy się zwiija i rozpręża, niosąc tyłka swego ciężar
wspólnym rytmem biodr i ud.*

*W nieprzytomnych drgawkach cała, co skracają jej wnętrzności,
w oszalałych rzutach ciała, namiętności znoiny zew,
jakaż prężność ramion młodych,
jakaż bujność jej urody,
jakaż jej etiopska słodycz i wzburzonej żądzny gniew,
jakiż urok złotoskórej, gdy się w żyłach cukrzy krew,
jakiż w członkach spazm namiętny, kiedy w każdym ruchu tętni
uwodzący bębna śpiew.*

„Gwasa, Kolumbja, a kon-kon-kó ma-bó!”

*Czemuż dotąd się nie zjawia ta mulatka Karidad?
Co się w tańcu przeinacza, gdy się puszcza w rytm gwaraczy,
kiedy rumba rozszałeje,
gdy się wścieka, płacze, śmieje,
niewolniczo za nią idzie każdy bęben, każdy gong,
gdy się miota tors jej nagi w czarnej magii nóg i rąk,
świętokradcza i bluźniercza, diabeł wstąpił w jej ramiona,
że szalona, niemal kona w nieprzytomnym gwanguwa-kó.*

„Gwasa, Kolumbja, a kon-kon-kó ma-bó!”

*Czemuż dotąd się nie zjawia, co z nią każdy tańczyć rad,
ta soczysta,
rozłożysta,
ta szalona, rozwydrzona, roztańczona Karidad?*

LUIS PALES MATOS.

BOMBO

*Magiczne słowo: Timbuktú.
Krzyżują się cienie przed ogniem,
skwierczy mięso hipopotama
i taniec murzyński — balele.*

Bóstwo Bombo nad tańcem krąży,
ma oczy żółte i senne,
talizmany afrykańskie
opadają mu na piersi.
Bóg Konga, Bombo najwyższy,
Bombo jest zadowolony!

A tam wśród dżungli skębionej,
gdzie baobab i gdzie kalaba,
pod zaklęciem czarowników
wstaje straszny czarny totem;
pół kajmana i pół ropuchy,
pół goryla i pół wieprza.
Bóg Konga, Bombo najwyższy,
Bombo jest zadowolony!

I to jest królestwo bajeczne
o potędze bezgranicznej;
kołem wojowniczych tańców
otacza go czarna Nigeria...
Wróże, świątki i znachory
klękają przed nim w milczeniu,
i nawet straszliwy czarownik,
zaprawiony w groźnej magii,
drży w strachu przed jego brzuchem
i głosem grzmiącym jak gromy.
Bóg Konga, Bombo najwyższy,
Bombo jest zadowolony!

Szczęśliw, który pije z błota,
w którym bóg nurza swój zadek!

Pod jego wspaniałą tuszą
każdy wróg moc swoją traci,
może usnąć w głębi puszczy,
pozbyty wszelkiego strachu,
a hipopotam i księżyc
uszanują jego senność.
Bóg Konga, Bombo najwyższy,
Bombo jest zadowolony!

Chodźcie, bracia, tańczyć balele!
Chodźcie w tan czarnego bóstwa.
Dokoła stosu, na którym
wolno ptonie biały jeniec...
Niech najpiękniejsza dziewczyna
otworzy uda i biodra,
by ją posiadał i zapłonił
najdzielniejszy z wojowników.

Chodźcie, bracia, tańczyć balele:
cała puszcza stoi w ryku.
Bo ta noc, to noc świąteczna,
w której nowy świat się rodzi.
Usnął kajman, usnął księżyc,
usnęli wszyscy wrogowie.
Jesteśmy władcami ziemi,
bo bóg Bombo naszym bogiem!

Chodźcie, bracia, tańczyć balele.
Krzyżują się cienie przed ogniem,
skwierczy mięso hipopotama
i gong rozbrzmiewa wśród ciszy.
Bóg Konga, Bombo najwyższy,
Bombo jest zadowolony!

NIAM - NIAM

Niam-niam. Oto białe mięso
czarne zęby tną. Niam-niam.
Czarne wargi nożycami
na białych udach. Niam-niam.
Poruszają się rytmicznie
zgłodniałe zuchwy. Niam-niam.
Lasy i dżungle splecione
groźna noc pożera. Niam-niam.

Niam-niam. Afryka wśród ciszy
ciężko przeżuwa. Niam-niam.
Na wieczerzę podróżnicy
i misjonarze. Niam-niam.
Który pierwszy zdołał dotrzeć
do Tanganiki — niam-niam.
Kto wdarł się do Tambandumby,
matki miast naszych — niam-niam.

Niam-niam. Czarne fetysze
otwierają usta — niam-niam.
Zrenice czarnoksiężnika
błyskają w mroku — niam-niam.
Juchą zarżniętej ofiary
upija się totem — niam-niam.
i cała Nigeria w zębach
świecących przez tuman: Niam-niam.

Azja śni swoją Nirwanę...
 Ameryka tańczy w rytm jazzbandu,
 Europa zabawia się w teorie,
 Afryka warczy: Niam-niam.

NICOLAS GUILLEN.

BALLADA O DWÓCH PRZODKACH

Cienie, których nikt nie widzi prócz mnie,
 towarzyszą mi dwaj przodkowie.

Dzida o ostrzu z kości,
 bęben ze skóry i drzewa —
 mój przodek czarny.

Kryza na krzepkiej szyi,
 polerowany pancerz —
 mój przodek biały.

Bose stopy, kamienny tors —
 spadek po czarnym przodku;
 Zrenice z północnego szkła —
 spadek po przodku białym.

Wilgotne puszcze afrykańskie
 i warkot głuchych gongów...
 — Oto umieram! —
 powiada mój przodek czarny.
 Zalewy, pełne kajmanów,
 zielen kokosowych poranków.
 — Jestem zmęczony! —
 powiada mój przodek biały.

Och, żagle gorzkiego wiatru,
 galeon płonący złotem!
 — Oto umieram! —
 powiada mój przodek czarny.
 Och, szyje dziewicze brzegów,
 całe w perłowych namistach!
 — Jestem zmęczony! —
 powiada mój przodek biały.

Och, słońce, słońce nabrzmiałe,
 więzione w kole Zwrotnika!

Och, księżyc, okrągły i czysty
 ponad snami młotów gromad!

Ileż statków, ileż statków!
 Iluż czarnych, iluż czarnych!
 Jaki szum przeciągły trzciny!

I świst handlarskiego bata!
 Ile krwi i ile płaczu!
 Wpół otwarte oczy i żyły,
 świtania porannej pustki,
 kipiące życiem wieczory
 i wielki głos, głos potężny,
 rwący ciszę na kawały.
 Ileż statków, ileż statków!
 Iluż czarnych!
 Cienie, których nikt nie widzi prócz mnie,
 towarzyszą mi moi dwaj przodkowie.
 Nawołuje mnie dziad Fryderyk,
 zaś Taito Fakundo milczy;
 Obydwaj śnią w ciemnej nocy,
 idąc przed siebie.

Łączę ich w jedność.
 Fryderyku!
 Fakundo! Zamieniają uścisk.
 W uścisku wzdychają obydwa.
 Potężne głowy unoszą
 pod wysokimi gwiazdami,
 głowy tej samej wielkości,
 obaj tej samej wielkości,
 żądza czarna i żądza biała,
 obaj tej samej wielkości.
 Wotają. Marzą. Płaczą. Śpiewają.
 Śpiewają... Śpiewają... Śpiewają!

PIEŚŃ NA BĘBEN

Rytm bębna rozbrzmiewa w ciszy.
 — I każdy kto czuł na pieśń,
 odkrzyknie, gdy głos mój ustyszy.

A jedni mówią: „Idziemy!”
 A inni: „Nie będziem zwlekać!”
 Ale mój rytm ochrypty,
 mój głos, głęboki jak rzeka,
 zwołuje czarnych i białych,

by biegli w tańcu gorącym,
ci, których kolor zawdzięcza
wiele więcej swej krwi niżli słońcu;
bo kto zewnątrz nie jest czarny jak noc,
od dawna szczerziat od środka.
— A każdy kto czuł na pieśń,
odkrzyknie gdy głos mój napotka!

Bo na ziemi tej, która unosi
Afrykę i Hiszpanię na barach,
z jednej strony czarna Bon-gó,
a z drugiej święta Barbara;
nieraz spotka szlachecki tytuł,

kto się za przodkiem rozgląda,
i herby swoje Kastylii
połączyła z murzyńskim łodem.
Zatem lepiej zmilczeć, przyjaciele,
tu wszelkie spory na nic,
gdyż przychodzimy z daleka
i jesteśmy ze sobą zrównani.
Więc każdy, kto czuł na pieśń,
słyszac głos mój, niech idzie za nim!

Będzie taki, co mnie znieważy,
choć w swoim sercu pochwali,
będą tacy, co mnie oplwają,
choć sam na sam twarz całowali...
A do takich powiadam:

Kumie!

Jeszcze mnie będziesz przepraszał,
jeszcze przyjdiesz do mnie na obiad,
jeszcze przyznasz, że racja jest nasza,
jeszcze rytmem tym zagrzmisz na bębnie,
jeszcze tańcząc zapatrzyasz się we mnie,
jeszcze uchwycisz pod ramię
i uśmiechniesz się do nas przyjemnie,
jeszcze zejdziesz ku mnie z twych wyżyn,
bowiem nie ma wyższego nade mnie!

MURZYŃSKI ŚPIEW

Jam-ba-bó, jam-bam-bé!
Jakże dźwięczny kongo--solongo,
czarny rytm, jakże czarny rytm:
ach, to kongo-solongo z Songo,
jaki śmiech w wyszczerzonych zębach.

Mamatomba
serembe kuseremba.

To murzyn tańczy i śpiewa,
to murzyn śpiewa i tańczy,
i odchodzi gdy kończy się pieśń.

Aku-meme serem-bó,
a-é
jam-bó
a-é.

Tamba, tamba, tamba, tamba,
tamba murzyńskie i tamba,
murzyńskie tamba, karamba,
karamba, murzyńskie tamba:
jamba, jam-bó, jam-bam-bé!

BALLADA O UPIORZE

Niech idzie precz charakternik!
Upiór, odpędźcie upiora!

W głębi wód zmaconej rzeki
mieszkają złe umarlaki;
skorupy olbrzymich żółwi,
główki małych murzyniątek.
W nocy rzeka wyciąga ramiona
i ciszę drze pazurami,
a są to straszne pazury
rozjątrzonych krokodylów.
Pod wołaniem konstelacyj
i pod pożarem księżycy
rzeka wśród kamieni szczeka,
palcami niewidzialnymi
huśta tuk wątlęgo mostu,
aby dusić podróżników.

Niech idzie precz charakternik!
Upiór, odpędźcie upiora!

Karty o olbrzymich pepkach
zamieszkują ciemne wody:
mają krótkie, krzywe nogi,
uszy długie, wystające.
Ach, pożrą moje dzieciątko,
pożrą gładkie czarne ciało,
wyżłonią gorącą krew,
wychłepczą drgające żyły,

zamkną mu oczy na zawsze,
 oczy ogromne jak perty.
 Uciekaj, bo Strach cię zabije!
 Uciekaj, nim Strach nadejdzie!
 Ach, malutki mój, maluśki,
 niech twój fetysz cię wspomaga!

Niech idzie precz charakternik!
 Upiór, odpędźcie upiora!

Nie pomogła święta Barbara...
 Wynurzyła się ręka z wody
 i w głąb zły upiór go wciągnął.
 Na dwoje rozłupał czaszkę,
 zagasit blask wielkich źrenic,
 powyrywał białe zęby,
 na węzeł splątał mu nogi,
 na drugi węzeł ramiona...
 Ach, malutki mój, maluśki,
 coś był uśmiechem mych ust!
 Teraz śni się moim smutkom
 dno bagniste twojej rzeki
 i twoje żytki wyssane
 i serce wodą nasiąkłe...

Niech idzie precz charakternik!
 Odpędźcie złe upiorzysko!
 Ach, malutki mój, maluśki,
 com mówił, stało się wszystko!

NADEJŚCIE

Oto jesteśmy!
 Wilgotne słowa nadciągają z puszczy
 i słońce gwałtowne
 wschodzi nam w naszych arteriach.
 Krzepka jest pięść,
 a w pięści wiosto!

W głębokim spojrzeniu drzemią palmy fantastyczne
 i krzyk się wyrzywa, jak błysk dziewiczego złota.
 Nasza stopa,
 szeroka i twarda,
 miazdży pył dróg porzuconych,
 wąskich dróg, którymi idzie nasz szereg.
 Wiemy gdzie rodzą się rzeki
 i kochamy je, bowiem one
 pchają nasze piragwy pod niebem czerwonym.

Nasz śpiew
 jest jako muskuł sprężony pod skórą duszy,
 nasz prosty śpiew.
 Przynosimy dymy o świetle
 i ogień gdy noc nadchodzi
 i sztylet, twardy odłamek księżycy,
 dłoniom barbarzyńskim przychylny;
 przynosimy kajmany z moczarów,
 i łuk, który wystrzela nasze żądze,
 i pas Zwrotnika
 i ducha nieskalanego.

Przynosimy
 kształt ostateczny amerykańskiego profilu.

Hej, towarzysze, oto jesteśmy!
 Miasto nas oczekuje w swoich pałacach,
 wiotkich, jako tkanina leśnych pszczoł;
 jego ulice wyschły jak rzeki, gdy deszcz nie pada w górach,
 jego domy patrzą na nas oczami bojaźliwymi swych okien.

Ludzie dawnych epok zaofiarują nam mleko i miód
 i skronie zielonymi liśćmi uwieńczą.

Hej, towarzysze, oto jesteśmy!
 Pod blaskiem słońca
 nasza spocona skóra odbije lica wilgotne zwyciężonych
 i w nocy, podczas gdy gwiazdy zapłoną na jezorach naszych ogní,
 nasz uśmiech zbudzi się nad świeżością ptaków i rzek!

REGINO PEDROSO.

BRAT MURZYN

Murzynie, bracie murzynie,
 ty jesteś we mnie: Przemów!
 Murzynie, bracie murzynie,
 ja jestem w tobie: Śpiewaj!
 W moim głosie dźwięczy twój głos,
 twój niepokój odzywa się w moim głosie.
 Należymy do tej samej rasy!

Murzynie, bracie murzynie,
 najsilniejszy, najbardziej smutny,
 najśpiwniejszy i najbardziej żawy!

Przy tobie jest pieśń,
albowiem nocna puszcza dała ci swe rytmy barbarzyńskie;
przy tobie jest lament,
albowiem wielkie rzeki przekazały tobie swe łzy.
Murzynie, bracie murzynie!
Czarniejszy z głosu, niżli z pochodzenia!

Byłeś wolny na ziemi,
jako dzikie zwierzęta, jak drzewa,
jak twoje rzeki, jak twoje słońce...
Twoje oblicze szerokie było pod niebem, jak śmiech.
I stałeś się niewolnikiem;
i czułeś jak ciosy bata
rozplamieniają w twym ciele straszliwy gniew
i, spalając się w ogniu,
śpiewałeś.

Murzynie, bracie murzynie,
jakaż moc w twoim bólu, że, nawet płacząc, śpiewasz!

Dla swej przyjemności
bogacz czyni z ciebie zabawkę,
i w Paryżu, i w Nowym Jorku, i w Madrycie, i w Hawanie
wyrabiają kukielki,
murzynów ze stomy na sprzedaż;
a są i tacy, co za śmiech twój płacą głodem,
handlują twoim potem,
przelapują na pieniądź twą tęsknotę,
a ty śmiesz się, oddajesz się i tańczysz.

Kochałeś kiedykolwiek?
kiedy kochasz, jesteś barbarzyńcą!
Krzyczałeś kiedykolwiek?
Kiedy krzyczysz — krzykiem barbarzyńcy!
Korzystałeś z życia kiedykolwiek?
Ach, jeśli żyjesz — to jak barbarzyńca!

I to wyłącznie z powodu twojej skóry? Z powodu koloru?
Nie, nie tylko dlatego; bardziej jeszcze dlatego,
że pod pokrywką twojej rasy
wykorzystują twój pot, twoją pracę.
Murzynie, bracie murzynie,
czas już przestać być dziwką w służbie białych!
Musisz się tego nauczyć,
musisz się pilnie przyjrzeć,
musisz uchwycić słuchem, tu, w Scottsboro, w Scottsboro,
ponad głosami twoich niewolniczych trosk,
[w Scottsboro,

pożądanie człowieka,
gniew człowieka,
ból i ludzkie dążenia człowieka bez rasy.

Murzynie, bracie murzynie,
czas przyćmić żałobą taneczny rytm twoich bębnow.

Jesteśmy wyłącznie murzynami?
Jesteśmy wielkomięjskim śmieciem?
Jesteśmy tańcem, czarną rozpustą i ludźmi ostatniego rzędu?
Jesteśmy wyłącznie czarnym grymasem,
Jesteśmy czarnym grymasem?

Musisz się tego nauczyć,
musisz uchwycić słuchem,
musisz się przyjrzeć,
tu, w Scottsboro, w Scottsboro, w Scottsboro,
ludziom, co broczą krwią
pod odzieniem czarnym swej skóry.

Murzynie, bracie murzynie,
bardziej niż przez pochodzenie, bracie mój w pożądaniach,
murzynie z Haiti, murzynie z Jamajki, murzynie z Nowego
[Jorku, murzynie z Hawany,
ty, który jesteś udręką, sprzedawaną w sklepach przez
[handlarzy,
słuchaj mnie tu, w Scottsboro, w Scottsboro, w Scottsboro...
Rzuć na świat twój buntowniczy niepokój,
twój ludzki głos...
i przestań być dziwką w służbie białych!

Przełożył z hiszpańskiego

Józef ŁOBODOWSKI.

NOTA TŁUMACZA.

Przekład tych kilkunastu wierszy nastęrczał wiele trudności zarówno ze względu na egzotykę tematu, jak i na słownictwo, gesto poprzetykalne zwrotami gwarowymi, niespotykanymi w samej Hiszpanii. Zdania onomatopieczne, w wysokim stopniu charakteryzujące lirykę afro-kubańską, a pozbawione znaczenia i związku logicznego, trzeba było zostawić w brzmieniu oryginalnym. Sporo miałem kłopotu z nazwami z mitologii murzyńskiej i poszukiwaniem dla nich odpowiedników. Tak na przykład *Güije*, który w pięknej balladzie Nicolasa Guillena wciąga do wody i pożera małego Murzynka, to nie to samo co polski upiór. Wampira uznałem za zbyt literackiego jak na poezję tego rodzaju; dawać odnośnika, wyjaśniającego kim jest ów krwiożerczy *Güije*, nie chciałem. W ten sposób nasz ludowy upiór zawędrował do puszczy kubańskiej, by straszyc nieostrożne murzyniata, co ufne w potęgę swego amuletu, zapuszczają się same między bagna.

Straty Kultury Polskiej

Kardynał Sapieha

O Skardze można powiedzieć, że nie był wprawdzie filozofem, ale był czymś znacznie więcej, bo mędrce. O kardynałe Sapieże należało by powiedzieć, że nie był geniuszem, ale za to czymś bez porównania większym i rzadszym: wielkim charakterem. Był niezwykle prawym, po bohatersku prawym człowiekiem. A są całe okresy, kiedy heroiczna prawota nawet przy przeciętnym umyśle jest nieskończenie wyższą wartością od geniuszu. Jest w niej bowiem czerstwe zdrowie uporczywego stałego wysiłku, górujące nad chwilowymi zrywami i porywami.

Chrześcijaństwo jest przede wszystkim zgrzebne i dla tego jak zgrzebna świtka — niezdarte. Jest "krojone" w pierwszym rzędzie na zwykłego człowieka, choć posiada zdolność onieśmiania najzawrotniejszych geniuszów. Jest takie, że można się go wstydzic, jak zrazu wstydzic się nawrócony Augustyn ubożuchnego języka Nowego Testamentu. Ale jest i takie, że, jak Tomaszowi z Akwinu, ukaże z przerażliwą jasnością, iż cała mądrość i całe piękno świata, jest garstką zleżalej słomy wobec odblasku jednej z prawd bożych.

Napisał Skarga śliczne zdanie o Piśmie św.: "Dziwna to rzeka, Pismo św. — i tak miała, iż w niej baranek, to jest prosty i nieuczony brodzić, i wielbłąd, to jest uczony i doktor, pływać i zatopić się może". Oto też jest zamknięcie prawdy o Chrześcijaństwie.

Czas na ludzi prostych i prawych nadchodzi szczególnie wtedy, gdy Bóg sam wkracza w dzieje świata i pisze prosto na jego drogach krzywych. Czasy Sapiehy należały i należą do takich. Nie było w nich od niego na Polskę światło wiedzy, jakieś osobliwej kultury umysłowej, artystycznej. Można nawet szczerze powiedzieć, nie obrażając tak drogiej Polakom pamięci Zmarłego, że Książę Metropolita tych cech nie posiadał. Nie posiadał nie tylko w stopniu wybitnym, ale nawet w tym, co niektórzy członkowie kolegium naszych biskupów. Nie imponował rozległością horyzontów, ale też, jak mówi Ches-

terton, tak zwane rozległe horyzonty, to rzecz najmniejsza, jaką człowiek może mieć. Jednakowoż właśnie ten hierarcha, tak przy tym "partykularny", krakowski, blaskiem swojej osoby przesłonił wszystkich naszych arcybiskupów i on to wyrósł do roli żywego symbolu tego, co w narodzie jest najlepsze. O Niemcewiczu pięknie powiedziano: "człowiek-Polska". — Oto tytuł dla kardynała Sapiehy!

Lat temu 37, w Boże Narodzenie 1914 roku, pisał w odezwie Książęco-Biskupiego Komitetu Pomocy ofiarom wojny: "Nasz stary Kraków dwa razy już w tej wojnie był w bliskim niebezpieczeństwie, ale Bóg go uchronił — czy nie na to, aby jak w ciągu wieków tak i teraz był sercem krwią spływającą pożogą zniszczonej Polski. Musi on ją całą przyswajać, otoczyć opieką, za wszystkich, którym to dziś niemożliwe, przemówić". — Nie rząd, nie inny hierarcha ani żaden inny Polak, lecz właśnie Książę Metropolita krakowski stał się sercem krwią spływającą, pożogą zniszczonej Polski. To on ją przyswajał, otaczał opieką. Za wszystkich, którym to było niemożliwe, on przemawiał. Ale przemawiał także i za tych, którym to było możliwe, których to było i nie przestało być obowiązkiem. I bolał nam małoskową swarliwością emigracji, nad jej bezideowym dreptaniem w dawno zamazane i zdeptane kołko, choć też, z drugiej strony, patrzył bez przesadnego entuzjazmu na religijne i duchowe odrodzenie w Polsce i prawdziwie po męsku umiał w nim wyróżnić pozory i sycenie pewnych kompleksów rzekomą praktyką katolicyzmu od rzeczywistych przemian.

Metropolita krakowski uosobił moralną godność i majestat Polski w tych dniach poniżenia, ale i zbawiennych oczyszczeń. Ku niemu od lat, jako znakowi odporu i wytrwania, były zwrócone oczy i nachylone wszystkie prawe serca polskie.

Jest niełatwo pisać o zmarłym kardynale. Jakże Go zanalizować? Wyrósł na symbol w oczach najcięższych, a nie miał tych cech, według których świat sądzi o ludziach wielkich. To znaczy — bo okoliczności trudne okazują jakim się jest naprawdę — a on w nich wzniósł się do wyżyn ogólnonarodowej wielkości, że miarki ludzkie i ludzkie wymagania talentów, horyzontów, kultury, są niewspółmierne z wielkością rzeczywistą, a przynajmniej nie z każdą wielkością. Jest bowiem ten szczególny rodzaj wielkości, która rośnie prosto z boskiej energii i wobec którego nasze laickie miarki zawodą. Tą właśnie wielkością odznaczył się kardynał Sapieha.

Było w nim coś egzotycznego. Coś — równocześnie — transcendentalnego i tak bardzo krajowego, lokalnego, partykularnego nawet. Promieniował osobliwym urokiem, a w tym uroku był i jego element osobisty, ale też i przekraczający ludzką osobowość zmarłego.

Postać drobna, sucha, niezwykle żywa, sprężysta. Cera raczej śniada, rysy ostro rzeźbione. Ktoś patrząc na jego profil, powiedział: "Ciupaga w tańcu". Jest w tej pozornie od-

Skąd się wzięła jego przyjaźń z ks. arcybiskupem Teodo-

rowiczem? Czy z lat kapłaństwa we Lwowie, czy później? Trudno w tej chwili powiedzieć. Kto ks. Sapiechę polecił do Watykanu? Czy stało się to w czasie znanej interwencji arcybiskupa Teodorowicza u Piusa X w chwili pewnej dezorientacji opinii polskiej? A przyjaźń tych dwu ludzi zaważyła bardzo na pierwszych latach polskiej niepodległości "próbnej". Był potem czas wspólnej podróży obu biskupów do Rzymu, do Paryża i do Belgii.

Ks. arcybiskup Teodorowicz, zamieszany przez pewien okres w politykę, od której, jak mówił, miała go potem odwrócić wizyta u Teresy Neumann, w politykę, której absolutnie nie rozumiał, choć wsączał w nią swe ormiańskie pierwiastki entuzjazmu i pewnej bezwzględności, sny mesjanistyczne, dworskie maniry z lat dawnych i uniesienia poety — powziął niechęć i podejrzenia najzupełniej niesłuszne (w sprawie Śląska), do pierwszego Nuncjusza w Polsce późniejszego Piusa XI i rzucił winę za akty kard. Bertrama na Sekretarza Stanu Gasparri'ego. Zażądał odwołania monsignora Ratti, tak bohaterko scalonego z losami Warszawy w sierpniu 1920 roku, żądał też ustąpienia samego Sekretarza Stanu (i nawet, jak to potem mówił wtajemniczonym, ustąpienie to na chwilę uzyskał). Towarzyszący mu w tych akcjach biskup Sapieha musiał później płacić za kunsztowne koronki zbędnych inicjatyw ks. Teodorowicza. Za to wspólnie z nim po raz pierwszy wystąpił na terenie międzynarodowym: W Paryżu obaj hierarchowie chętnie, nieraz owacyjnie byli podejmowani przez największe postacie co dopiero ukończonej wojny. Poincaré zbiegał po schodach na ich powitanie, choć trzymał drzwi zamknięte dla kogokolwiek i nie uchodził przecież za "klerykała". Foch, dobry katolik, przyjął ich serdecznie w swych biurach wojskowych i wystąpił z długą oracją o konieczności w Polsce zgody narodowej (aluzja w pewnej mierze uzasadniona, być może, do stanowiska ks. Teodorowicza względem Piłsudskiego). To swoje — jak mówił — "kazanie" przerwał okrzykiem: "... ale przecież mówię do Biskupów"! Szczególne triumfy obaj biskupi święcili w Brukseli i u kardynała Mercier.

Dokąd biskup Sapieha nie wychylił się za obręb swej diecezji i szlak: Rzym, czasem Wiedeń, znowu Kraków i da capo al segno. Teraz zaczął podróżować, a jeszcze częściej zaczął odbierać zagraniczne wizyty. Można napotkać opisy tych zetknięć się z krakowskim biskupem pióra obokrajowców. Opis taki zostawił np. późniejszy kardynał Baudrillart, rektor Instytutu Katolickiego w Paryżu. Mons. Baudrillart ze zdziwieniem podkreślał skromność stołu biskupiego, do którego został przypadkiem zaproszony. Może należało by też wspomnieć o kontaktach z Sapiechą szwajcarskiego konwertyty i księdza F. Speisera, jeszcze za tamtych zaborów. Tego jurystę z Bazylei, potem profesora prawa kanonicznego poznał ks. Sapieha na studiach w Innsbrucku. Ks. Speiser nieraz przyjeżdżał do Kra-

kowa, był gościem biskupa. Jeździł też i do Warszawy, co za carskich czasów nie było rzeczą łatwą dla zagranicznego księdza. Wtajemniczeni twierdzili, że ks. Speiser miał rodzaj misji kościelnej na Polskę poza nuncjaturą wiedeńską, a informatorem jego dla Watykanu był książę biskup krakowski.

Pius XI był przeciwko udziałowi biskupów w ciałach politycznych, toteż biskup Sapieha szybko wycofał się z czynnego życia politycznego. Konkordat z 1925 roku podniósł Kraków do rzędu metropolii i nowy arcybiskup znowu coraz bardziej zamykał się w swej archidiecezji. Na terenie Krakowa były trzy seminaria duchowne: krakowskie, śląskie i częstochowskie i było zasługą metropolity, że instytucje te stanęły na wysokim poziomie przygotowania pasterskiego. Za niego to stary Kraków zaczął się modernizować w niepodległym państwie nie tylko przemysłowo, administracyjnie, demograficznie, ale i kościelnie, przez powrót niektórych zakonów, przez nowe fundacje, przez świeży rozmach Akcji katolickiej i najżywszy w całej Polsce ruch nowoczesnej myśli społeczno-gospodarczej, przez nawiązującą do tradycji a równocześnie tak nowożytną akcję rzemieślniczą. Ks. arcybiskup bowiem nie należał do tych pasterzy, którzy cpornie i jakby z musu "znoszą" postępy myśli i życia. Sam zachęcał, ułatwiał, dyskutował, a kiedy powziął zaufanie, szedł od razu na rękę. Jednego tylko pragnął: aby każde poczynanie było w przednim i dobrym gatunku.

Dzieła opiekuńcze księży Salezjanów, Misjonarzy, Albertynów, ks. Kuznowicza (prawdziwy pałac pracy można by powiedzieć) nie byłyby się udały przy innym pasterzu, ani księża Piwowarczyk i Machay, wręcz znienawidzeni przez koła ziemiańskie i klerykalne Polski czy genialny ks. Konstanty Michalski nie mieliby nigdzie tego stanowiska, które mogli zająć u niego. Jego też dziełem jest powrót do życia starożytnego Tyńca z jego rolą w odrodzeniu liturgicznym kraju. Czar arcybiskupa Sapiehy był także w tej jego świeżości, w spontaniczności inicjatywy i zainteresowań, w tej łatwości, z jaką chciał rozumieć i z jaką można się było z nim porozumieć. A ważna to cecha, bo hierarcha Krakowa jest także biskupem Zakopanego i opiekunem tego wszystkiego, co to Zakopane z lat przed pierwszą wojną światową i w czasie wojny znaczyło w życiu inteligencji. Nie dziw też, że nie brakło Sapiehy, gdy kończyło się lub zaczynało wchodzić w historię życie wielkich tuzów jak Malczewskiego czy Rośtworowskiego.

Tak łatwy w zachęcie, w zgodzie na inicjatywy, arcybiskup Sapieha był opozycjonistą z natury wobec wszelkiej presji i wszelkiego moralnego bezprawia. Jego Książęco Biskupi Komitet Pomocy ofiarom wojny dla uchodźców i bezdomnych był suwerennym gestem nie tylko zakrojonego na szeroką skalę chrześcijańskiego miłosierdzia społecznego, ale też czynem opozycyjnym wobec Austrii, która tak bardzo poniewierała dotkniętymi nieszczęściem rzeszami ludów słowiańskich — od rosyj-

skiego pogranicza i rosyjskiej inwazji. Pomagał mu w tym wydatnie, również w tym duchu opozycyjnym i także "arystokrata" Zygmunt Lasocki, poseł do wiedeńskiego parlamentu z ramienia ludowców. A gdzieżby ówczesny przedstawiciel ludowców mógł się, na przykład, "dogadać" z pochodzącym właśnie z ludu biskupem tarnowskim Wałęgą!

Te zalety opozycyjne w imię ładu moralnego w społeczeństwie wobec wszelkiego nacisku i bezprawia nie uczyniły mu życia łatwym i we własnym kraju w pewnych chwilach minionej niepodległości. Tego, co robił, nie robił z sobiepańskiej fantazji czy przekory, z prywaty, czy pustej klerykalnej dumy. Źródłem tej postawy była zawsze jego kapłańska praworządność sakralna. Należał do tego nurtu katolickiego, który wydawał Bernardów z Clairvaux: rewolucjonistów praworządności.

Był Sapieha człowiekiem wiary, żarliwej, pokornej modlitwy i, jak wielki biskup Mediolanu św. Karol Boromeusz, nie rozstawał się z Pismem św. Wzorem dusz prostych modlił się często leżąc krzyżem. W czasie okupacji zwierzył się, że gdy minie "ta cała bida" — jak to nazwał po krakowsku — pieszo i boso pójdzie na czele swej owczarni z pielgrzymką do Kalwarii Zebrzydowskiej. Jego prawdziwie gorąca pobożność nie miała nic z dewocji: była męska.

Wydawał się zawsze młody, nigdy niespożyty i jakby po młodzieńczemu nie krył wzburzenia, a nawet silnej "ira per zelum", świętego gniewu. Dał wyraz oburzeniu w czasie haniebnej "pacyfikacji" jak też na widok publicznego nietaktu, jaki wyrządził lwowski arcybiskup łąciński śp. ks. Twardowski metropolicie Szeptyckiemu w jego własnym domu. Ale i on niektórych rzeczy nie rozumiał. Zanim był "krakowski".

Nominację kardynalską otrzymał prawdopodobnie już w 1942 roku, razem z innym, już dziś nieżyjącym dostojnikiem. Trudno to w tej chwili udowodnić. Są jednak pewne dane do opowiedzenia innym razem. A brał ją tak późno, ponieważ Rzym nie chciał ustąpić z kolejki kardynalskiej dla metropolity Szeptyckiego. Skoro przed wojną Rząd tak długo i tak małostkowo sprzeciwiał się jednemu, nie mógł i Kraków otrzymać purpury. Przyszła, gdy tego dziwnego Rządu nie stało, gdy nadeszła burza dziejowa, w czasie której naród okazał się od swego Rządu lepszy. A z narodem i za naród stał Adam Stefan Sapieha.

Włodzimierz DOŁĘGA i Jan TOKARSKI

Archiwum polityczne

Psychologia Przełomu

Polscy publicyści i pisarze polityczni zarzucają często Anglosasom brak twardości i jasno określonej polityki wobec Sowietów. Zarzuca się im, że nie mogą zdobyć się na wysiłek wyobraźni, by uzmysłowić sobie w pełni ogrom zadania, które stoi przed nami. Mamy na myśli obronę cywilizacji i tych wszystkich wartości na których zbudowano nasz świat w oparciu o Grecję — Rzym i Chrześcijaństwo. Bierzymy za złe politykom anglosaskim, że ów "problem stulecia" topią w partyjnych swarach i rozmienianą na bilon partyjnych kapitałów, w walce o premierostwa, fotele prezydenckie i koalicje parlamentarne.

Na obronę Anglosasów można jednak zawsze powiedzieć, że w państwie demokratycznym polityka zagraniczna musi być oparta o wolę większości. I dlatego politycy angielscy, czy amerykańscy nie mają innej drogi poza walką wyborczą, której celem jest uzyskanie poparcia większości dla danego programu.

A teraz tę samą miarę, którą mierzymy polityków anglosaskich przyłożmy do naszych mężów stanu. P. dr Bielecki czy p. Zdziechowski nie muszą liczyć się z wyborami na jesieni. Nie mamy sejmów, nie mamy przed sobą kampanii wyborczych — nie mamy tu na wygnaniu nic prócz symboli. Wydawało by się, że w takich warunkach politycy emigracyjni mają tę wyższość nad politykami anglosaskimi — jeżeli wolno użyć takiego określenia — że cały swój czas i energię poświęcić mogą problemowi kardynalnemu — tj. walce przeciw komunizmowi moskiewskiemu.

Czytając program p. Bevana pomyślałem, że jest szaleństwem dla celów doktrynalnych i własnych ambicji propagować w chwili obecnej redukcję zbrojeń brytyjskich. Ale na obronę p. Bevana można powiedzieć, że przygotowuje się do wyborów, że planuje na daleką metę zdobycie czołowego stanowiska w Labour Party, że gra z żywymi przeciwko żywym.

Cóż jednak można powiedzieć w obronie naszych emigracyjnych polityków, którzy rozbili emigrację na trzy zwalczające się obozy? O co ci panowie walczą?

Gdy zachodni świat dosłownie znalazł się na krawędzi — nasi politycy za czółowe zagadnienie, które wszystko inne im przesłania — uważają "umowę paryską", która ogranicza władzę Prezydenta. Jaką władzę? Gdzie jest ta władza?

Spieramy się na temat wykładni Konstytucji, która również jest tylko symbolem, jak symbolem i cieniem jest wszystko, co nam pozostało.

Symbole są rzeczą świętą jak wojskowe sztandary. Ale jeżeli symbole zaczniemy traktować za fakty — sztandary za dywizje — wejdziemy w świat urojen nie mający nic wspólnego z rzeczywistością.

Wydawało by się, że nam, którzyśmy wszystko utracili, łatwiej będzie dojrzeć kardynalny problem epoki niż politykom Zachodu wprzagniętym w mechanizm partyjnych walk i rozgrywek. Niestety, jest wręcz odwrotnie. Nie zdobyliśmy się dotąd nawet na wyłonienie jednej, wspólnej reprezentacji. Dla naszych politycznych przywódców w tej chwili przełomu ważniejszy niż postulat jedności jest... epokowy "dokument paryski" i pół tuzina jego wykładni. Naszym politykom wydaje się ważniejsze niż wszystko inne czy Prezydent-wygnaniec rządzić ma z radą, czy bez rady i czy do rady wejdzie p. X czy p. Y.

Nie mamy moralnego prawa zarzucać komukolwiek braku realnej oceny rzeczywistości. Realizmu w naszej polityce nie ma bowiem za grosz!

Niemal 80-letni Bertrand Russell, laureat Nobla i chyba największy z żyjących myślicieli Zachodu w swych niedawno wydanych "Unpopular Essays" pisze, że przed końcem bieżącego stulecia zrealizuje się jedna z trzech następujących ewentualności:

- 1) Zanik życia na naszej planecie
- 2) Powrót do barbarzyństwa na skutek zdziesiątkowania ludności cywilizowanego świata,
- 3) Powstanie rządu światowego, który będzie posiadał wyłączność w odniesieniu do broni atomowej.

"Nie wiem" — pisze Russell — "którą z tych trzech ewentualności zrealizuje przyszłość. Jednej rzeczy jestem natomiast całkowicie pewien — system światowy do którego przywykliśmy, jest nie do utrzymania".

Wydaje mi się, że jakąś dziwną, paradoksalną ironią losu — my, którzyśmy byli pierwszymi ofiarami Przełomu — wykazujemy zupełny brak zrozumienia konsekwencji tego Przełomu. Nam się ciągle wydaje, że to jeszcze jeden zabór — jeszcze jedna wojna, jeszcze jedno powstanie, jeszcze jedna party-

zantka i znów obróci się koło Historii i wjedziemy w dalszy ciąg 1939 roku jak w następny akt tej samej sztuki.

Ta psychologia leży u podstaw naszej polityki emigracyjnej, którą w gruncie rzeczy usiłujemy uczynić dalszym ciągiem, następnym poprawionym odcinkiem rzeczywistości z którą pożegnaliśmy się bezpowrotnie i na zawsze we wrześniu 1939 r. I dlatego polityka emigracyjna zarówno obozu rządowego jak i w pewnej mierze opozycji jest grą cieni i symbolów — oderwaną od realnego gruntu.

Brak nam zupełnie psychologii Przełomu może dlatego, że byliśmy zbyt blisko jego centrum i trudno nam się dziś zdobyć na perspektywiczne spojrzenie. Nie zmienia to faktu, że w porównaniu z nami najzastawiajszy konserwatysta brytyjski jest płomiennym rewolucjonistą. Nasi politycy emigracyjni nie są reakcyjni, czy zachowawczy, są tylko po prostu emerytami epoki, którą przeżyli.

Psychologia Przełomu jest zagadnieniem skali celów i wartości.

Rozważając to zagadnienie dochodzimy do następujących wniosków:

1) Sprawa Polska nie istnieje dziś jako zagadnienie odrębne — stanowi natomiast fragment kluczowego problemu uwolnienia i zjednoczenia Europy. Albo będziemy jedną z federalnych, czy kantonalnych republik zjednoczonej Europy — albo nie będzie nas wcale. Sprawa Polska jest tym samym najściślej związana z światową antysowiecką polityką amerykańską, bo tylko Ameryka i zjednoczone z nią sojuszem demokracje reprezentują potencjał umożliwiający: a) pokonanie Sowietów, b) zorganizowanie świata na zasadzie systemu federalnego.

Z tego stwierdzenia wynikają następujące konsekwencje: Winniśmy być solidarni z państwami Europy i z Anglosasami. Ustawiczne powoływanie się naszych czynników oficjalnych i rządowej prasy, że prowadzimy politykę "niezależną" jest frazesem. Polityka nasza, ponieważ nie istnieje, istotnie nie zależy od nikogo i od niczego, ale to w żadnym wypadku nie jest zaletą.

Zmysł proporcji, który jest podstawą każdej obiektywnej oceny, winien nam dyktować, że w porównaniu z obecnym kryzysem, którego wynik zadecyduje o dalszym rozwoju, względnie o upadku zachodniej cywilizacji — nasze spory wewnętrzne dotyczące "dokumentów paryskich" itp. — absorbujące w całości naszą energię — są zagadnieniami trzeciorzędnego znaczenia. Jeżeli nadal będziemy trwonić czas na prowadzenie tych sporów, następne pokolenie — może jeszcze za naszego życia — stwierdzi, że nie tylko nie dorośliśmy do sytuacji ale, że nawet nie usiłowaliśmy jej zrozumieć.

Spory emigracyjne w 98 proc. są urojone, ponieważ strony

zainteresowane wychodzą z fantastycznego założenia, że ustrój Polski, Konstytucja itd. w przyszłości będzie dalszym ciągiem epoki przedwrześniowej w połączeniu z poprawkami dokonanymi na emigracji. Przyszła Polska jako federalna republika zjednoczonej Europy będzie miała ustrój dyktowany przynależnością do Federacji i zgodny z konstytucją związkową Europy. "Umowa paryska", czy koncepcje rady przy Prezydencie na ustrój przyszłej Polski nie wywra żadnego wpływu.

2) Winna powstać jednolita reprezentacja polityczna, wyłoniona na podstawie kompromisowego porozumienia pomiędzy obozem rządowym a stronnictwami opozycji. W obliczu sytuacji światowej i zagadnień jakie są w grze kompromis ten winien być osiągnięty szybko a rozmówcy po obu stronach konferencyjnego stołu powinni punkty sporne zredukować do właściwych proporcji.

Emigracje polityczne odgrywają na Zachodzie i w Ameryce minimalną rolę ponieważ są skłócone i rozbite. Gdyby emigracje polityczne posiadały jednolite reprezentacje, te zaś z kolei utworzyły wspólną europejską organizację emigracyjną z takim organem, który reprezentował by ogół emigrantów z zażelazanej kurtyny, Anglosasi musieliby się liczyć.

Nasi mężowie stanu nie zdają sobie zupełnie sprawy z istoty nowego fenomenu jakim jest zjawisko masowej wielonarodowej emigracji politycznej. Zjawisko to kryje w sobie rozmaite możliwości, których dotąd nie wykorzystano. Trzeba jednak zerwać z koncepcją rekonstruowania mapy sytuacji politycznej sprzed 1939 r., a w całości poświęcić się pracy dla przyszłości. Utworzenie europejskiego wszech-emigracyjnego związku jest zagadnieniem, które należało by realizować stopniowo. Punktem zasadniczym re-orientacji polityk emigracyjnych winno być propagowanie i zrozumienie faktu, że wszystkich emigrantów politycznych łączy jeden kardynalny cel: uwolnienia i zjednoczona Europa. W obliczu tego celu wszystko, co nas dzieli, to są trzeciorzędne drobiazgi, których nie czas w chwili obecnej omawiać. Krokiem wstępnym na tej drodze winny być porozumienia regionalne.

3) Europa, do której przynależymy, jest jedna. Nie służą naszej sprawie ci — co dając upust własnemu, indywidualnemu i narodowemu kompleksowi niższości — szerzą pogardę dla Zachodu i propagują duchowy i polityczny neutralizm. Klub Trzeciego Miejsca jest klubem politycznej śmierci. Los Europy jest naszym losem i gdyby termin Europa miał tylko być geograficzną nazwą sowiecko-azjatyckiego półwyspu — byłoby to grobem wszystkich naszych nadziei. Nikt bardziej nie jest powołany do szerzenia solidaryzmu europejskiego niż my.

Nikt nam nie broni krytykować Francuzów, czy Anglików, powinniśmy jednak pamiętać, że nie ma dwóch Francji, czy dwóch Anglii wśród których moglibyśmy wybierać. Jest tylko

jedna Francja i jedna Anglia i los tych państw jako wolnych demokracji jest najściślej związany z Europą — wspólną naszą ojczyzną.

4) Przełom realizuje się przed naszymi oczyma. Być może, że proces ten trwać będzie lata, być może przesilenie przybierze formę światowego konfliktu zbrojnego, być może już niebawem zajdą wydarzenia, których nikt z nas nie przewiduje.

Nasi politycy nie dostrzegają Przełomu. Czekają. Historia to jest gościniec o ruchu jednokierunkowym — wyłącznie naprzód! Wyczekiwanie "chwili dziejowej" nie jest ani pielęgnowaniem "wielkości" ani nie jest równoznaczne z prowadzeniem "niezależnej" polityki.

Jeżeli stać będziemy nadal na stanowisku, że nie możemy ani rozmawiać ani współpracować z tymi, co nie uznają naszego rządu — historia kiedyś stwierdzi, że legalizm w naszych rękach zamiast stać się aktywnym politycznym odegrał rolę zapory odcinającej nas od rzeczywistości. Brak uznania z niczego nas nie zwalnia. Józef Piłsudski przez większość swego bojowego życia był nie uznawany. Później nie zawahał się pójść wbrew legalizmowi wierząc, że nadrzędny interes państwa tego wymaga. Polityka to jest umiejętność dobierania środków w celu sprostanienia wymogom sytuacji. Jeżeli rząd nasz jest nie uznawany powinniśmy stworzyć inny, bardziej przydatny, instrument działania a legalizm zachować jako naszą sprawę wewnętrzną.

Twierdzenie, że komitet, czy jakiegokolwiek inne ciało reprezentujące nas na zewnątrz byłoby w sytuacji petenta, czy klienta w stosunku do Stanów Zjednoczonych jest śmieszne. Lepiej działać choćby pośrednio i być notowanym w Waszyngtonie jako komitet, ale komitet reprezentujący ogół Emigracji — niż nie być notowanym nigdzie, nie być niczym klientem, ani petentem i nie istnieć poza Earls Court'em. Nieboszcyk na cmentarzu nie jest również niczym klientem i nie jest zależny od nikogo i od niczego.

Rząd, który niemal od 12 lat przebywa poza granicami swego kraju ma niezmiernie nikłe szanse, żeby nie powiedzieć żadne — uzyskania uznania mocarstw. Rząd przebywający od tylu lat na wygnaniu musiałby wpierw uzyskać poparcie większości na mocy demokratycznie przeprowadzonych wyborów w Kraju. Będzie to jednak możliwe dopiero po uwolnieniu Polski. Powinniśmy zdawać sobie z tego sprawę i wyciągnąć odpowiednie konsekwencje.

5) "Kultura" od początku swego istnienia wyróżniała się odrębnością podejścia do spraw Kraju. Sądźmy bowiem, że błędna jest popularna polityka, która rozróżnia dwie Polski. Jedną to ta z rocznicowych akademii i gromkich przemówień i druga — Polska "bierutowa", "sowiecka" i "satelicka".

Uważamy, że Polska jest jedna. Obserwujemy przemiany za-

chodzące w Kraju z największą uwagą i troską, nie ustając w wysiłku zrozumienia dramatu, który nie ma precedensu w dziejach naszego narodu.

Staraniem naszym było i jest skupić wokół naszego pisma wybitne jednostki, spośród nowych emigrantów, których kontry kontakt z Krajem jest żywy i świeży — by w ten sposób stworzyć pomost między nami, którzy opuściliśmy Kraj 12 lat temu a tymi, którzy w Polsce pozostali.

Reakcje poszczególnych pism i jednostek, które wyrażają opinie, że otwarcie łamów pisma dla byłego współpracownika reżimu warszawskiego jest równoznaczne z zejściem z platformy niepodległościowej — uważamy za jaskrawą manifestację separatyzmu emigracyjnego ghetta.

Nowi emigranci są najzaciętszymi wrogami Moskwy i dziełki intymnej znajomości systemu są groźnymi przeciwnikami polityki Kremla. Tak np. artykuły Miłosza ogłoszone na łamach "Kultury", czy jego odczyty i liczne essaye w prasie światowej — są poważnymi pozycjami w walce przeciw ideologii komunistycznej właśnie dlatego, że autor zna komunizm od wewnątrz.

Lecz takim panom jak p. Tadeusz Stapiński, czy p. Wielopolski, czy jak p. Babicka, którzy w listach do redakcji "Kultury" wyrazili pogląd, że sam fakt drukowania artykułów Miłosza jest "zejściem z platformy niepodległościowej" — nie chodzi o wzmoczenie sił obozu anty-komunistycznego. Ludzie ci nie widzą w tym nic pozytywnego, że Bierutowi ubył jeden zdolny Polak, a obóz polski na wolności o jednego zdolnego Polaka się powiększył. Ludzie ci wzdrażliwiają się natomiast na samą myśl, że mogliby swym niepokalanym płaszczem pielgrzymim przyodziać Polaka, który nie ma równie "emigranckiej" przeszłości jak oni.

Sądźmy, że tak jak w chwili wybuchu konfliktu winniśmy odbudować na Zachodzie Armię Polską do której mogliby dążyć Polacy z wojska Rokossowskiego — tak dziś Emigracja, jej instytucje i prasa winny działać przyciągająco (a nie odpychająco) na Polaków po tamtej stronie barykady.

Rozrost izolacjonistycznej psychologii ghetta może całkowicie wypaczyć właśnie ową "platformę niepodległościową", która z ust nie schodzi tym pisarzom i politykom, którzy w swym emigracyjnym, lokalnym patriotyzmie zaszli już tak daleko, że twierdzą, iż walka z komunizmem i obrona Europy to jest "business", który obchodzi tylko Sowiety i Amerykę. W jednym z poważnych tygodników polskich drukowanych w Londynie ukazała się notatka, której autor wiązał niepowodzenia brytyjskie w Persji z... Jaftą — zajmując b. nieżyczliwe stanowisko w stosunku do Anglii. A przecież oczywiście jedynie Sowiety mogłyby coś zyskać na niepowodzeniach brytyjskich w Persji. Czy dlatego, że Anglicy podpisali układ jaftański mamy w swym nieprzytomnym i nieodpowiedzialnym rozżaleniu

życzyć im utraty nafty perskiej, tak istotnej dla obrony Zachodu, przed sowieckim imperializmem?

Poczucie krzywdy zamiast nas jednoczyć, zamiast dyktować nam solidarność z światowym obozem anty-komunistycznym w izolacjonistycznej atmosferze emigracyjnej przeradza się w chorobliwe wybuchy i "fobie".

Musimy sobie powiedzieć, że jakkolwiek wielkie byłyby krzywdy, które nas spotkały od Anglosasów — naszym śmiertelnym wrogiem są Sowiety a Anglosasi są naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami.



W polityce światowej dokonują się przełomowe zmiany. Przełom jest wszędzie — nie ma go tylko w naszej polityce.

Amerykański budżet zbrojeniowy na rok 1951/52 zamyka się sumą 56 bilionów dolarów. To jest mniej więcej dwa razy tyle ile wynosi dochód narodowy Wielkiej Brytanii.

Nie trzeba być ani strategiem ani zawodowym ekonomistą, by zrozumieć, że cyfry te oznaczają rewolucyjne przemiany w światowym układzie sił.

Komentatorzy zarówno polityczni jak i ekonomiczni popełniają często ten błąd, iż potencjał militarny St. Zjednoczonych rozpatrują wyłącznie w odniesieniu do Sowietów. Podkreśla się więc, że w obrębie roku amerykański potencjał wojenny przewyższy potencjał sowiecki — tak jak już dziś Amerykanie przewyższają wielokrotnie Sowiety bogactwem i potęgą swej maszyny przemysłowej.

Oczywiście — to jest punkt najważniejszy. Lecz rozbudowa militarnego potencjału amerykańskiego pociąga za sobą i inne konsekwencje.

W świetle tych 56 bilionów dolarów maleje nie tylko Rosja sowiecka — lecz *maleją również* i sojusznicy Stanów Zjednoczonych. To jest fakt o którym nie należy zapominać.

Mierzony budżetami zbrojeniowymi stosunek Anglii do Ameryki wyraża się dziś proporcją 1:18. Trzeba by osiemnastu budżetów zbrojeniowych brytyjskich na jeden zbrojeniowy budżet amerykański.

Waszyngton staje się tylko centrum wolnego świata lecz również osią wokół której skryształizuje się nowy koncert państw. Ze sceny historycznej znikają tzw. wielkie mocarstwa. Po tej stronie nikt nie jest wielki w porównaniu ze St. Zjednoczonymi — po tamtej stronie barykady nikt nie jest wielki w porównaniu z Rosją.

Dopiero na tym tle można w pełni docenić, na pozór paradoksalne sugestie prof. Toynbee'go, który sądzi, iż tylko federacja atlantycka może przywrócić Anglikom możliwość decydowania o swoim losie. Dopóki bowiem federacja nie istnieje — St. Zjednoczone tak górują potęgą i zasięgiem swej polityki nad Anglią, że mogą każdej chwili powziąć decyzję, któ-

Juliusz MIEROSZEWSKI.

W Berlinie o Zjednoczonej Europie

Równolegle z Festiwałem młodzieży komunistycznej w Berlinie Wschodnim zmontowano na terenie Berlina Zachodniego szereg kontrmanifestacji, na które zaproszono, poprzez Kongres Obrony Wolności Kultury, przedstawicieli krajów zza żelaznej kurtyny. Pomiędzy zaproszonymi była również Redakcja „Kultury”. Na dwóch manifestacyjnych zebraniach w Titania Palace zorganizowanych przez Kampsgruppe gegen die Unmenschlichkeit, poświęconych zagadnieniom przyjaźni z narodami na Wschodzie oraz wolności narodów na Wschodzie, przemawiało również dwóch Polaków obok Rosjan, Rumunów, Węgrów, Czechów i Niemców.

Na pierwszym zebraniu wygłosił przemówienie prezes Związku Młodzieży Socjalistycznej, Leszek Talko. Mówił on o konieczności budowania zjednoczonej Europy, jak również o konieczności wszczęcia rzeczowych rozmów między wolnymi Polakami i wolnymi Niemcami. Na drugim zebraniu przemawiał Józef Czapski, jego przemówienie podajemy poniżej.

Grupa „Kultury” zetknęła się w Berlinie z całym wachlarzem politycznej myśli niemieckiej. Z grubsza można by tu podkreślić dwa główne kierunki. Postawa pierwsza z akcentem na ogólnoeuropejską federację, ze świadomą próbą niewykorzystywania argumentów nacjonalistycznych dla walki z bolszewizmem. Postawa druga, w której głównym nurtem jest właśnie rewizjonizm i tradycyjne marzenia nacjonalistyczne, nie tylko połączone z akcentem prorosyjskim, ale podkreślające jeszcze, że wszelkie sprawy za linią Curzona nie należą już do spraw europejskich, lecz są sprawą wewnętrzną narodów ZSSR — jak mówią jedni (tak się wyraził burmistrz Berlina, Reuter, w swym przemówieniu na pierwszym zebraniu w Titania Palace), a krajów Rosji — jak mówią drudzy. Przemówienie Józefa Czapskiego było polemiką z tego rodzaju stanowiskiem, oraz próbą sformułowania stanowiska „Kultury” w tej sprawie.

W jednym z wielkich pism zachodniej Europy czytałem artykuł, w którym bardzo znany pisarz polityczny, podróżnik i znawca paru kontynentów stwierdzał, że linia Elby jest granicą Europy właściwie bardzo szczęśliwą, bo to jest przecież granica cesarstwa Karola Wielkiego.

Spotkałem niedawno sympatyczną grupę młodych federalistów europejskich. Byli Belg, Francuz, Szwajcar. Opowiadali mi z niekłamany entuzjazmem jak to zrywali słup graniczne między Niemcami a Francją, jak w akcji tej byli popierani przez niektórych ministrów, jak policja patrzyła na to zyczliwie przez palce. Zapewniali mnie, że będą tę akcję rozszerzać, gwałcić granice jak i gdzie się da. Kiedy ich spytałem co myślą o granicy, która nazywa się popularnie Żelazną Kurlą, odpowiedzieli mi, że nad tą granicą nie zastanawiali się. Gdybym ich spytał co myślą o granicach na księżycu miałoby pewno takie same zaskoczone miny.

Rozumiem, że można walczyć o Europę i o połowie Europy nie mówić ze względów taktycznych, czy dlatego, że w danej chwili nie jest się w stanie w niczym tej połowie Europy pomóc, ale jakże można o niej w ogóle nie myśleć, to znaczy z lekkim sercem jej się wyrzekać, a jednocześnie wierzyć i w sens akcji federacji europejskiej, i w żywotność tej koncepcji?

Dlatego z radością wysłuchałem przemówienia p. Buber Neuman na ostatnim zebraniu w Titania Palace, w Berlinie, bo podkreśliła ona prostą prawdę, że Europa nie kończy się na Elbie.

Gotowość, z którą się liczni ludzie na Zachodzie godzą na dzisiejszy podział Europy — nie do przyjęcia dla nikogo z nas, pochodzących z Żelaznej Kurtyny — świadczy chyba jak Europa Zachodnia jest zażelaziona, nie tylko przez piątą kolumnę sowiecką, ale moralnie od wewnątrz; do jakiego stopnia zgubić ją mogą elementy skostniałe, zdolne tylko do pochliwiej, krótkoodechowej defensywy, do postawy która jeszcze w historii nigdzie nigdy nie zwyciężyła. Świadczy to jak ginie świadomość jedności Europy.

Tak jeszcze niedawno — jeżeli patrzeć pod kątem historycznym, a tak strasznie dawno, jeżeli przypomnieć cośmy od tego czasu przeżyli, w okresie, który się nam zdaje przedhistorycznym, przez 1914 roku — jakże murowane było poczucie wspólnoty europejskiej. Pamiętam także wiele z dzieciństwa opowiadań starszych nie tylko o Paryżu, ale i o Weimarze, Monachium czy Goettingen. Przecie istniała wiedza o wojnach światowych, o Niemczech, które odebrały walkę polityczną. My, Polacy, byliśmy wrogami krajów, które odebrały nam niepodległość, a więc i Niemiec. Niemniej wszyscy wiedzieliśmy, że należymy do jednego pnia kulturalnego. To było jasne nie tylko w Warszawie czy w Budapeszcie, ale nawet w Odessie. Mój przyjaciel, który kończył gimnazjum w tym mieście opowiadał mi, że w dzień kiedy przychodził nowy numer „Mercure de France” około pięćdziesięciu abonentów tego pisma krążyło, jak głodne lwy, koło księgarni, by numer ten otrzymać. Kto czyta dziś w Budapeszcie, czy Warszawie, już nie mówiąc o Odessie „La Table Ronde” czy „Les Temps Modernes”, które do pewnego stopnia można uważać za odpowiedniki „Mercure de France”?

Jestem już dość stary, żeby nie według książek czy opowiadań ale według własnych wspomnień konstatować nie wzrost, ale zwężenie świadomości europejskiej. W 1924 roku wyładowałem z grupą malarzy krakowskich w Paryżu. W naszej grupie byli Polacy ze wszystkich dzielnic, dwóch Żydów, jeden Ukrainiec, a najzdolniejszy z nas wszystkich był Polakiem aż z Kaukazu. Nie z Paryża, ale z Kaukazu właśnie przywiózł kult Maneta, Van Gogha i nawet Picasso. W tym samym czasie takie same żywe strugi młodzieży wszystkich zawodów, bez pieniędzy, nieraz bez języka, docierały do uniwersytetów i akademii Zachodniej Europy. Głodni wiedzy i kultury mieszkali w nieopalanym pracowniach i nędżnych hotelikach, spędzali tłumnie wieczory w kawiarniach i byli szczęśliwi, że są w tej Mekce świata. Ile spotkań, ile orzeźwiających i ożywiających skrzyżowań poglądów najroźniejszych warstw, najróżniejszych tradycji krajów wschodniej i zachodniej Europy, wzajemnego na siebie działania. Każdy z tych mło-

dych wracał potem do swego kraju, do swego rzemiosła i do śmierci był, czy przynajmniej starał się być, wyrazicielem kultury europejskiej, więzi, która te różne światy łączyła.

Giraudoux w jednej ze swoich książek opisuje serdecznie, ze szczypłą ironii, rumuńską studentkę na bruku paryskim. Dla niej każdy adwokat, który odegrał drobną rolę w zapomnianym procesie politycznym 19-go wieku (żaden Francuz już o nim nie pamiętał), był postacią na miarę Cycerona i Demostenesa.

Kiedy po wojnie wróciłem do Europy, do Paryża, poszedłem na stary Montparnasse. Nie poznałem tej, jeszcze piętnaście lat temu przelewającej się młodzieżą z naszych krajów dzielnicy. Pompea. I dziś jeszcze nie wiele się tam zmieniło — tyle że stała się z powrotem dzielnicą senną, mieszczańską. Tak samo dzielnica uniwersytecka jest nie do poznania. Tam jest ruch i ożywienie, ale dopływ młodzieży niefrancuskiej, jest o wiele bardziej azjatycki, afrykański niż europejski. Są także emigranci z naszych krajów, o ileż jednak ten element jest bardziej zatruty, mniej dynamiczny. Odcięci od kraju, od swoich korzeni, z zamkniętymi przed sobą możliwościami pracy, poza najcięższą fizyczną, z głęboką świadomością obywateli trzeciej klasy, emigranci, których już wszyscy mają dosyć, na których się tak chętnie zwała odpowiedzialność za wszystkie trudności, bo to przecież obcy, ci emigranci albo zamykają się w swoich ghettach, w swojej nędzy, albo emigrują jak najdalej od Europy. Ci którzy wchodzą w życie krajów europejskich nie jako parias, są wyjątkiem, który potwierdza regułę.

Widziałem na własne oczy pociągi wysyłanych przez IRO emigrantów odjeżdżających do Argentyny i Kanady, Stanów Zjednoczonych i Australii. "Gdyby Stany Zjednoczone wpuszczały wszystkich, którzy chcą tam jechać, wyemigrowałoby do Stanów 30-40 milionów Europejczyków" powiedział wielki pisarz, bacznie przyglądający się życiu Europy. Te pociągi, o których mówię, były przeładowane Węgrami, Bałtami, Polakami, Czechami. Patrzałem na tych ludzi wynędzniałych, przerażonych, z workami i tobołkami, z gromadą dzieci i starców. Wszyscy gnani jedną myślą — dalej, dalej od granicy sowieckiej. Zdawało mi się, że widzę żywą krew Europy, która z jej żył wypływa. Ludzie Zachodu patrzyli na te rzesze wyjeżdżających zupełnie obojętnie, może nawet z satysfakcją: będzie mniej kłopotu, gwaru obcej mowy, mniej ludzi do utrzymania. A ja myślałem czy to nie jest śmierć Europy.

Tak — krew Europy upływa ku dalekim kontynentom, a tu w Europie zrywają się nie tylko więzy kulturalne i ekonomiczne, dzieją się rzeczy ważniejsze — to próby kolejnego zrywania więzi religijnych, które od wieków wiązały szerokie masy naszego kontynentu. Jak mało się wie tu, na Zachodzie, o fakcie tak kapitalnym jak zniszczenie Kościoła Greko-Katolickiego na Ukrainie, w Rumunii, Czechach i na Węgrzech, i dostarczeniu do parafii, skąd zesłano kapłanów, następców z Moskwy. Poważny działacz ukraiński zaręczał mi, że ogromna większość tych księży na Ukrainę wysłanych została zidentyfikowana jako funkcjonariusze NKWD, których spisy znajdowały się w Pradze. A przecież kościół ten, który przetrwał wieki, był próbą syntezy Wschodu z Zachodem.

Na każdym odcinku świadome urywanie nici, kopanie wyrwy poprzez środek Europy (już ocena obiektywna każdej zdobyczy Zachodu jest uważana za kontrrewolucję), ale również wyniszczenie biologiczne jest na rozkładzie. To Bismarck powiedział, że Polacy muszą być wyniszczeni ("ausgerottet"), rozmnażają się przecież jak króliki. Ale Bismarck jeszcze nie znał metod współczesnych. Jakże się dzisiaj nam zdaje "delikatny". Dziś cała Europa środkowo-wschodnia jest zamieniona na teren łepionych królików. "Litwa — miał powiedzieć komisarz sowiecki w 1940 r. — Litwa będzie istniała, ale bez Litwinów". Czy po tysiącach transportów, wywiezionych z Krajów Bałtyckich zostało się tam wiele Litwinów, Łotyszów, Estończyków? To tylko Sowiety dzisiaj mają naprawdę szanse pod szum frazesów na pokojowych festiwalach, pod szum skrzydeł gołębi pokoju zlikwidować te

wszystkie kraje z ich wiekową historyczną tradycją i zdolnością organizacyjnego rozwoju.

A, czy możemy wierzyć, że zachodnia Europa, która by wyrzekała się obojętnie krajów poza Elbą i tylko defensywą próbowała ratować się od wyroku śmierci, że ta połowa Europy będzie w stanie obronić się, kiedy nasze kraje już będą definitywnie zlikwidowane i kiedy kolej przyjdzie na kraje leżące na Zachód od Żelaznej Kurtyny?

Nie chcę wcale wylewać na widownię kublów pesymizmu. Sam pesymistą nie jestem. Ale musimy postawić bezwzględna diagnozę, przyjąc fakt, że wisi nad nami groza śmiertelna i wtedy dopiero możemy znaleźć drogę wyjścia. Europa nie pierwszy raz była zagrożona i każde dziecko uczyło się o najazdach Hunnów, Tatarów i Turków. Nie pierwszy raz ratunek Europy zależał od paru jednostek zdecydowanych i od narodów, które nie chciały umrzeć. Chodzi o jedno: nie przestać myśleć, nie przestać działać, i nie ulec marom, marom strachu, praktykom magicznym, które propaganda sowiecka na świat rzuca, by Europą przede wszystkim straciła poczucie swej racji, swej siły potencjalnej. Mówię praktyk magicznych bo jak nazwać inaczej powtarzanie milionów razy sloganów, których kłamliwość, nieuczynność zostały już dawno stwierdzone, a które przecie działać nie przestają, bo są cynicznie wtlaczane w pseudo religijne formy oddziaływania.

Pewien dziennikarz zagraniczny tu, w Berlinie, tłumaczył mi, że chyba nie ma rady przeciw tej przemożnej sile magii stalinowskiej rewolucji światowej. "Kiedy młotem się bije w głowę Murzyna nie można jej rozbić — taka jest twarda" rzekł w formie porównania. To jest defetystyczny absurd. Jedną z cech magii jest to, że jej działanie może nagle zczepnąć nieskończenie szybciej niż powstało, zginąć doprawdy jak sen, prędzej niż koszmara. Nie mówię tego głośno. Sam widziałem dwukrotnie tego rodzaju zjawiska: wybuch rewolucji w 1917 roku. Nie zapominajmy, że magia potęgi Rosji carskiej, i jej policji "Ochrany", była bardzo silna. Narastała przez wieki. Po trzech dniach rewolucji wypasieni, pewni siebie policjanci, zamienili się w tłum uciekających szczurów. Patrzałem na to, sam oczom swoim nie wierząc. Ale widziałem więcej: we wrześniu 1941 roku, jadąc tydzień wagonem kolejowym z Wologdy do stepów nadwołżańskich patrzałem po raz drugi na ten sam fenomen zniknięcia magii, ale już wtedy sowieckiej, w każdym mieście, w każdej wsi, przez którą przejeżdżaliśmy. Stalin rzucił wówczas na front większość NKWD. Armia sowiecka milionami poddawała się Niemcom. "Niemiec? Niech przyjdzie!!!" — wołały mi chłopki. — "Wszyscy nasi ze wsi, trzystu ludzi poszło na front. Nałożyli krzyże na szyje i wszyscy się poddadzą". "Precz ze Stalinem!" — słyszałem wszędzie. Widzę dzisiaj jeszcze przerażony wzrok jednego NKWDysty, który nie śmiał w obecności rekrutów nalać sobie wrzasku z lokomotywy, by zrobić herbatę. Miał oczy uciekających przed tłumem policjantów "Ochrany" z 1917 r. Trzeba było żyć w Rosji, żeby wiedzieć co to był za nagły przewrót psychiczny. Ci ludzie nienawidzili Stalina, ale nie wiedzieli co ich czeka: zbrodnicze, bezmyślne okrucieństwo, które wytepił milion ludzi będzie dziełem tych właśnie na których czekali jak na zbawców. Wtedy dopiero Hitler zrobił największą usługę Stalinowi: uratował Stalina.

Cóż za oportunizm, co za defetyzm — ten stosunek bezsilny Europejczyków w rodzaju mojego korespondenta wobec magii, już dzisiaj rozwodnionej, jako zwykłe szarlatanstwo zdemaskowane, ale rozprawdanej wciąż jeszcze cynicznie po Kongresach Stockholmskich i Festiwalach Berlińskich.

Ta magia jednak może runąć ostatecznie tylko wtedy, jeżeli Europa się zdoła zbudować na koncepcję, o którą walczyć będzie chociażby na razie garstka ludzi ze wszystkich krajów Europy Zachodniej i Wschodniej, garstka świadoma tego, że trzeba zorganizować Europę w Federację wolnych narodów na nowych podstawach i że te nowe podstawy wymagać będą wielkich ofiar od każdego. Nie ma polityki bez wzajemnych ofiar.

Lawa zalewa stary kontynent. Biedni starcy chcą ratować zmruszone meble i stare poduszki. Musimy sobie powiedzieć, że nie o stare meble chodzi, ale o coś nieskończenie ważniejszego: stare rewizjonizmy, stare odrzucane nacjonalizmy nie mogą być punktem wyjścia odbudowy Europy. Ale również nie wystarczą ogólnikowe frazesy o ludzkości. Michelet płakał zobaczywszy w Paryżu sztandar młodych Niemiec. Dziś już nie wystarcza manifestacja ze sztandarem Europy, by nam wyciskać łzy radości. Wiemy dobrze wszyscy, że ułożenie stosunków między narodami Europy jest bardzo trudne i że im dalej idziemy na Wschód tym jest trudniejsze, tym bardziej granice przypominają krwawące rany.

Sorel powiedział o Bałkanach, że jest to koszyk z krabami. Kiedy kucharka niesie kraby, by je za chwilę wszystkie wrzucić do wrzátka — kraby ze sobą jeszcze walczą, obcinają sobie szcypce. Tego porównania można użyć w odniesieniu do całej Europy Wschodniej. Znaczą spraw europejskich mówił mi, że poza Żelazną Kurtyną istnieje jeszcze 38 zatargów granicznych. Za przesunięcie tych granic o parę kilometrów rzesze ludzi gotowe są zabijać i umierać, zawsze pewne, że prawda historii, że sprawiedliwość, jest po ich stronie.

Myśleć optymistycznie może tylko ten, który fata morganom szarlatanów sowieckich, niosących w rezultacie niewolnictwo i śmierć może przeciwstawić nie koszyk z krabami, nie chaos europejski, gdzie wszyscy się będą wzajemnie wyrzynać w imię takich czy innych rewizjonizmów, ale gdzie w ramach ogólnej federacji europejskiej będziemy zdecydowani spory nasze między sobą i w imię wspólnych interesów pokojowo rozwiązywać.

Jak to zrobimy? Metoda europejska — to wybrać cel i kierunek, a potem działanie kontrolować i korygować praktyką. Nieustannie próbować realizacji metodami kompromisu, a nie narzucone z góry, sztywne, abstrakcyjne „planifikacje”.

Aby słowa moje nie brzmiały zbyt ogólnikowo, chciałbym ustalić trzy przesłanki, które zdaje mi się, wszyscy przyjąć musimy.

Nacjonalści wmówili ludziom w wielu krajach, że współzycie na jednej ziemi ludzi narodowości różnej i różnej religii jest niemożliwością, że najprostsze rozwiązanie — przerzucenie setek tysięcy, czy nawet milionów ludzi, by stworzyć masy narodowościowo jednolite — jest rozwiązaniem najlepszym, nawet jedynym. Gdy patrzę na wysiedlonych ze Wschodu Niemców, myślę, że ich los jest prawie tak samo tragiczny jak Polaków, których Hitler, a potem Stalin z ich domów i wsi wysiedlał. Dla nas, ludzi zza Kurtyny sprawa przesiedleń nie jest abstrakcją. Ogromna część ludności tych krajów ginęła jako niewolnicy w fabrykach wojennych i w obozach pracy, rozrzuconych od Wławyostoku do Hamburga. I dziś jeszcze, oderwana od wszystkiego co jej drogie, umiera po obozach sowieckich lub wegetuje beznadziejnie w resztkach obozów IRO. Musimy dzisiaj stwierdzić, że nie ma gorszej zbrodni historycznej jak wykorzystanie przymusowe ludzi z miejsc gdzie tkwią od pokoleń, gdzie są groby ich przodków i gdzie rosną stare lipy i stare dęby, które ci ludzie wygnani widzieli jeszcze oczami dzieciństwa.

Pamiętać musimy również i o tych ludziach, gwałtem przerzuczonych, którzy po paru latach rozpaczliwego wysiłku już zaczęli znów w nową ziemię wraść i niejedną z nich już pokochał to nowe dla niego niebo nad głową, te nowe dla niego drzewa. Ci ludzie również nie mogą być skazani na jeszcze jeden przymusowy przerzut, który by się dla wielu z nich równał śmierci. Nie możemy dalej prowadzić tych metod, dzięki którym człowiek zamienia się w numer, w robotę, nadającego się tylko do pracy niewolniczej, do totalistycznych masówek. I to wszystko dzięki fikcji narzuconej, że nie możemy żyć wspólnie i kochać wspólnie tej samej ziemi, jakby nasze własne wspomnienia i nasze własne doświadczenia nie zadawały tysiąc razy kłamu tym zmyślonemu teoriiom.

Druga przesłanka, którą chciałbym podkreślić: sprawa federacji ogólnoeuropejskiej ma przed sobą jedną przeszkodę psychologiczną. Niezależnie od czystości naszych intencji, ręka wyciągnięta narodu

proponującego federację może zawisnąć w próżni. Idea jagiellońska — Unia Polski z Litwą — nie tylko dla Polaków wzór Unii wolnych z wolnymi (nawet wasz pisarz-pedagog Foerster pisze o niej z entuzjazmem), ta sama Unia jest dla Litwinów przykładem odstraszającym, stwierdzającym jak bardzo grozi krajowi wsiąknięcie w inną, bardziej wyewoluowaną kulturę. Litwini, Ukraińcy mają głęboką pojęźliwość w stosunku do federacyjnych propozycji równie polskich jak i rosyjskich, widząc w tym zamaskowany imperializm. My, Polacy, mamy te same odruchy podejrzliwości, historycznie również wytłumaczalne, przeciw imperializmowi Niemiec i Rosji. Rapallo, o którym z takim uznaniem mówił parę dni temu w swym wywiadzie, w Berlinie Wschodnim, pan Walter Ulbricht, jak również rozmowa Ribbentropa ze Stalinem, w której ci panowie w kwadrans dogadali się co do decyzji rozbioru Polski, stwarza u nas uprzedzenia i równie zrozumiałą nieufność. Sprawa przedstawia się podobnie w krajach Naddunajskich. Jak przekroczyć te urazy?

Jest jedna tylko droga, by te nieufności przezwyciężyć: sprawy sporne muszą być rozwiązywane dopiero po stworzeniu federacji europejskiej i nie na podstawie ambicji historycznych poszczególnych narodów, ale według zasad sprawiedliwości i dobra całości europejskiej, oraz ekonomicznej i społecznej równowagi między poszczególnymi członkami tej federacji.

Chciałbym tutaj poruszyć trzeci punkt i tym zakończyć moje przemówienie. Starałem się uzasadnić absurd tezy, że linia Elby jest granicą Europy. Spotkałem się jednak tutaj, w Berlinie, z innym stwierdzeniem: że linia Curzona, to znaczy linia Ribbentrop-Mołotow, ma być linią układu federacyjnego Europy. Wszystko poza nią to jest już sprawa urządzenia się narodów ZSSR. A jak niektórzy to nazywają „narodów Rosji”, od nich to zależy w jakiej formie między sobą, ale zawsze między sobą, przyszłość swoją będą budować. Czy te kraje nie należą do Europy? Czy możemy kwestionować europejskość Ukrainy na przykład? Gdy mówię o tym nie chodzi mi wcale o rozczłonkowanie Rosji, ale chciałbyśmy usłyszeć wyraźny głos wolnych Rosjan, którzy zapewni narodom, wchodzącym obecnie w skład Związku Sowieckiego, nie tylko autonomię, nie tylko zgodę na wewnętrzną federację narodów ZSSR, ale na wolność wyboru jak i z kim chcą się federować. Sprawa ta nie jest sprawą wewnętrzną Rosji, obchodzi ona całą Europę, z którą kraje, jak Ukraina właśnie, mają więcej historycznych związków niż o tym wie przeciętny Europejczyk. Problem ten jest niemiernie trudny i bolesny dla Polaka jak i dla Rosjanina, ale zdaje mi się, że postawa wobec tej sprawy może być najlepszym sprawdzianem dobrej woli federacyjnej, nie cofającej się nawet przed ofiarami.

Jakże łatwo mówić o sprawach ogólnych, o wzniosłych marzeniach braterstwa ludów nie dotykając konkretnych punktów neuralgicznych. Ale mszcza się prawdy niedomyślane i niedopowiedziane. Sto lat temu wielki poeta polski w liście pełnym gorzkich zarzutów wobec swych współrodaków, pisał: „oni gotowi wylać morze krwi ale kilku wyrazów prawdy nie powiedzą”, kilku wyrazów prawdy — jeżeli dotknąć mogą miłąkłą wrażliwość jakiejś opinii publicznej. Nie czułem się wprawdzie tu, w Berlinie, mówić o sprawach najdrażliwszych, szczegółach miłąkłą wrażliwość. Bo właśnie w Berlinie spotkałem ludzi, i to przeważnie wśród młodzieży, którzy konsekwentnie walczą, narażając nieustannie swoje życie, nie w imię nacjonalistycznych, rewizjonistycznych ideałów ale w imię wspólnoty wolnych Europejczyków.

Berlin zawdzięcza Hitlerowi, że dla milionów ludzi był w latach jeszcze tak niedawnych symbolem znienawidzonej idei Herrenvolku i gwałtu narodu nad narodem i człowieka nad człowiekiem, ale Berlin jest dziś najbardziej zagrożonym odcinkiem wolnej Europy i dzięki swej postawie walczącej stać się może symbolem wolności.

Najnowsza historia Polski

Opowieści administracyjne czyli Pamiętnik Niebohaterski

II.

Wpływy komunistyczne nie zatrzymały się jedynie na bezrobotnych. Usiłowali oni sięgnąć również do mas pracujących, zarówno fizycznie, jak umysłowo, wszędzie, gdzie mogli liczyć na niezadowolenie i trudności materialne. Wykorzystali, na przykład, niewysokie uposażenie i ciężkie warunki mieszkaniowe nauczycieli szkół początkowych, szczególnie po wsiach i wtargnęli do tak ideowej organizacji, jak Związek Nauczycielstwa Polskiego. Ukrywając swe istotne oblicze i maskując komunizm jedynie "lewicowymi przekonaniami", przeniknęli wysłannicy Kremla, z panią Wasilewską na czele, do redakcji czasopism, wydawanych przez Związek, dla młodzieży i dzieci, jak: "Płomyk" i "Płomyczek". Aresztowania i rewizje, przeprowadzane u tych agentów komunistycznych uważane były przez społeczeństwo polskie jako "stupajkowate" postępowanie żywiołów reakcyjnych i wywołały nawet interpelację i burzliwą dyskusję w Sejmie Rzeczypospolitej. Odczytane przez mnie, jako ministra Spraw Wewnętrznych, z trybuny sejmowej wyjątki z szeregu artykułów i wierszyków "Płomyka" i "Płomyczka" wykazały niezbicie konieczność konfiskat poszczególnych numerów i "baczego" zwrócenia uwagi na ogólny kierunek ideowy czasopism, mających urabiać dusze i światopogląd młodego pokolenia Polski.

Tak więc, komuniści sączyli swą propagandę we wszystkich warstwach społeczeństwa i młodzieży.

Urzednicy państwowi i administracja samorządowa byli również pod destrukcyjnym wpływem ciągłych objawów niezadowolenia, niepokoju i strajków. Wójtowie i sołtysi po wsiach zrzekali się swych godności, pod wpływem presji moralnej elementów radykalnych i gróźb tajnych "komitetów", wygłaszanych bezimiennie w nocy, pod oknami tych funkcjonariuszy

gminnych. Niżsi urzednicy państwowi i samorządowi twierdzili po cichu, iż przewrót bolszewicki, gdyby nawet nastąpił, to nie pozbawi, przecież, ich chleba, bo oni są mali i nikogo nie "gnębia". Policja była zdeorientowana i poniżana ciągłymi groźbami bezrobotnych i demonstrujących w ośrodkach miejskich. W Zagłębiu Węglowym, szczególnie w okolicach Chrzanowa, policja była gromadnie obrzucana kamieniami przez całą ludność, gdy usiłowała odpędzić bezrobotnych, kopiących węgiel na tzw. bieda-szybach. Wszło to poniekąd w zwyczaj "nie dać się" policji. Wszystkie miasta były świadkami częstych, niespodziewanie organizowanych demonstracji ludności, żądających "pracy i chleba".

Administracja i policja były w tych wypadkach bezsilne. Strzały policji do demonstrujących dawały rannych i zabitych, po czym szły uroczyste, będące nowymi demonstracjami, pogrzeby i... tak bez końca. Komuniści zacierali ręce, wobec sytuacji, która wydawała się bez wyjścia.

Stan ten nie był winą ani całego społeczeństwa, ani rządu premiera Kościłkowskiego. Po prostu, **Polska, po śmierci Komendanta, szukała swych dróg i form swego istnienia.**

W życiu Polski powstało zamieszanie, gdy brakło Marszałka Piłsudskiego, jak na morzu powstaje groźny wir po zatonięciu potężnego okrętu. Wszystkie złe siły, z Niemcami i bolszewikami na czele, sprzysięgły się, by podciąć nasze świeżo powstałe życie państwowe. Żywioły te uważały, że właśnie moment odejścia Komendanta jest najlepszy i najodpowiedniejszy do ponownego zniszczenia i poćwiartowania Polski.

Bolszewicy, w myśl swej wypróbowanej recepty, usiłowali w zamieszanym wytworzyć w Polsce okres zbliżony do "Kiereńszczyzny", który przeszła Rosja, ze znanymi potem już następstwami, dogodnymi dla ich celów.

Zamieszanie w życiu wewnętrznym Polski zwiększała odruchowa, często nieskoordynowana, reakcja prawicowej części społeczeństwa, mająca swój wyraz, np. w napadzie Doboszyńskiego na starostwo i urząd policyjny w Myślenicach, lub w rozbijaniu straganów i biciu w dniu targowe, Bogu ducha winnych, Żydów małomiasteczkowych.

Odruchy podobne szkodziły dobremu imieniu Polski, robiąc z niej państwo zamieszania i anarchii, usiłując rozwiązać trudności ekonomiczne i społeczne przez uprawianie antysemityzmu i gwałtów we wszystkich dziedzinach życia.

W tych warunkach, pierwszym zadaniem moim po objęciu służby ministra Spraw Wewnętrznych, było zaprowadzenie porządku, ładu i bezpieczeństwa w Kraju. Odrzuciłem od razu, podsuwaną mi myśl, zaprowadzenia stanu wyjątkowego, gdyż nie było do tego obiektywnych wskazań, a przyczyna zamieszania leżała w opłakanych warunkach ekonomicznych Polski, skłonności społeczeństwa do chwytania nowinek z Wschodu

i Zachodu, wreszcie w zdezorientowaniu i zdenerwowaniu policji i administracji.

Ponieważ poprawa warunków ekonomicznych Państwa wymagała, mimo heroicznych wysiłków wicepremiera Kwiatkowskiego, dłuższego czasu, postanowiłem niezwłocznie zająć się podniesieniem wewnętrznego bezpieczeństwa Państwa przez poprawę stanu administracji i policji. W czasie zjazdów wojewodów i inspekcji w terenie kładłem nacisk na wyrobienie poczucia odpowiedzialności osobistej i gruntownej znajomości terenu oraz ludzi. Starostów, którzy nie znali praktycznie i wszechstronnie swego powiatu pracując jedynie w biurze, lub opuszczali granice swego powiatu bez pozwolenia wojewody, usuwałem ze służby, lub przenosiłem do pracy biurowej. Najbardziej dramatyczne usunięcie starosty za samowolne opuszczenie powiatu nastąpiło w pierwszych dniach mego urzędowania, w maju 1936 roku. Po południu, w dniu zaprzysiężenia mego Rządu, korzystając z pięknej pogody, postanowiłem wyjechać w teren, by zetknąć się z życiem ludności, z którym straciłem kontakt przez całe pięć lat, jako Szef Administracji Armii. W Łowiczu, dokąd dojechałem wkrótce, przedostałem się znaną mi dobrze drogą, wiodącą do Łodzi, pod ciche i spokojne o tej porze Starostwo. Zastałem tam pracującego referenta mobilizacyjnego i szefa kancelarii, którzy, zdziwieni, przywitani się ze mną, nie wiedząc nic jeszcze o mojej nominacji na premiera i ministra Spraw Wewnętrznych. Oświadczyli oni, że, o ile im wiadomo, pan starosta wyjechał do Warszawy. Potwierdził to, sprowadzony przez woźnego, wicestarosta, nie mogąc mi wyjaśnić, w jakich sprawach starosta opuścił powiat. Zawiadomiłem go, iż jestem znów ministrem Spraw Wewnętrznych i kazałem telefonicznie łączyć się z wojewodą Warszawskim. Ten nie wiedział nic, gdzie jest starosta Łowicki. Na drugi dzień zwolniłem z posady starostę Łowickiego, za samowolne wydalenie się z powiatu. Urzędnicy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych twierdzili, iż w chwili, gdy ja byłem w starostwie w Łowiczu, starosta, jako mój kolega z Legionów, w Warszawie pił moje zdrowie z radości z powrotu mego do administracji. Ilem go ukrocić.

Nic to nie pomogło, gdyż wiedziałem, iż zakorzenił się nowy zwyczaj samowolnych wyjazdów "do Warszawki" i postanowiłem to ukrocić.

W pismach ukazał się opis mej niespodziewanej inspekcji i zwolnienia starosty, tak, że cała administracja i ludność przekonały się o powrocie ścisłej dyscypliny, przy pełnieniu obowiązków służbowych przez urzędników.

Wymagałem dalej od starostów pilnego przestrzegania godzin urzędowania, z dużą ilością czasu poświęconego, w przepisanych godzinach, dla bezpośredniego kontaktu ze zgłaszającymi się do urzędu interesantami.

"Ósma godzina rano" przychodzenia do biura stała się obo-

wiązująca dla wszystkich funkcjonariuszy administracji, nie tylko dla woźnych i niższych urzędników. Obowiązkowe przyjmowanie przez starostę wszystkich interesantów, zgłaszających się do niego, z zapisywaniem do specjalnej "Księgi Przyjęć" pobranych przy tym decyzji, zbliżyło i zaznajomiło starostę z potrzebami i troskami całego społeczeństwa powiatu, bez różnicy stanu majątkowego, przekonań religijnych i politycznych. Wyniki i zauważone braki z mych inspekcji, ogłaszałem za pomocą komunikatów w pismach, by ludność otwarcie wiedziała, czego ma prawo wymagać i oczekiwać od administracji, w myśl naczelnej zasady, że urzędnik jest sługą społeczeństwa, i że "tabakiera — dla nosa".

Celem uniezależnienia administracji od "możnych tego świata", zakazałem wojewodom i starostom, nie posiadającym własnych rewirów, brania udziału w polowaniach i nocowania po dworach w czasie objazdów powiatu, gdyż dawało to powód do narzekań i utyskiwań na słuszne nawet zarządzenia i rozstrzygnięcia administracji, w wypadku, gdy godziły one interesy uboższej ludności. Zaś, sprawiedliwość, rzeczowość i obiektywność administracji postawiłem, jako naczelne wymagania, właśnie, w zastosowaniu ich do życia praktycznego.

Największe trudności miałem w początkach mego urzędowania z pracą policji. Przede wszystkim, było jej zbyt mało. "Faszystowska" Polska miała stosunkowo dwa razy mniej policji, niż demokratyczna Francja i Anglia, nie mówiąc o naszpikowanych policjantami Niemczech, Włoszech i Rosji. Poza tym, Polska nie miała zupełnie zwartych, lotnych, łatwo dyspozycyjnych oddziałów policji do użycia ich na wzór Gwardii Narodowej we Francji. Te bataliony Francuskiej Gwardii Narodowej, zastosowane we właściwym czasie i miejscu, samą swą postawą i liczebnością zapobiegały niejednokrotnie rozruchom. W razie konieczności opanowania rozruchów, uderzeniem na białą broń, bez strzelania, rozpraszały tłumy, przy czym uczestnicy rozruchów otrzymywali zwykle jedynie sińce i potłuczenia. U nas w Polsce, wobec nielicznej, rozproszonej, często napastowanej policji strzelanie do agresywnego tłumu było, w okresie maja 1936 roku, na terenie całego Państwa, rzeczą, powtarzającą się parę razy w tygodniu. Naturalnie, ranni i zabici byli doskonałym dla organizatorów ruchawki czynnikiem, podniecającym do dalszego oporu policji, po uroczystych pogrzebach ofiar.

W wydanym do wojewodów okólniku, zaraz po objęciu urzędowania w maju 1936 roku, uprzedziłem, iż będę niezwłocznie przyjeżdżał na każde miejsce, gdzie policja strzelała do tłumu i przeprowadzała osobiste dochodzenie, celem zbadania i stwierdzenia, lub odrzucenia konieczności użycia broni palnej w danym wypadku. W razie stwierdzenia zbyt pochopnego strzelania, będę wyciągał daleko idące konsekwencje, wobec starostów i komendantów policji.

Tak też robiłem. W ciągu pierwszych miesięcy urzędowania, zjawiałem się już po paru dniach, w miejscu strzelania do tłumu i kazałem ściśle odtwarzać sobie sytuację, za pomocą oddziałów policji, ustawionych, jak w chwili strzelania do tłumu.

W Toruniu, celem usprawiedliwienia strzelania, policjanci pokazali mi rozbity dużym kamieniem hełm policyjny, jako dowód wielkiej agresywności tłumu bezrobotnych. Odpowiedziałem, iż nie jest to usprawiedliwienie użycia broni palnej, gdyż hełm był widocznie źle zrobiony, należy go oddać do naprawy. Jeżeli zaś bezrobotni są tak napastliwi i mocni, to ja wezmę ich na policjantów, a niedołęzni, nadużywający broni palnej, policjanci pójdą na bezrobotnych. Rozeszło się to wśród policji i zrobiło swoje wrażenie.

Na zasadzie zebranych w terenie doświadczeń, wydałem ogólne wytyczne działania na wypadek rozruchów. Zakazałem nerwowego, natychmiastowego reagowania niedostatecznymi siłami policji na demonstracje, a nawet wybryki tłumu, gdyż prowadziło to z reguły do rozlewu krwi naszej ludności. Działać należy dopiero po zebraniu dostatecznej siły policyjnej, umożliwiającej zaprowadzenie porządku bronią białą, bez strzelania. Jedynie zbrodnia tłumu, jak zabójstwo i niszczenie dobra państwowego lub prywatnego, wymaga natychmiastowej reakcji policji.

Zebranie jednak większej siły policyjnej było rzeczą dosyć trudną. Ze szczupłej już ilości policjantów w terenie wydzielone zostały do Powiatowych Komend Policji odwody, celem wysyłania ich na miejsce rozruchów. Jednakże dowody te były zbyt szczupłe i, złożone ze starszych, źle zgranych policjantów, stąd nie mogły działać jako sprawna siła do rozpraszania tłumu białą bronią. Trzeba więc było, chcąc uniknąć ciągłej strzelaniny policji, stworzyć zwarte, dobrze wyćwiczone we władaniu karabinem, jako białą bronią, oddziały, specjalnie przeznaczone do rozpraszania tłumów, na wzór batalionów Francuskiej Gwardii Narodowej. Utworzono jednak zaledwie kilka kompanii i parę szwadronów zwartej policji, gdyż nie mogliśmy pozwolić sobie, ze względów budżetowych na mocne Francuskie Bataliony. U nas były to kompanie szkół policyjnych, złożone z byłych podoficerów wojska, kandydatów na policjantów. Tym sposobem, nie trzeba było na te zwarte kompanie i szwadrony policyjne wstawiać nowych sum do budżetu, a, co ważniejsze, właśnie kandydaci na przyszłych policjantów uczyli się praktycznie i zawczasu, jak rozpraszać tłumy bez strzelania, bez użycia broni palnej, lecz uderzeniem na białą broń. Wykorzeniało to, pozostałe po zaborcach, obyczaje łatwego i pochopnego strzelania przez policję do własnych współobywateli, wprowadzając zamiast nich, obowiązek policji zaprowadzenia porządku samą siłą fizyczną, lub bronią białą, choćby to miało powodować zranienia i straty wśród policjantów. Niestety, nie przemawiało to do przekonania przywódców

opozycji, którzy piętnowali każde fizyczne użycie policji przez rząd, jako nadużycie wolności obywatelskiej, tak, jakby istniała gdziekolwiek i kiedykolwiek możliwość rządzenia i utrzymania bezpieczeństwa i porządku jedynie za pomocą środków i wpływów moralnych. Nie w smak bowiem było dla opozycji, że Rząd w ogóle umie i może, w razie koniecznej potrzeby, użyć siły.

Pierwsze użycie kompanii szkoły policyjnej do rozpraszania tłumu nastąpiło we Włocławku. Od jedenastu dni bezrobotni strajkowali przy robotach kanalizacyjnych w tym mieście, żądając podwyżki płacy i spędzając dnie i noce w rowach, kopających podwyżki płacy i spędzając dnie i noce w rowach, kopających na rury kanalizacyjne, by nie dopuścić do pracy innych bezrobotnych. Dwunastego dnia o świcie, została wyładowana z wagonów kolejowych kompania Szkoły Policyjnej z Gołędzinowa i użyta do rozproszenia bezrobotnych, okupujących roboty publiczne. Na widok policjantów, bezrobotni zebrali się w tłum, przy czym jeden z nich rozpiął koszulę, wołając do najbliższego policjanta: "strzelaj, s... synu!".

Nie było jednak strzałów. Nastąpiło wezwanie bezrobotnych przez oficera policji do rozejścia się, sygnały trąbki i kompania policji ruszyła zwartą kolumną z nastawionymi lufami karabinów (bez bagnietów). W ciągu paru minut rozproszeni bezrobotni opuścili miejsce robót i następnego dnia inni bezrobotni, bardziej zgodliwi, zajęli ich miejsce przy pracy. Rzecz skończyła się na kilku sińcach i nikt nie zgłosił pretensji, gdyż Polacy nie lubią chwalić się, że zostali pobici.

Tak osiągnięty został sposób rozpraszania tłumów na wzór francuski, bez strzelania i zabijania ludzi. Odebrało to jednak przywódcom partyjnym potężny czynnik agitacyjny, w postaci rannych i zabitych w czasie manifestacji, który zwłaszcza w Kongresówce miał mocną tradycję z czasów rosyjskich i "wymagał" dalszych manifestacji, celem pomszczenia krwi. Toteż posypały się drwiny i wymyślania na "chłopców gołędzinowskich" i "garnkarzy" (ze względu na żelazne hełmy policjantów).

Administracja i policja, mając stałe wytyczne i rozkazy, za które władze wyższe brały całą odpowiedzialność, nabrały spokoju i zaczęły pracować pewnie i skutecznie. Spokój i pewność jutra zapanowały w Kraju, a to tym bardziej, iż w międzyczasie zarządzenia gospodarcze wicepremiera Kwiatkowskiego zaczęły dawać dodatnie wyniki w wielu dziedzinach życia Polski. Wprawdzie liczba bezrobotnych malała dość powoli i było ich jeszcze dużo, ale otrzymywali oni regularne, choć skromne zapomogi i coraz większą ilość była zatrudniana na robotach publicznych miejskich z Funduszu Pracy. Ważne było jednakowe traktowanie bezrobotnych na całym obszarze Polski. Byli na to bardzo wrażliwi.

W czasie mych inspekcji informowałem się zawsze na miej-

scu u pracujących bezrobotnych o wysokości ich płacy i ilości dni zatrudnienia w tygodniu.

Dla bezrobotnych, zatrudnionych przy budowie schronu przeciw-bombowego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, wydałem, po ukończeniu całkowitej roboty, obiad. W cieniu stuletnich drzew parku dawnego pałacu Zamoyskich, stały białe nakryte stoły, a na nich przeszło sto nakryć. Była podana zupa pomidorowa z ryżem, kielbasa na gorąco z kapustą i ziemniakami, deser, piwo i woda sodowa.

Dziękując za wykończenie schronu, wypilem zdrowie bezrobotnych podkreślając, iż jest to pierwszy obiad dla ludzi pracy, po tylu stuleciach przyjmowania w tym pałacu dyplomatów, ambasadatorów i możnych tego świata. Pragnę, by obiad ten dla bezrobotnych był ostatni, gdyż w Polsce powinno wkrótce skończyć się bezrobocie i tego wszystkim obecnym na obiedzie serdecznie życzę. Po długotrwałych oklaskach zabierało głos szeregi bezrobotnych, podkreślając znaczną poprawę doli bezrobotnego, pobierającego obecnie stałe zapomogi lub zarabiającego na robotach publicznych. To jednak dążyć należy jak najszybciej do ukończenia plagi bezrobocia, gdyż dawne oszczędności, zapasy pościeli i ubrań bezrobotnych, wreszcie zdrowie i cierpliwość ich rodzin są już na ukończeniu. Inni wspominali, by traktować jednakowo bezrobotnych w różnych miastach i dzielnicach Polski, gdyż właśnie różnice w wysokości udzielanej pomocy stwarzają podatną atmosferę do strajków i dalszego zubożenia rzeszy, pozbawionych pracy, bez żadnej winy i odpowiedzialności z ich strony. Tak więc, w ogrodzie Ministerstwa i minister i bezrobotni wypowiedzieli przemówienia polityczne, traktujące o walce z bezrobociem i dające w tej sprawie rady i wskazówki z punktu widzenia Państwa i bezrobotnych. Był to jeden z najpożyteczniejszych i jednocześnie najprzyjemniejszych obiadów, jakie zjadłem w moim życiu. Mimo zaproszenia na obiad "prasy", pisma opozycyjne, włączając "Robotnika", nie znalazły nic interesującego w przemówieniach bezrobotnych i moim, i nie wspomniały zupełnie o tym obiedzie.

Ten sam los spotkał szlachetny gest wdzięczności i patriotyzmu bezrobotnych pod Jabłonką. Bezrobotni budowali tam na szosie trwałą nawierzchnię. Jeżdżąc często obok długim objazdem i, dowiedziawszy się z rozmów z bezrobotnymi, iż wielu z nich mieszka o kilka kilometrów od miejsca pracy i muszą robić kilkanaście kilometrów dziennie, by dojść do roboty i wrócić do domu, kazałem zakupić z funduszu dyspozycyjnego trzy rowery i rozłosić je wśród pracujących bezrobotnych. Gdy w kilka dni później jechałem z naczelnikiem Stawickim obok pracujących, piaszczystym objazdem, podeszło do mnie czterech bezrobotnych, mówiąc głosem podniesionym i pełnym triumfu: "Pan generał musi się zatrzymać, bo będzie brama triumfalna!" Bram triumfalnych unikałem, ale nie było rady w tym wypadku.

Wysiedliśmy z samochodu, posłuszni kategorycznemu wezwaniu. Trzech bezrobotnych, prowadząc wylosowane przez nich rowery, szło uroczyscie przed nami, w kierunku "bramy triumfalnej", zbudowanej z trzech żerdek jodlowych, ściętych tuż, w lesie hrabiego Potockiego i oplecionych koroną z przywiedzionych już gałęzi jodliny. Przeszliśmy pod bramą, po czym jeden z bezrobotnych wygłosił przemówienie o konieczności wzajemnej pomocy wszystkich współobywateli, które zakończył okrzykiem: "Niech żyje Polska!".

Dobry i szlachetny jest naród polski i za okazaną dbałość i serce odpowiada sercem.

Za to, trudno służyć mu i przewodzić!

Większa ilość takich spotkań z bezrobotnymi przekonała mnie, iż z tej strony Polsce rewolucja już nie grozi. Byli wyjątkowo patriotyczni i, mimo własnej niedoli, rozumiejący doskonale ciężką sytuację materialną Polski.

Druzgoczący cios bezrobociu, przynajmniej w Polsce Środkowej zadała budowa Centralnego Okręgu Przemysłowego (C.O.P.).

W trójkacie: Radom, Tarnów, Jarosław, z ósrodkiem w Sandomierzu, a więc kraju dotąd zabitym deskami, nagle zawrzała praca. W pustkowiach i "uroczyskach" leśnych budowano drogi, kanały, montowano maszyny, kładziono rurociągi gazowe i rozpinano druty wysokiego napięcia. Wszystkie te gigantyczne prace, poza sprowadzonymi inżynierami i wykwalifikowanymi robotnikami, wymagały dużej ilości rąk roboczych, które dała miejscowa mała i bezrobotna ludność. Wyrobownicy, którzy dawniej przy robotach w polu, poza utrzymaniem, otrzymywali zaledwie 40 groszy dziennej płacy, zaczęli nagle zarabiać po kilkanaście złotych tygodniowo. Oczywiście, rozładowało to, napięte biedą i bezrobociem, nastroje, chociaż agitacja, tym razem ludowcowa, nie próżnowała, by osłabić wrażenie wysokich zarobków i dobrobytu, który zawitał do najuboższych, piaszczystych okolic Małopolski Środkowej.

Dalszym czynnikiem w rozładowaniu bezrobocia były prace porządkowe po miastach. Odnowianie i reperowanie domów, porządkowanie ulic i dostarczanie im powietrza i słońca, przez zastępowanie murów i zwartych płotów ażurowymi ogrodzeniami, dawało pracę dużej ilości bezrobotnych, zatrudniając w sposób dorywczy, na całą Polskę, do 120 tysięcy ludzi. Wyniki pracy tych bezrobotnych były trwałe i celowo zastosowane do potrzeb życiowych. W Łodzi i jej okolicach aż do Żduńskiej Woli, w Tomaszowie, Radomsku, Częstochowie, Zawierciu, Będzinie, Sosnowcu, Warszawie z okolicami, Białymstoku, wreszcie ósrodka przemysłu naftowego całe dzielnice zmieniły swój wygląd. Wysokie mury, ścieśniające z obu stron wąskie ulice, nieskanalizowane, zakurzone lub zabłocone, biegnące do zatruwających powietrze fabryk, te ponure, zadymione, wysokie ceglane lub kamienne, przypominające więzienia, mury, tak charakterystyczne dla naszych miejscowości przemysłowych, runęły pod kilofami bezrobotnych. Otworzyły się z obu stron dusznych, cuch-

nących ulic, szerokie, powietrzne przestrzenie zielonych trawników i miłe oku, rozrosłe gaje cienistych grup drzew i krzewów, tworzące półkoliste ograniczenia polan, zazdrośnie dotąd zakrywanych w parkach, otaczających pałace właścicieli fabryk. Wysokie przewiewne sztachety lub siatki żelazne, często oplecione dzikim winem, umożliwiły odgrodenie się właścicieli parków od ruchliwych ulic, bez hamowania dostępu słońca i powietrza oraz szerokiego widoku i oddechu dla codziennie przechodzących nimi robotników i ich rodzin.

Te prace dla bezrobotnych prowadzone były przez cały czas, na jaki pozwalały warunki klimatyczne, a więc większą część roku, głównie w jesieni i na wiosnę. W zimie przeskazywały mrozy, w lecie chodziło o nieściągnięcie do miast bezrobotnej ludności wiejskiej, która często wolała łżejsze zajęcia "bezrobotnych" od najcięższych i najbardziej znojących prac na wsi "przy żniwach". Toteż na 2 miesiące żniw, zawieszana była co roku cała akcja porządkowa w ośrodkach miejskich, by nie pozbawiać pół robotnicy, w czasie najgorętszej pracy.

To porządkowe zatrudnienie bezrobotnych było konieczne, również wobec potrzeby zmniejszenia Funduszu Bezrobocia oraz innych pozycji budżetowych, a to celem zwiększenia budżetu wojska.

Wobec napięcia sytuacji z Niemcami, marszałek Rydz-Śmigły coraz częściej odwoływał się o dodatkowe, niecierpiące zwłoki kredyty do wicepremiera Kwiatkowskiego. Odbywało się to zawsze w mej obecności w gabinecie Marszałka Śmigłego, czasem razem z ministrem Spraw Wojskowych, generałem Kasprzyckim i kończyło często ostrą wymianą zdań, gdyż potrzeby wojska rosły niepomierne do realnych możliwości budżetu Polski. Wydawaliśmy już na obronę Państwa sumy niewspółmierne z normalnymi wydatkami, bo około 50 % całego budżetu. Ten wysoki procent wydatków na wojsko odstraszał obcych finansistów od udzielenia nam w ogóle pożyczek, jako "militarystom". Byliśmy już więc u kresu możliwości naszych wydatków na przygotowania wojenne.

Były projekty ze strony wojska, szczególnie pułkownika Wendy, zejścia z drogi klasycznego, opartego na złocie, systemu pieniężnego na szlaki celowej inflacji, wzorowanej na Niemczech, ale minister Kwiatkowski, grożąc wielokrotnie swą dymisją, odrzucał je stanowczo jako nienadające się do naszych warunków, przy czym opierał się na następujących danych. Byliśmy młodym państwem, z ludnością ekonomicznie niewyrobioną, nieufną, nieprzyzwyczajoną do własnej gospodarki pieniężnej. Kamieniem węgielnym naszej gospodarki finansowej były sumy, zebrane oszczędzaniem przez średniozamożnych i ubogich ludzi. W razie załamania się lub zdewaluowania tych "krwawo" zaoszczędzonych pieniędzy bylibyśmy moralnie rozbici i zniszczeni jako zorganizowane społeczeństwo, nawet bez wojny z Niemcami.

Podzielałem całkowicie tę ostrożną i opartą na realnym naszym życiu, opinię wicepremiera Kwiatkowskiego.

Z drugiej strony pożyczka w Rambouillet, zawarta w roku 1936 przez generała Śmigłego we Francji, dawała jak dotąd jedynie materiał wojenny i to dostarczany stopniowo i powoli, z bardzo małą domieszką pieniędzy na zbrojenia. Również, uzyskana na krótko przed wojną Pożyczka Angielska, nie dawała pieniędzy, a to z obawy Anglików, byśmy, posiadając gotówkę, zbyt pochopnie nie wypowiedzieli wojny Niemcom, jak znani "militaryści". Tak więc, gdy Zachód nie zbroił się z powodu braku przewidywania wojny, to my nie byliśmy dostatecznie uzbrojeni, z powodu braku pieniędzy. Budżet normalny całej Polski był mniejszy od budżetu samego tylko miasta Berlina.

Jedynie więc, co nam zostało, to szykować się do wojny wszystkimi posiadanymi skromnymi środkami, jednocześnie odsuwając możliwie długo moment konfliktu.

Z mego stanowiska Szefa Rządu i ministra Spraw Wewnętrznych, to przygotowanie do wojny rozumiałem, jako zjednoczenie całego społeczeństwa wokół Idee obrony Całości i Niepodległości Polski. Miałem przed sobą przykład roku 1920, kiedy chłopci pod wodzą Witosa, a robotnicy pod Daszyńskim, razem z inteligencją szczerze oddali swój ofiarny wysiłek geniuszowi Piłsudskiego dla ratowania zagrożonej Ojczyzny. Nie było już Komendanta, ale za to, Idea Niepodległej, Wolnej Polski weszła w ciągu lat dwudziestu w krew całego społeczeństwa, niezależnie od stanu i przekonań politycznych.

Gdy tylko więc uporałem się ze zmożą strajków, rozruchów i strzelaniną policji, przystąpiłem do dalszego konsolidowania społeczeństwa pod hasłem **Obrony Polski, jednakowej dla wszystkich.**

Biorąc rzecz po prostu, należało przede wszystkim dowieść w życiu realnym, iż każdy obywatel Polski ma prawo i możliwość do niezależnego, materialnego i moralnego istnienia.

W miastach szło to łatwiej. Przy niezłych płacach robotników nowoczesnej organizacji urządzeń społecznych w Polsce, wreszcie sprawiedliwym, choć nikłym wydzielaniu zapomóg dla bezrobotnych, zapanowała znowu atmosfera, jeżeli nie zadowolenia, to cierpliwości, pod hasłem:

"Wytrzymamy, bo wytrwać musimy!"

Przyczyniło się do tego załagodzenie sytuacji w miastach, patriotyczne i ponadpartyjne, o ile chodziło o problem obrony Polski, stanowisko Polskiej Partii Socjalistycznej.

Inaczej było po wsiach. Tam cierpieli nędzę niezarejestrowani bezrobotni, którzy nie mieli jeszcze serca lub sprytu pójść "do miasta na bezrobotnego", otrzymującego zapomogi. Nawet tak potężny ośrodek, jak Centralny Okręg Przemysłowy nie zdołał zatrudnić bezrobotnych wiejskich z większych obszarów Polski.

Reforma rolna, którą minister Poniatowski prowadził w spo-

sób systematyczny i realny, umożliwiający nowopowstałym gospodarstwom od razu samodzielną egzystencję, wymagała dużych pieniędzy, nie tyle na wykup ziemi ile na zagospodarowanie rolników, nadzielonych ziemią. Stąd, wobec wielkich sum idących na zbrojenia, reforma rolna nie szła tak szybko, jak tego wymagało życie Polski.

Mimo ciągłych protestów i żądań ministra Poniatowskiego, trzeba było naprzód myśleć o obronie Polski, a później o jej porządkowaniu nawet w najdonioślejszych dziedzinach jej życia.

Tak więc, problem uzdrowienia życia wiejskiego, obarczonego przeludnieniem, bezrobociem, ubóstwem drobnego rolnika, pałacy ten problem nie mógł być załatwiony szybko i radykalnie.

Toteż, nastroje małopolskich mas chłopskich dalekie były od zadowolenia, lub choćby cierpliwości i gotowości wytrwania w tych warunkach. Stronnictwo Ludowe hasłami swymi: Ziemia i Władza dla chłopów — zyskiwało sobie coraz więcej zwolenników, przenosząc stopniowo swe wpływy z tradycyjnego terenu Małopolski w głąb obszarów Wielkopolski i Kongresówki.

Co można było zrobić w tych warunkach z punktu widzenia państwowego?

Nakazałem wojewodom zwrócić szczególną uwagę na tępienie niedociągnięć, nadużyć i niesprawiedliwości w administracji i policji wobec ludności wiejskiej, starostom zaś przestrzeganie okólnika o osobistym przyjmowaniu i skrupulatnym, życiowym załatwianiu zgłaszających się interesantów. W czasie wizytacji starostów i gmin wiejskich, przeglądałem wykazy kar administracyjnych, ich częstotliwość, dokuczliwość i wysokość. Polecałem stosować kary niskie, by wychowywały a nie niszczyły materialnie karanych. Możliwie często nawiązywałem w terenie osobisty kontakt z ludnością wiejską, by zbadać i poznać na miejscu rzeczywiste nastroje i potrzeby, niezależnie od przynależności partyjnej. W ośrodkach wpływów Stronnictwa Ludowego dawało to nieraz nieoczekiwane wyniki. Więc, na przykład, duże wrażenie wywołało całowanie przeze mnie w rękę kobiet wiejskich w czasie uroczystości o charakterze oficjalnym. Uważałem, iż związane to jest z naszym zwyczajem i tradycją w stosunku do kobiety. Oburzało mnie zawsze "rycerskie" traktowanie pań "kapeluszykowych" i protekcyjne podawanie ręki chłopkom, choćby najbardziej zasłużonym. W czasie dekoracji w okolicach Miechowa, przez Pana Prezydenta Mościckiego zasłużonych dla Sprawy Niepodległości kobiet uczestniczy uroczystości, składając powinszowania udekorowanym niewiastom, całowali je w ręce. Trwało to całowanie w rękę, jak uciał, aż do barwnego szeregu chłopek, wśród których w pięknym stroju krakowskim, białej chuście i wysokich butach, stała matka jednego z naszych oficerów Beliniaków. Przechowywała ona przez dłuższy czas w swym domu, z narażeniem własnego życia, kilku legionistów, którzy uciekli z nie-

woli moskiewskiej. Poczynając od bohaterskiej matki kolegi, ucałowałem ręce zasłużonych chłopek, a za moim przykładem poszli i moi podwładni. Wywołało to wrażenie wśród obecnych i rozeszło się po okolicy, iż członkowie Rządu, wbrew twierdzeniu agitatorów Stronnictwa Ludowego, szanują ludność wiejską.

Inny przykład kontaktu osobistego z ludnością, który dał dobre wyniki i pozostawił dodatnie wrażenie na uczestnikach skromnej uroczystości, mimo zorganizowanej wydatnej kontratacji członków Stronnictwa Ludowego, zarówno przed, jak i w czasie zebrania.

We wsi Zduny pod Łowiczem, domenie Stronnictwa Ludowego, kasa pożyczkowo-oszczędnościowa, prowadzona przez genialnego chłopą Kozę, dała obrót miliona złotych. Pojechałem do Zdun udekorować prezesa kasy, Kozę, Złotym Krzyżem Zasługi, a dwóch jego pomocników Srebrnymi Krzyżami. Z początku nastroj był dosyć sztywny i napięty. Gdy w przemówieniu po dekoracji, wobec licznie zabranych "księżaków", nazwałem kasy pożyczkowo-oszczędnościowe Zamkami Chłopskimi, budowanymi na pracy, pocie i oszczędności ludności, na miejscu dawnych zamków wielkich panów i biskupów, jeden z obecnych włościan odezwał się filuternie po przemówieniu:

"A, jakby tak kto z nas powiedział takie przemówienie, to by pan starosta go zamknął".

"Niech mi pan pokaże starostę, co by zamykał za takie przemówienia, to ja z nim pogadam". — odpowiedziałem, żegnając się z obecnymi, przy ogólnym już swobodnym śmiechu.

Odnaczenie prezesa Kozy Złotym Krzyżem Zasługi było niezwykłym wypadkiem ze względu na wysokość odnaczenia. Z Krzyżem Zasługi w Polsce działy się dziwne rzeczy. Dawano prawie tyle złotych krzyży, co srebrnych i brązowych, mówiąc, że nie ma godnych do odnaczeń w warstwach "niższych" społeczeństwa.

Wydałem, wobec tego, następujące wytyczne władzom administracyjnym:

1. Krzyże zasługi mają stać się popularnym odnaceniem, spajającym całą Polskę, bez różnicy zajęcia, władzy i narodowości, otrzymujących odnaczenie.

2. W każdej gminie ma być przynajmniej dwóch, godnych naprawdę ludzi, odznaczonych krzyżem zasługi. Thumaczenie starostów, iż "nie ma godnych", będę kładł na karb ich nieznajomości terenu. Zasługi, drobne w skali Państwa, ale wydatne na terenie gminy, jak budowa chodnika, brukowanie ulicy, utrzymanie czystości i higieny we wsi mają być nagradzane brązowymi krzyżami zasługi. Poza tym, uwzględniać należy wzorowe, sumienne, długotrwałe obywatelskie prowadzenie choćby skromnego warsztatu pracy, niezależnie od wyznania i przekonań politycznych zasłużonego.

3. Wolno staroście przedstawiać do jednego złotego krzyża zasługi tylko jednocześnie z pięciu srebrnymi i dziesięciu brą-

zowymi przedstawieniami, w ten sposób zachowana będzie proporcja i skala "zasług" i odznaczonych w terenie.

Wyniki tych zarządzeń były dobre. Gdy dawniej odznaczenia polskie były domeną jedynie dla warstw "wyższych i inteligencji", to obecnie krzyże zasługi docierały do wszystkich warstw społeczeństwa, a poza tym, obok Polaków, zaczęli je otrzymywać Ukraińcy i Żydzi. W każdym kościele na całym obszarze Polski, w niedzielę widać było teraz parę przynajmniej osób, odznaczonych krzyżem zasługi. Tak doszedłem, w ciągu kilku lat, do trzydziestu kilku tysięcy odznaczonych krzyżami zasługi, co stanowi jeden na tysiąc mieszkańców. Uważałem, że to nie jest za dużo. Chodziło mi o spojenie ludności Polski poczuciem zasługi dla Państwa lub społeczeństwa. Nie mogło tu chodzić o pozyskanie sobie poszczególnych ludzi, gdyż na każdego, odnanzonego przez Państwo, występuje zawsze stu przyjaciół, mówiących: "Dlaczego dostał odznaczenie akurat ten idiota, a nie ja!".

Chodziło mi o udostępnienie odznażeń dla wszystkich zasłużonych obywateli Polski i cel ten został osiągnięty, przyczyniając się do scementowania Państwa. To ideowe cementowanie najszerszych warstw ludności Polski postępowało szybko naprzód za czasów mego urzędowania. Oto kilka przykładów.

Po gminach wiejskich i miejskich powstawały skromne pomniki na cześć poległych w wojnie światowej i polskiej 1914-1920 roku.

W Liskowie stanął pomnik z nazwiskami kilkudziesięciu włościan, którzy w czasie ucisku carskiego jeli się akcji spółdzielczej pod przewodnictwem prałata Blizińskiego.

Na zakręcie szosy Kalisz — Sieradz wzniesiony został kamienny pomnik żołnierza-księdza Kordeckiego, obok małej osady rolniczej, Iwanowice, z której pochodził. Boczna szosa, długości około 3 kilometrów, przeprowadzona od pomnika księdza Kordeckiego do Iwanowic przez moczary dopływu Proсны połączyła osadę z Sieradzem i Kaliszem, skracając kilkakrotnie czas przejazdu. Tak, realna pamięć o synu osady Iwanowice codziennie oplaca się jej mieszkańcom, nawet w kilkaset lat po jego bohaterskim czynie. Pomnik, bowiem, może rozwalić ręka wroga, ale szosa zostanie.

Zastrzelony przez Litwinów, żołnierz Korpusu Ochrony Pogranicza, Serafin, po śmierci którego nawiazane zostały stosunki Polski z Litwą, otrzymał uroczysty pogrzeb. Poza tym, w rodzinnej jego wsi, w Małopolsce, odbyła się parada wojskowa przy odsłonięciu pomnika szeregowca Serafina, na skrzyżowaniu dróg, obok parafialnego kościoła. Wygłosiłem przy tym, jako minister Spraw Wewnętrznych, przemówienie o wartości krwi żołnierskiej i chłopskiej, przelanej w obronie praw i całości Polski. Obecni rodzice zabitego otrzymali oficjalne wyrazy współczucia i honory od władz cywilnych i wojskowych. Ojciec Serafina, będący w wieku podeszłym i oczekujący odciążenia w pracy z chwilą powrotu syna z wojska, otrzymał od

Państwa Polskiego, jako pomoc dla gospodarstwa pięknego konia i młóckarnię, której mu brakło.

Uroczystości te, na których były obecne dziesiątki tysięcy ludzi, łączyły ludność z całością Polski, z jej ustrojem państwowym. Sprawiały one duże wrażenie, mimo przeciwdziałania agitatorów Stronnictwa Ludowego. Ci ostatni wychodzili z założenia, iż władza winna się znajdować w rękach chłopów, wspominając dla grzeczności o robotnikach. Rzucili hasło walki z Rządem Polskim, celem zmuszenia go do ustąpienia na rzecz "Rządu Ludowego".

W lecie 1937 roku, ogłoszony został przez przywódców Stronnictwa Ludowego tzw. strajk chłopski, a więc wstrzymanie się od dowozu żywności do miast celem ich wygłodzenia, wywołania rewolucji i zmuszenia do ustąpienia rządu.

Ponieważ strajk nie był jednomyślny, więc strajkujący chłopci napadali po drogach na rolników, wiozących produkty do miast. Powstało zamieszanie wokół "ogładzanych" miast, walki z policją, w rezultacie których było zabicie 42 "powstańców" przez strzały atakowanej policji.

W czasie tych rozruchów nie byłem, niestety, w Polsce, lecz we Francji. Oczywiście, po powrocie do kraju i zbadaniu sprawy, wziąłem na swoją odpowiedzialność strzelaninę policji i jej fatalne następstwa.

Była to, na szczęście, ostatnia strzelanina za czasów mego urzędowania.

W Polsce zapanował spokój i bezpieczeństwo.

Do rozładowania nastrojów przyczyniło się zwolnienie w 1938 roku trzystu włościan, zasądzonych za wypadki roku 1937. Szkoda było "więzić" wykonawców, gdy przywódcy, jak np. profesor U.J. w Krakowie Kot umyli ręce i schowali się za szeregiem wykretów przed wymiarem sprawiedliwości. Wkrótce zaczęli być zwalniani inni więźniowie polityczni, nie wyłączając więźniów brzeskich.

Nastroje prorządowe w społeczeństwie wzrastały, w miarę zmniejszania się ilości bezrobotnych, poprawy sytuacji materialnej i bezpieczeństwa w Polsce. Toteż, mimo zbojkotowania wyborów do Ciał Ustawodawczych w 1935 roku, przez partie opozycyjne, ilość biorących udział w głosowaniu była rekordowa, wyższa od ilości głosujących w poprzednich wyborach do Sejmu i Senatu, w których opozycja brała udział. Tak więc, bojkot wyborów zupełnie się nie udał i nie zdołał osłabić zainteresowania nimi szerokich mas Polski. Były one plebiscytem za i przeciw Rządowi.

Duża, również, frekwencja cechowała wybory samorządowe w ciągu 1938 i 1939 roku, w których wzięły już udział stronnictwa opozycyjne. Zakazałem surowo wszelkiego nacisku politycznego administracji i policji, celem umożliwienia swobodnego wybrania osobistości pożytecznych dla pracy samorządowej, bez względu na przekonania polityczne i przynależność partyjną. W wielu samorządach wybrana została większość socjalistyczna

lub narodowa, jako jeszcze jeden dowód, iż Polska była daleka od faszyzmu i, związanego z nim, nacisku administracji na życie społeczne.

Partie opozycyjne uważały te wyniki wyborów samorządowych, jako zwycięstwo polityczne.

Jakie były przyczyny takiego wyniku wyborów samorządowych?

1. Wielki nacisk na nie stronnictw opozycyjnych, wobec bojkotu przez nie wyborów do Ciał Ustawodawczych i nieudania się tego bojkotu.

2. Brak nacisku administracji i mniejsze zainteresowanie wyborami samorządowymi stronnictw prorządowych, wobec wyładowania energii w wyborach do Parlamentu.

3. Czar wszelkiej opozycji i "postawienia na swoim" wobec Rządu, dla Polaków, po latach niewoli.

4. Naciski administracji, w sprawach zdrowotnych, nieraz uciążliwe dla ludności, a wymagane przez mnie, oraz ściśle przestrzeganie innych zarządzeń porządkowych, które zniechęcały wyborców do ciał samorządowych.

Te zarządzenia porządkowe i zdrowotne, a właściwie dopilnowywanie ze strony administracji ich wykonania przez ludność, było doskonałą odskocznią i pożywką dla agitacji stronnictw opozycyjnych. Na wiecach wyborczych tych stronnictw zarządzenia zdrowotne wysmiewano, jako przedwczesne, małostkowe, nie przystosowane do trybu życia ludności, a nawet krzywdzące ją materialnie. Podnoszono jedynie ich ciężary, np. przymus zamiatania ulic, nie mówiąc nic o ich celu podniesienia zdrowotności kraju. Ukuto szereg bardziej lub mniej prawdopodobnych anegdot, ośmieszających zdrowotne poczynania, "niegodne ministra", który powinien "myśleć o rzeczach ważniejszych" i o niechętniej reakcji ludności na te niewczesne wymagania oraz ich kontrolę. Krzyczano na wiecach, by dać ludności najprzód dobrobyt, a już ona sama zaprowadzi u siebie porządek. Życie wskazywało na co innego, gdyż właśnie wśród zamożnych ludzi i w najbogatszych dzielnicach Polski, jako najbardziej konserwatywnych, był najmocniejszy opór przeciw "nowościom" zdrowotnym.

Przykładów mieszanina polityki z higieną mógłbym przytoczyć setki. Burmistrz miasta Radzimina np. prosił o pomoc w budowie kąpieliska miejskiego. Pomogłem i stanęło kilka wanien i kilkanaście natrysków. Aż miło było patrzeć.

Cóż, kiedy w kasie stwierdziłem wydawanie do kąpeli jedynie szkolnych biletów ulgowych; bilety normalne dla dorosłych zupełnie nie szły.

Burmistrz stwierdził, iż dorośli kępują się kąpać. Poleciałem mu żądać od radnych miejskich biletów z kąpeli, przy wejściu na salę obrad. Brudasy nie będą wpuszczeni na posiedzenie Rady Miejskiej.

W parę miesięcy później z satysfakcją stwierdziłem sprzedaż w kasie biletów również do kąpeli dorosłych. Burmistrz, nie

dzieląc mej radości, pokiwał głową, mówiąc: "Radni, przed każdym posiedzeniem Rady płacą podwójną cenę za bilet, byle się nie kąpać i otrzymać bilet kąpielowy do okazania przy wejściu na salę obrad!". Poczynania więc w życiu samorządowym traktowane były nie z punktu widzenia ich pożytku dla gmin, lecz z punktu ustosunkowania się do nich Władz i Rządu.

Wybory samorządowe trwały blisko dwa lata i nie były w swych wynikach zaskoczeniem dla Rządu. Po pierwszych wynikach, dających plusy stronnictwom opozycyjnym, administracja nie zmieniła swego obiektywnego stanowiska, umożliwiając ludności wypowiedzenie swobodnego głosu w sprawach samorządowych. Rzecz to już stronnictw opozycyjnych, iż usiłowały z wyborów samorządowych zrobić odskocznnię polityczną, wbrew zasadom organizacji życia demokratycznego.

Tymczasem, ulubionymi konikami opozycji było oskarżanie Rządu o postępowanie niedemokratyczne, dalej szły proces brzeski i Bereza.

Sprawa Brzeska malała w ciągu lat, wobec wypuszczenia na wolność więźniów brzeskich.

Pozostała Bereza, obóz odosobnienia w województwie Pole skim. Obóz ten odziedziczyłem, przychodząc do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w 1936 roku, po poprzednikach, utrzymałem go jednak dla powodów następujących.

Polska znajdowała się stale w stanie pół-wojny, pół-pokoju z sąsiadami ze Wschodu i Zachodu, pomimo pozorów dotrzymywania zasad paktów o nieagresji ze strony tych państw. Byliśmy stale społecznie i politycznie podminowywani przez agentów, płatnych przez Sowiety i Niemcy. Władze sądowe często nie mogły zasądzać tych agentów dla braku dowodów prawnych, mimo ich oczywistej pracy przy rozbijaniu życia Polski. Agenci sowieccy i komuniści polscy, działający przeciw bezpieczeństwu Państwa, których trudno było "złapać na gorącym uczynku", byli głównymi więźniami Berezy. Agentów niemieckich umieszczaliśmy w Berezie tylko w wypadkach wyjątkowych, gdyż wywoływało to retorsje niemieckie na ludność polskiej w Niemczech. Byli tam w Berezie, jednak, członkowie ukraińskiej Organizacji Wojskowej.

Najsprytniejsi komuniści usiłowali utrzymywać kontakty z organizacjami legalnymi w Polsce jak np. P.P.S. lub Związek Nauczycielstwa Polskiego. O tych utajonych komunistów było najwięcej krzyku i interwencji, gdy dostali się do Berezy. Życie wykazało, iż byli to prawdziwi komuniści, wysługujący się Sowiетom.

Doskonałe wyniki dawało osadzenie na pewien czas w Berezie różnych nożowców i pobytovcw, jeszcze z czasów rosyjskich, będących postrachem całej gminy. Nie bali się oni więzienia, do którego wybierali się zwykle na zimę, natomiast surowy tryb życia w Berezie robił z nich potulnych ludzi.

Decyzja wysyłania do obozu odosobnienia w Berezie pobiera-na była osobiście przez ministra Spraw Wewnętrznych, celem

uniknięcia nadużyć w stosowaniu tego drastycznego środka.

Wysyłałem tam jedynie ludzi szkodzących Państwu, a nie jakiegokolwiek partii. Tak więc, w Berezie siedział, na przykład, adwokat z Wysokiego Mazowieckiego, rozbijający stragany Żydów, jednocześnie z radnym żydowskim Krakowa, wnioskującym o skreślenie z budżetu miejskiego pozycji pomocy dla akademików, których wszystkich uważał za antysemitów.

Obydwaj ci zacierzawieni politycy byli szkodliwi dla całości i wartości obywateli i Państwa Polskiego.

Dużo hałasu wywołało zamknięcie w Berezie znanego redaktora z Wilna, za gloryfikowanie ustroju hitlerowskiego. Wypuszczony po miesiącu, z powodu zadrażnienia wyrostka robaczkowego, z własnej inicjatywy przyrzekał przestać pisać. Otrzymał odpowiedź, że, przeciwnie, powinien pisać, ale w sposób wzmacniający Polskę, a nie szerzący defetyzm.

W ostatnich miesiącach przed wojną, do Berezy szli paskarze, ukrywający bilon srebrny i żywność. Pomogło to przy utrzymaniu cen, aż do wejścia Niemców i Sowieców do Polski.

Na ogół biorąc, w wyjątkowej pół-wojennej sytuacji Polski, Bereza była niepopularnym i przykrym, lecz pożytecznym narzędziem ochrony całości i spójności Państwa w wypadkach, gdy władze sądowe nie mogły wkraczać, dla braku możliwości ujawnienia dowodów winy, ze względu na tajne popieranie winowajców przez Niemcy, lub Sowiety. Unikaliśmy w ten sposób mnóstwa procesów politycznych, które nie pomagały, a raczej szkodziły Polsce, ze względu na stosunki z potężnymi a podstępnyymi sąsiadami, podkopującymi spójność Państwa. Te motywy istnienia Berezy były trudne do "ujawnienia" społeczeństwu polskiemu i dlatego Bereza była doskonałym "konikiem", na którego wsiadali wszyscy mówcy i dziennikarze, zwalczający Rząd Polski. Nie mogłem jednak dla uzyskania popularności Rządu pozwolić grasować bezkarnie w Polsce agentom Sowieców i Niemiec, bo to dopiero byłoby zbrodnią wobec społeczeństwa i Państwa Polskiego. Dalszym czynnikiem, którym chętnie uderzano w mój Rząd, z prawej i lewej strony społeczeństwa, a którego celowo nie poruszało Stronnictwo Ludowe, była sprawa żydowska.

Prawica narodowa nie mogła darować mi nadania sześciuset tysiącom bezpaństwowym Żydów, którzy uciekli z Rosji do Polski w latach 1918-20, obywatelstwa polskiego. Zrobiłem to na rozkaz Marszałka Piłsudskiego, który na mój meldunek odpowiedział krótko:

"Dajcie im paszporty polskie. Polskę nie stać na posiadanie sześciuset tysięcy niezadowolonych obywateli drugiej klasy, którzy muszą Jej nienawidzieć".

Poza tym, miałem jasną i wyraźną kartę w sprawie żydowskiej, tępiąc bicie Żydów, jako rzecz niegodną Polski, Jej kultury i równości wobec wszystkich obywateli.

Było co tępić w chwili objęcia przeze mnie urzędowania. Z Niemiec zaciągnięty został do Polski antysemityzm w najgor-

szym, najgłupszym stylu: bicia Żydów i przypisywania im wszystkich braków i błędów naszego życia państwowego. Toteż w pierwszym moim przemówieniu sejmowym, jako premier, po napiętnowaniu barbarzyństwa załatwiania spraw przez pogromy, wskazałem drogę współzawodnictwa handlowego i przemysłowego dla tych, którzy chcą zwalczać Żydów, mówiąc:

"Walka ekonomiczna, i owszem".

Zawrzało na lewicy społeczeństwa polskiego i w sferach nacjonalistycznych — żydowskiego.

"I owszem" stało się, rzekomo, symbolem i nawoływaniem do bojkotu, a nawet pogromów żydowskich, wbrew oczywistej jasności mego przemówienia.

Nie przejmowałem się tym nigdy. Nie byłem więc ani nacjonalistą, ani "parobkiem żydowskim", wybierałem drogę pośrednią działania, mającą na celu dobro Państwa Polskiego bez niczyjej krzywdy.

To samo państwowe stanowisko zajmowałem wobec problemu uboju rytualnego w Polsce. Byłem przeciwny zniesieniu tego uboju, nie tylko z chęci uszanowania przepisów religijnych Żydów, ale i dlatego, że zniesienie tego uboju zaszkodziłoby interesom rolnictwa w Polsce, z czym nie liczyli się zaperzeni antysemitami. Toteż, mimo półtorarocznego dyskusowania jej w Sejmie, ustawa o zniesieniu uboju rytualnego w Polsce nie została uchwalona przez ciała ustawodawcze i nie weszła w życie, wbrew opowiadaniom wielu ludzi, oskarżających Polskę o antysemityzm.

Najtrudniej było zwalczać antysemityzm na uniwersytetach, na skutek dużej ich autonomii. Ale i do uniwersytetów wkraczała policja, gdy wybryków młodzieży akademickiej przebrała się miara.

Dużo narzekań wywołało przetrzymywanie w obozie w Zbąszyniu Żydów, wyrzuconych siłą z Niemiec do Polski. Jednak, ludzie ci, często bez dokumentów, musieli być sprawdzeni co do ich tożsamości, po czym odsyłani byli do miejsc, które udowodnili jako miejsce pochodzenia w Polsce. Obóz został rozłożony z 15 tysięcy ludzi w ciągu kilku miesięcy i przed wojną był zupełnie pusty. Utworzenia tego obozu wymagały władze bezpieczeństwa Państwa, gdyż, wraz z polskimi Żydami nadsłani byli Żydzi niemieccy, a nawet agenci Hitlera. Tymczasem dużo pisano zagranicą o antysemityzmie rządów w Polsce z powodu utworzenia obozu w Zbąszyniu. Jakże inaczej przedstawia się ta sprawa dzisiaj, gdy najbardziej demokratyczne państwa, często wzbraniały w ogóle wstępu Żydom na swoje terytorium.

Masowe przerzucenie Żydów przez granicę z Niemiec do Polski było jednym z objawów narastającego napięcia sprawy Gdańska i "korytarza" Pomorskiego. Nieustępliwość nasza po upokorzeniu Zachodu w Monachium i kolejnych "pokojujących" grabieżach Hitlera, w których nikt mu nie śmiał przeszkadzać,

ta nieustępliwość Polski była czymś nowym w zmęczonej, szukającej za wszelką cenę pokoju, Europie.

Pod wpływem nieustępliwości Narodu i Rządu Polskiego, mocarstwa Zachodniej Europy, wprowadzie późno, ale wreszcie zaczęły myśleć o konieczności oporu przeciw zagrażającemu im również niebezpieczeństwu ze strony Hitlera.

Polskie: "Będziemy się bili, choćbyśmy mieli bić się sami" — obudziło nie tylko sumienia, ale i, jakże spóźnioną, czujność Europy. Zaraziliśmy Europę decyzją walki na śmierć i życie.

Ostateczne decyzje nieustępowania Niemcom zapadły na Radzie Czterech na Zamku, w składzie: Prezydent Rzeczypospolitej, Ignacy Mościcki, Marszałek Edward Rydz-Śmigły, minister Spraw Zagranicznych, Józef Beck, i premier Rządu, Sławoj Składkowski.

W słoneczne południe, dnia 28 sierpnia 1939 roku, minister Beck zreferował sytuację polityczną, jako wiodącą nieuchronnie do wojny z Niemcami, w razie braku ustępstw z naszej strony w sprawie Pomorza i Gdańska. Ustępstwa jakiegokolwiek, w sprawach zasadniczych i terenowych jednogłośnie zostały uznane, jako wykluczone. Minister Beck zreasumował: "Jeżeli nie będzie cudu, będziemy mieli wojnę". Marszałek Śmigły przedstawił konieczność ogłoszenia jawnej mobilizacji i wskazał na wielką przewagę militarną Niemców, która ujawni się szczególnie silnie w pierwszych miesiącach wojny, najtrudniejszych do przetrzymania. Prezydent Mościcki zakończył naradę słowami, będącymi wyrazem ostatecznej, jednogłośnej, brzemiennej w następstwa decyzji:

"To trudno, trzeba ważyć się na wszystko, gdy chodzi o istnienie Polski".

Wiedzieliśmy dobrze o naszej niższości w uzbrojeniu wobec Niemców, ale wiedzieliśmy również o moralnej przewadze naszego Narodu, która dawała rękojmię ostatecznego zwycięstwa.

Nie szliśmy do walki lekkomyślnie. Liczyliśmy, obok własnych sił, również na pomoc naszych sprzymierzeńców, wobec których poszliśmy na szereg ustępstw, nawet w sprawie mobilizacji ogólnej.

Opóźnialiśmy z całych sił chwilę zbrojnego konfliktu z Niemcami, gdyż czas dawał przewagę naszym przygotowaniom wojennym w Polsce, która szła wzwyż materialnie nie tylko z każdym rokiem, ale z każdym miesiącem. Te przygotowania wojenne trzeba było robić ze skromnych naszych funduszy budżetowych, gdyż ani Anglia ani Francja nie uruchomiły dla nas swych sum pożyczkowych, czekając na dalszy rozwój sytuacji politycznej i nie chcąc podniecać naszej stanowczości wobec Niemców możliwością intensywnych zbrojeń. Byliśmy więc zdani finansowo na własne siły.

Postanowiliśmy ograniczyć wszystkie wydatki inwestycyjne z naszego budżetu i przelać je do dyspozycji wojska na prowadzenie umocnień w terenie. Zobowiązaliśmy się nawet w Rządzie nie wydawać żadnych sum, poza wydatkami wegeta-

tywnymi, bez zgody Sztabu Głównego. Szereg rozpoczętych prac budowlanych i inwestycyjnych, nawet w Centralnym Okręgu Przemysłowym, został wstrzymany, aż do wyjaśnienia sytuacji. W tym była większa część prac przeznaczonych dla zatrudnienia bezrobotnych.

Odbiło się to od razu na nastrojach pracujących i bezrobotnych mas w całej Polsce. Najsilniej zareagował wierny, lecz krewki i burzliwy Lwów. Gdy drobne doraźne zapomogi nie odnosiły skutku, zjawił się u mnie dnia 14 lipca 1939 roku, w biurze Prezydium Rady Ministrów, Prezydent miasta Lwowa Ostrowski z dwoma radnymi miejskimi, przedstawiając sytuację, jako bardzo napiętą, grożącą w każdej chwili wybuchem krwawych rozruchów. Te same nastroje zaczęły napływać i z innych miast Polski.

Łataliśmy sytuację doraźnymi zapomogami i apelowaniem do patriotyzmu bezrobotnych. Milczeli i cierpieli z podziwu godną wytrwałością, nie chcąc wyrazami niezadowolenia i rozruchami ośmielić Niemców w ich agresywnych zamiarach co do Polski. Tymczasem, przy intensywnym uruchomieniu fabryk uzbrojenia, trzeba było mieć do dyspozycji coraz nowe sumy w walutach zagranicznych dla nabycia metali pół-szlachetnych i innych surowców, sprowadzanych z zagranicy.

Wreszcie udało się Niemcom przez swych agentów spowodować znikanie z obiegu bilonu srebrnego, co powodowało nowe trudności i zamieszanie w obiegu pieniężnym, na szczęście przejściowe i opanowane w porę, dzięki czujności władz skarbowych i ofiarnemu patriotyzmowi ludności.

Duże trudności gospodarcze stworzyła również częściowa mobilizacja rezerwistów, bez jednoczesnej mobilizacji finansów Państwa. Rodzinom powołanych rezerwistów wypłacano skromne zapomogi, które jednak dochodziły do wysokich sum. Dla przykładu, w dniu 11 lipca 1939 r. zostało wypłaconych 7 milionów złotych dla rodzin zmobilizowanych rezerwistów. Mimo to, niezadowolenie wśród rodzin, którym zabrano żywicieli, podczas, gdy ojcowie innych rodzin zostali w domu i pracowali, rosło z dnia na dzień, aż wyładowało się w szeregu rozruchów prowadzonych przez żony i matki rodzin zmobilizowanych rezerwistów. Najsilniejsze te rozruchy były w Siedlcach i Skierniewicach. Kazałem traktować je łagodnie i z wyrozumiałością.

Celem uniknięcia dalszego rozgoryczenia rodzin, ojcowie zmobilizowani, zabierani byli do innych miast i to, obok zwiększenia zapomóg, osłabiło napięcie nastrojów wśród opuszczonych żon i matek.

Trzymaliśmy się więc mocno, mimo tych trudności.

Hitler zaatakował nas bowiem, nie w okresie rozpadu gnilnego, ale bujnego wzrostu naszych sił. Zaatakował, bo wiedział, że za rok będziemy jeszcze trudniejszym do pokonania przeciwnikiem, niż w jesieni roku 1939-go.

Ten napad Niemców na Polskę pozwolił wykazać tylko jeden punkt wytycznych mej pracy, jako premiera Rządu Polskiego:

bronienie wszystkimi siłami moralnymi i materialnymi Niepodległości i Całości Polski. Nie pozwolił on zrealizować natomiast innych wytycznych mej pracy, którymi były, przede wszystkim, wysiłki do zjednoczenia społeczeństwa Polski.

Liczyłem, iż Wybory Samorządowe przeprowadzone bezstronnie na terenie całej Polski, dadzą możliwość wypowiedzenia się szerokim warstwom społeczeństwa, niezależnie od przekonań politycznych.

Liczyłem, wobec tego, iż następne wybory parlamentarne nie będą już bojkotowane przez stronnictwa opozycyjne, mające swój duży wyraz w życiu samorządowym.

Pewne wyniki zjednoczenia życia społeczeństwa polskiego widoczne były już w udziale wszystkich stronnictw i partij Polski w posiedzeniu na Zamku, pod przewodnictwem Prezydenta Rzeczypospolitej, poświęconym Pożyczce Lotniczej, na cele wojenne.

Hasło obrony Polski zjednoczyło wszystkich wokół prac Rządu.

Treścią, główną wytyczną mej pracy jako premiera, było dążenie do mocnej, sprawiedliwej, jednolitej władzy w Polsce. Liczyłem, iż w czasie wyborów na Prezydenta Rzeczypospolitej w roku 1940, zostanie wybrany Marszałek Rydz-Śmigły. Dawało to Polsce zjednoczenie autorytetu wojskowego i cywilnego w jednym ręku, oczywiście, bez kumulowania stanowiska Prezydenta Rzeczypospolitej i Inspektora Generalnego. Zjednoczenie autorytetu wojskowego i cywilnego zapewniało Polsce tę harmonijną współpracę władz cywilnych i wojskowych, która cechowała okres pracy Marszałka Piłsudskiego, udzieliła siły Polsce. Inne wytyczne mej pracy, jak zwalczanie bezrobocia, podniesienie ekonomiczne Polski, zapewnienie jej bezpieczeństwa wewnętrznego, dążyły do wytworzenia przez mocną sprawiedliwość, Polski — jako Siły Sprawiedliwości.

Grom Wrześniowy, zmieniając układ i konfigurację sił politycznych całego naszego świata, rozbił i zniszczył te zamiary, osiągnięcia i wytyczne mej pracy na przyszłość.

Felicjan SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI.

POLSKIE KSIĄŻKI I PISMA Z EUROPY
WSZYSTKIE WYDAWNICTWA INSTYTUTU
LITERACKIEGO W PARYŻU

posiada na składzie

JÓZEF F. BIAŁASIEWICZ

Przedstawicielstwa "Kultury", "Orla Białego",
"Wiadomości".

1165 Milwaukee Ave. Chicago 22, Ill. U.S.A.

Książki

Ideologie europejskie

Wybitny uczony polski, profesor Feliks Gross, wykładający obecnie na Uniwersytecie Nowojorskim, dał czytelnikom amerykańskim jako kierownik i redaktor wielkiego zespołu naukowego, niezwykle cenne i bogate dzieło o ideologiach europejskich*) Zbiorowa ta praca napisana została przez 24 współpracowników, przeważnie uczonych europejskich osiadłych w Stanach Zjednoczonych, czołowych znawców poszczególnych prądów ideowych. Pierwszy rozdział poświęcony jest mechanice polityki europejskiej, pióra redaktora całości, profesora Grossa. Dalej idą komunizm (Max Nomad), socjalizm (Algeron Lee), Tradeunionizm europejski (Philip Taft), kooperatyzm (Horace M. Kallen), liberalizm (Rubin Gotesky**), rozdział o Herzenie i Solowiowie jako przedstawicielach tradycji liberalnej w Rosji (Elias Tartak), dwa rozdziały o anarchizmie, syndykaliźmie oraz anarcho-syndykaliźmie. Agraryzm ogólnoeuropejski opracowany jest przez G. M. Dimitrowa a jego rosyjska odmiana przez Vladimira Zensinowa; dalej następują katolicyzm jako polityczna siła ideologiczna (Alfredo Mendiaval), nacjonalizm (Thorsten V. Kalijarvi), regionalizm i separatyzm (Joseph S. Roucek), syjonizm i antysemityzm (Jacob Lestchiński). Dwa rozdziały o faszyzmie wyszły spod pióra G. A. Borgese oraz Gunther Reimana; po nich znajdują się: szkic o Falandzie (Stephen Naft), o Panegiryzmie (F. W. Foerster), Hitleryzmie (Friedrich Stampfer), oraz Panslawizm (Wacław Lednicki); serię tę zamykają europejski pacyfizm i internacjonalizm (Nicolas Doman) oraz federalizm europejski (R. D. Lang). Ta przebogata seria podstawowych opracowań zamknięta jest pięcioma dodatkowymi szkicami. Szkice te albo podsumowują rozważania zespołu i starają się wyciągnąć z nich wnioski ogólne, dać próbę syntezy lub też porusza-

*) *European Ideologies. A survey of 20th Century Political Ideas.* Edited by Feliks Gross. With an introduction of Robert M. MacIver. Philosophical Library (N. York), 1948, str. 1076 & XV.

ją problemy specjalne, których nie można podciągnąć pod jeden specyficzny prąd ideologiczny, jak np. zagadnienie planowania w wolnym społeczeństwie. Książka jest tak naładowana różnorodną treścią, iż trudno omawiać jest każdy rozdział osobno. U podstaw jej leżą cztery słuszne założenia. Po pierwsze, że Europa jest macierzą idei politycznych, tak jak Azja matką religii, po drugie, że wielkie konflikty europejskie są przede wszystkim konfliktami ideologicznymi; po trzecie, że Ameryka w zawrotnym tempie wyrosła na czołowe mocarstwo globu i pilnie potrzebuje bliższego zapoznania się z prądami ideowymi starego kontynentu; po czwarte, że praca tego rodzaju nie może być przedsięwzięta przez jedną osobę, lecz winna być podjęta przez szeroki wachlarz specjalistów w poszczególnych dziedzinach.

Ogromne to zadanie zostało na ogół wykonane (pomimo drobnych a nieuniknionych w tym wypadku sprzeczności i niekonsekwencji) z podziwu godną sprawnością. Poziom poszczególnych opracowań jest rozmaity. Na czoło wysuwają się szkice Maxa Nomada o komunizmie, redaktora całości, Feliksa Grossa o mechanizmie polityki europejskiej oraz obszerny essay najwybitniejszego dziś polskiego slawisty, Profesora Wacława Lednickiego, o panslawizmie. Jest to zresztą w całym zespole praca najdłuższa (liczy przeszło 100 stron druku) oraz jedna z najbardziej źródłowo opracowanych. Jak wszystkie prace tego autora rozdział o panslawizmie jest zarazem dużej klasy essayem literackim. Wypadki polemiczne wkradające się od czasu do czasu w główny nurt rozważań to nieuniknione niemal wyniki nacisku aktualności na autora piszącego na temat tak powiązany z rzeczywistością dnia bieżącego.

Szkic ten jest zarysem obszernej książki i prosi się o rozbudowanie w większą pracę.

"Ideologie Europejskie" to nie tylko cenne dzieło w każdej bibliotece inteligentnego Amerykanina: przeczytać ją może z pożytkiem również i czytelnik europejski, pragnący mieć możliwie bezstronną, naukową ocenę głównych prądów ideowych swego macierzystego kontynentu.

M. K. DZIEWANOWSKI

O „Pamiętnikach” Serge’a

Kto nigdy nie był zakochany, nie wie jakich cierpień i radości dostarcza miłość. Znaczna część ludności świata dzisiejszego, przypomina młodzieńców, którzy stojąc na progu pierwszej „miłości rewolucyjnej”, odczuwają wynikające z niej obawy, zapał, często zaślepienie. Dyskusja z nimi pozostanie zawsze dialogiem głuchych, jeśli się nie zna samemu tego potęż-

negu sentymentu i głosi się zwykłą abstynencję. Bomba atomowa i obozy koncentracyjne są również słabymi argumentami. Zmusić siłą do zaniechania prób, do pogodzenia się z życiem, które wydaje im się gorsze od katorgi, jest rzeczą niemożliwą. Zachodzi zresztą pytanie, czy warto zwalczać ten sentyment, który skierowany na właściwą drogę powinien dać piękne rezultaty? Należy raczej zrozumieć aspiracje i dążenia tych ludzi i ostrzegać jednocześnie przed przesadami i zbrodniami wynikającymi z fanatyzmu, lub z zrozpaczenia. Jest to jedyna nadzieja, na wyzwolenie ich od zręcznych mistyfikatorów, którzy wykorzystują zapał rewolucyjny niezadowolonych dla podejranych i często zbrodniczych celów. Od rozwiązania tego problemu zależy los naszego pokolenia. Gdy Wiktor Serge rozpoczął karierę rewolucjonisty sprawy wyglądały zupełnie inaczej. Ruch robotniczy wychodził z dziecięcego wieku pierwszych pojedynków i kształtował się dopiero w ogniu walk, zapoczątkowanych rewolucją październikową. Chodziło wówczas o nadanie mu prawdziwego i ludzkiego oblicza. Serge poświęcił się temu zadaniu bez reszty i chociaż spotkał go tragiczny zawód nie wpadł z jednej krańcowości w drugą, jak to niestety najczęściej robią ludzie w jego sytuacji. Klęska jednej rewolucji nie przesądziła dla niego rezultatu wszystkich następnych. Nie ma takiego zła, którego nie dałoby się zwalczyć, lub naprawić. Należy przede wszystkim wiedzieć do czego doprowadziły popełnione błędy i unikać ich w przyszłości. Dzielać się z nami bogatymi doświadczeniami uczestnika, — a nie obserwatora — wielkiego eksperymentu rewolucyjnego, Serge pomaga nam zrozumieć całą gamę problemów społecznych. A zrozumienie zadania jest warunkiem koniecznym dla jego rozwiązania. Dlatego publikacja tego rodzaju jest bardzo na czasie.

"Pamiętniki" Wiktora Serge'a obejmują okres od 1901 do 1941 r., lecz najciekawsze są jego wspomnienia z lat 1919 - 1936, które spędził w Związku Radzieckim. Syn emigranta, podoficera gwardii imperialnej zamieszanego w zamach na Aleksandra II, Wiktor Serge bardzo wcześnie przeszedł przez szkołę specjalnego "wykształcenia rewolucyjnego". Od pierwszych świadomych dni, czuł niesprawiedliwość otaczającego go świata i konieczność radykalnych zmian. Anarchiści z ich naiwnym może, ale szczerem idealizmem, przyciągnęli go całkowicie.

"Można było w tych czasach być radykałem, syndykalistą, nawet socjalistą, nie zmieniając niczego w swoim życiu; wystarczyło czytać ich gazetę i najwyżej chodzić do odpowiedniej kawiarni. Anarchizm, jak wszystkie prawdziwe idealizmy, wymagał całkowitego uzgodnienia myśli i postępowania. Żądał od nas wszystkiego — dawał nam wszystko".

Ten pierwszy bunt młodzieńczy przeciwko społeczeństwu opartemu na niesprawiedliwych, lecz mocnych jeszcze podstawach, był walką beznadziejną. Rezultatem dla Serge'a było więzienie i tułaczka po Europie. Ale z tych pierwszych praktyk rewolu-

cyjnych, ze swej przeszłości anarchistycznej, wyniósł na całe życie niezwykłą troskę i respekt dla człowieka, dla jego indywidualności.

Revolucja Rosyjska wydała się Serge'owi zbawieniem, prawdziwym "snopem światła w ciemnym carstwie". Na pierwszy jej zew jedzie więc do kraju "w którym życie rozpoczyna się od nowa" i który jest jednocześnie jego ojczyzną. Ale bezpośredni kontakt z krajem sowietów pozwolił mu przekonać się, że pomiędzy romantycznym idealizmem rewolucjonistów jego typu i żelazną wolą i racjonalizmem bolszewików istniała przepaść.

"Nigdy nie myśleliśmy, że można rozdzielić idee rewolucji i wolności. To co wiedzieliśmy o Rewolucji Francuskiej, o Komunie Paryskiej, o 1905 roku rosyjskim, pokazywało nam wrzenie idei, kompetencje klubów, partij i gazet.

Spodziewaliśmy się oddychać w Petersburgu powietrzem wolności, ciężkiej bezwzględnie dla jej wrogów, ale szerokiej i tocznej. I oto w tej pierwszej sowieckiej gazecie znaleźliśmy suchy artykuł Zinowiewa "O monopolu władzy": "Nasza partia będzie rządzić sama... nie pozwoli nikomu... zwodnicze wolności demokratyczne reklamowane przez kontr-rewolucję... jesteśmy dyktaturą proletariatu... itd". Śmiertelne niebezpieczeństwo, stan wojenny, wszystko to mogło objaśnić czyny, czyny często gwałcą ludzi, ale nie teorię uduszenia wolności".

Pomimo to Serge postanowił przezwyciężyć dzielące go różnice i iść razem z bolszewikami. Zbyt wielkie nadzieje pokładał w rodzaju się rewolucji, by zostać neutralnym lub walczyć przeciwko niej. Wiedział, że szefowie bolszewików, pomimo całej jasności umysłu i uczciwości, mylą się w wielu zasadniczych punktach. Ale postanowił zwalczać te błędy, pozostając wśród nich. Wstąpił do Partii nie abdykując myślowo, nie tracąc ani na chwilę zmysłu krytycznego. Przez kilka następnych lat Serge bierze czynny udział w pracach międzynarodówki i w budowie państwa sowieckiego. W "Pamiętnikach" stara się być obiektywny i przedstawić tę burzliwą epokę w świetle swoich ówczesnych uwag i komentarzy. Udać mu się to tylko częściowo i nie ulega wątpliwości, że część objaśnień jest owocem późniejszych rozmyślań. Tym niemniej zasługą Serge'a jest, że nie wpada w przesadę większości emigracji trockistowskiej, nie traktuje wszystkich późniejszych stalinowców ze specjalną nienawiścią i nie uważa wszystkich opozycjonistów za apostołów prawdziwej rewolucji. Pierwszy okres działalności W. Serge'a zakończył się definitywnie po krachu prób rewolucyjnych na zachodzie. Trzecia międzynarodówka, nieudolnie kierowana przez Zinowiewa (Zinowiew był — zdaniem autora — największym błędem Lenina), okazała się bezsilna: Noske zmiażdżył spartakistów, Bela Kun zbankrutował na Węgrzech, w Hamburgu Serge'owi nie udało się zorganizować rozruchów, generał Müller oczyścił Saksonię. Nadzieja na rewolucję światową zawiodła, zaczęło się budowanie socjalizmu w jednym kraju, epoka sta-

linizmu. W przededniu 15-go kongresu (1927 r.) Trocki, Kamieniew, Zinowiew, Serge są wydaleniem z partii. Przez pięć następnych lat W. Serge trzyma się na uboczu, schodzi ze sceny politycznej, ale pozostaje wnikliwym obserwatorem. Środowisko literackie, które najdotkliwiej w swoim rodzaju odczuło zmianę linii politycznej i pozbawienie ostatnich wolności, znane było autorowi z bliska. Był on przyjacielem pokolenia wielkich poetów rosyjskich Błoka, Jesienina, Majakowskiego i opowiada nam o ich tragicznych losach. Wreszcie na zakończenie swego eksperymentu sowieckiego W. Serge zapoznaje się z goryczami deportacji, jest świadkiem głodu i nieszczęść Rosji stalinowskiej. Przyjaciele z zachodu uratowali go cudem, prawie w przededniu procesów moskiewskich. Po powrocie do Francji W. Serge stara się wyjaśnić, że rewolucja październikowa "a mal tournée", próbuje ratować swych towarzyszy w Rosji, którzy przepadali bez śladu w "czystkach" stalinowskich. Najazd hitlerowski zmusza go do opuszczenia Europy. Ostatni rozdział "Pamiętników" poświęcony jest swojego rodzaju rachunkowi sumienia, wnioskom z doświadczeń życiowych. Przyczyny zgnicia wewnętrznego rewolucji rosyjskiej, widzi autor w nietolerancji i zbytnej pewności siebie jej wodzów. Popełnili oni kardynalne błędy likwidując całkowicie opozycję i tworząc aparat policyjny, pozbawiony wszelkiej kontroli: "czeka".

"Revolucja daje się porównać do potoku, który gwałtownie wiruje najlepsze i najgorsze i nosi w sobie prawdziwe prądy kontrrewolucyjne. Żeby być uczciwie obsłużoną potrzebuje ona nieustannych ostrzeżeń przed własnymi nadużyciami i przed własnymi elementami reakcji. Dlatego potrzebna jej jest krytyka, opozycja, kontrola". Zapoczątkowany w takich warunkach nowy aparat państwowy nie tylko nie miał skłonności do stopniowego zanikania jak przewidywali klasycy marksizmu, lecz wyrósł z czasem w "najpotężniejszą maszyną etatystyczną jaką kiedykolwiek znała historia". Marksizm przestał być w rękach jej nowych kierowników metodą inwestygacji, i stał się zwykłą przykrywką demagogiczną do zamaskowania interesów nowej kasty rządzącej. Serge nie widzi w tym smutnym rozwoju wypadków jakiejś fatalności historycznej. Jest on dla niego zwykłym rezultatem pomyłek zupełnie do uniknięcia w przyszłości:

"C. K. Partii Bolszewików, w grudniu 1918 r., mógł z całą świadomością wybrać broń jaką da nowemu reżimowi dla zwalczania kontrrewolucji. Mógł powołać publiczne trybunały rewolucyjne z prawem obrony i jawności. Wołał jednak stworzyć "czeka", tj. nowoczesną Inkwizycję, o procedurze sekretnej, nie kontrolowanej przez opinię publiczną. Była to droga najmniej-szego oporu, którą można objaśnić przesłankami psychologicznymi, jeśli zna się historię Rosji, ale która nie ma nic wspólnego ze świadomością socjalistyczną...".

Autor sądzi więc, że nie należy nigdy rezygnować z nowych prób:

"Sens życia polega na aktywnym braniu udziału w wypełnianiu historii. Rozumię przez to, wypowiadanie się przeciwko wszystkiemu co poniża człowieka, walkę o jego wyzwolenie i pełny rozwój. Błędy są nie do uniknięcia w tych zmaganiach, ale jeszcze większym błędem jest żyć według utartych tradycji pełnych nieludzkości... konserwatyzm wczorajszy prowadzi wyłącznie do katastrof..."

Serge formułuje nam jeszcze swój punkt widzenia na etykę tej koniecznej walki o wyzwolenie człowieka:

"Jednym z najważniejszych problemów, który każdy z nas musi rozwiązać w praktyce, jest bezwzględnie, uzgodnienie bezkompromisowości wynikającej ze stanowczych przekonań, z krytycznym ustosunkowaniem się do tychże przekonań i z respektem dla poglądów innego. Chodzi, można powiedzieć, o szanowanie człowieka nawet we wrogu, o wojnę bez nienawiści".

Emmanuel Mounier mówił o Serge'u: "ce fut un vrai combattant de la justice". "Pamiętniki" tego bojownika sprawiedliwości, są lekturą nadzwyczaj ciekawą nawet dla ludzi o innej koncepcji świata niż ich autor. Napisane z wielkim talentem, zawierają niezliczoną ilość portretów działaczy politycznych i przedstawicieli świata literackiego, ciekawe opisy wydarzeń i środowisk. Chwilami, aż zbyt bogate, dają nam obraz prawie kompletny Europy międzywojennej. Można powiedzieć po ich przeczytaniu, że Wiktor Serge był nie tylko nieskazitelnym rewolucjonistą, lecz także wybitnie utalentowanym pisarzem.

Ch. L.

Brygada Karpacka

Na całość książki składają się trzy zasadnicze części:

"CZĘŚĆ HISTORYCZNA I DOKUMENTARNA"; "CZĘŚĆ LITERACKA I OPISOWA", wraz z dołączonymi do niej "POEZJĄ I PIEŚNIAMI"; "ALBUM ZDJĘĆ I SZKICE".

"CZĘŚĆ HISTORYCZNA" poprzedzają "URYWKI Z PAMIĘTNIKA" Gen. Stanisława Kopańskiego.

"CZĘŚĆ HISTORYCZNA I DOKUMENTARNA" została pomysłana w ten sposób, ażeby dać możliwie naukowe naświetlenie dziejów S.B.S.K. Czytający ma możliwość zetknięcia się z opisem, mającym na celu przedstawienie obrazu S.B.S.K. niczem nie spaczzonego, bezstronnego, prawdziwego.

"CZĘŚĆ LITERACKA I OPISOWA" wraz z "POEZJĄ I PIEŚNIAMI", rzecz oczywista, nie tylko nie wyrzeka się momen-

tów uczuciowych, lecz właśnie stara się wyzyskać je w pełni.

"ALBUM ZDJĘĆ I SZKICE" — mówią same za siebie. Pochwycone "na gorąco" zdjęcia mają niemal bezpośrednio pokazać fragmenty z życia S.B.S.K., a szkice przedstawić jej położenie w najważniejszych okresach działań bojowych.

"URYWKI Z PAMIĘTNIKA" Gen. Stanisława Kopańskiego dotyczą najważniejszych wydarzeń z życia S.B.S.K., w których on jako jej dowódca podaje od siebie ich naświetlenie przez pryzmat swojej roli. Zwierza się z przeżyć, związanych z decyzjami i odpowiedzialnością za dowodzenie oraz z wielką prostotą opisuje własny udział w działaniach S.B.S.K.

Ponieważ "URYWKI" dotyczą najważniejszych wydarzeń na przestrzeni całego życia Brygady — czytelnik otrzymuje tą drogą niejako dyspozycję całości, a jednocześnie dowiaduje się, co myślał i jakie pobierał decyzje jej dowódca w tych istotnych — dla Brygady — chwilach.

Część Historyczna i Dokumentarna

Wprowadzeni poprzednio podaną "dyspozycją" łatwo orientujemy się w opisanych wydarzeniach. Trzonem tej części jest "Zarys dziejów S.B.S.K.". Wyszedł on spod pióra Jana Bielatowicza, autora S.B.S.K. "Brygada Karpacka" (Instytut Literacki, Rzym 1947). Bielatowicz jest znany jako zagorzały Karpatczyk-żołnierz i Karpatczyk-pisarz, nic też dziwnego, że w "Zarysie" znajdujemy znakomity skrót dziejów Brygady. Mammy więc mocno uwypuklone etapy jej życia i działania od koncepcji utworzenia jej, powziętej w Paryżu 2. IV. 1940 poprzez organizację Brygady w Syrii i przejście jej z Syrii do Palestyny, gdzie po katastrofie Francji Brygada kontynuuje swoją organizację — w oparciu o siły brytyjskie.

Następnie znajdujemy opis jej udziału w obronie Egiptu i zetknięcie się z Pustynią Zachodnią. W ten sposób dochodzimy do etapów kluczowych, którymi są: obrona Tobruku i bitwa pod Gazalą. Po nich następują opisy udziału 1. Karpackiego Pułku Artylerii w boju o Bardię i przejścia S.B.S.K. do Cyrenajki, na okupację, a dalej jeszcze opis osłony odwrotu w Mechili oraz etapu końcowego: obrony Gazali.

"Zarys dziejów S.B.S.K." został zaopatrzony dokumentacją źródłową (odsyłacze i bibliografia).

"Zarys dziejów S.B.S.K." poprzedzony jest artykułem: "Źródła i opracowania dziejów S.B.S.K.". Autorem jego jest doc. dr Leon Koczy. Czytelnik znajdzie w tym artykule bardzo starannie zestawione źródła, a więc: rozkazy, raporty bojowe i kroniki, następnie omówienie różnych opracowań z dziejów Brygady.

Po "Zarysie" umieszczono szereg artykułów. A więc doskonały szkic: "Oblicze Brygady Karpackiej" pióra doc. dr Kazimierza Grzybowskiego; starannie zestawione sprawozdanie: "Kultura, oświata i sport w Brygadzie Karpackiej"; autorem

jest mjr. dr Mieczysław Młotek. A dalej znajdujemy trzy artykuły: "Działania Pułku Ułanów Karpackich w Pustyni Zachodniej i Libii" — rtm. Michała Paciorka, "Historia Karpackiego Dyonu Pancernego" — Witolda Ptasznika i "Urywki z kroniki Służby Transportowej" — Zygmunta Kotkowskiego.

Stanowią one cenne rozwinięcie opisu działań tych oddziałów.

Część literacka i opisowa

"CZĘŚĆ LITERACKĄ I OPISOWĄ" otwierają wyjątki ze wspomnień Ks. Józefa Jońca, zatytułowane "W obliczu Boga". Czytając je, widzi się, jak kościołek w Mersa Matruh, "grota w skałe gdzieś w Tobruku" i tamże podziemne sale szpitalne zapełniają się gromadami żołnierzy i zdaje się, że znów słychać "głuche odgłosy dział i bomb"...

Następny artykuł: "Towarzysze bojowi Brygady Karpackiej" Mieczysława Pruszyńskiego, jest może jedynym z najlepszych, jakie zostały zamieszczone w tej części książki. Opisy i charakterystyka żołnierzy Imperium są tak trafne i tak barwnie, inteligentnie i dowcipnie przedstawione, iż widzi się tych Brytyjczyków, Australijczyków, Nowo-Zelandczyków, Południowo-Afrykańczyków, Hindusów — jak żywych. Opowiadanie Pruszyńskiego znakomicie obrazuje warunki współpracy bojowej z przedstawicielami tych narodów. Nie pomija on też Wolnych Francuzów, z którymi również zetknęła się S.B.S.K. w Pustyni. Uzupełnia to opowiadanie opisem Arabów, z którymi zetknęliśmy się na tyłach alianckich jako z ludnością miejscową, która udziału w walce nie brała.

Z artykułu Jana Zanozińskiego dowiadujemy się o gorliwej służbie "Charbińczyków" w szeregach Brygady, zaś z artykułu Jana Erdmana "Pers z Brygady Karpackiej" o bohaterskiej śmierci Polaka, którego serce było polskie, choć nie dane mu było znać języka ojczystego.

Janusz Jasieńczyk w opowiadaniu "Woda" przedstawia ten problem, jakim jest woda w Pustyni.

Śp. Adolf Bocheński*) w artykule zatytułowanym "Patrol jubileuszowy" podaje opis przebiegu jednego ze swoich licznych patrolów, w którym zasiągnął — w Tobruku — żołnierską sławą.

EMES w opowiadaniu "Wyprawa po jeńca" daje barwny opis trudności, z jakimi borykali się Karpaciecy w tego rodzaju wyprawach. Wydaje się rzeczą słuszną, że opisowi tych ciężkich zadań patrolowania przedpola oblężonej twierdzy poświęcono bezpośrednio te dwa artykuły, a pośrednio również i artykuł Erdmana wspomniany poprzednio.

Wacław Sikorski w reportażu "Płyniemy do Tobruku" da-

je żywy opis bombardowania transportu morskiego, którym płynęła Legia Oficerska do Tobruku.

Na tym reportażu zamyka się opowiadania związane z Tobrukiem. Następne dwa artykuły: "Virtuti Militari" — Henryka Torbusa i "Pod Gazalą" — Jana Nieważnego dotyczą bitwy gazalskiej. Nastrojom pobitewnym jeszcze będzie poświęcony oddzielny artykuł. Oba autorzy przeżyli bitwę jako dowódcy plutonów strzeleckich. Wydaje mi się, że było bardzo celowe, że oddano właśnie głos dowódcom tego szczebla dowodzenia, który w boju jest najbliższy walczącego żołnierza i wystawiony jest na największe niebezpieczeństwo, wynikające z bezpośredniego udziału w walce. Straty krwawe na tym szczeblu dowodzenia są zawsze największe. Oba artykuły techną bezpośredniością wrażeń z pola walki i świadczą o wysokim morale karpackiego żołnierza.

"Gazalska wigilia" — Wiktora Wiśniewskiego jest poświęcona nastrojom pobitewnym, które przeciągnęły się do świąt Bożego Narodzenia 1941 r. Opis tego wigilijnego wieczoru jest głęboko wzruszający mimo, że autor jako twardy Karpaczyc starał się przedstawić te momenty uczuciowe z beztróskim, żołnierskim podejściem. Może dlatego wypadły one tak przekonywująco, a stosunek do jego dowódcy nieodżałowanej pamięci ppłk. dypl. Emila Sikorskiego tak bardzo serdeczny.

Na tym kończy się okres gazalski (pierwszy) i krótkim, barwnym opisem marszu motorowego zatytułowanym: "Było to w Cyrenajce", autor Jerzy Lenczowski, skierowuje nas ku Giovanni Berta. Od opisu pobytu w Cyrenajce zaczyna się już okres następny, któremu na imię "Mechili". Autorem tego reportażu jest zasłużony — dla uwiecznienia piórem "legendy karpackiej" Władysław Choma. Było też wydarzeniem szczęśliwym, że to jego pióro przypadło w udziale opisanie tego fragmentu. Mechili bowiem jest okresem niedocenionym w "kariere" bojowej S.B.S.K. Nie można jednak nikogo winić, już tak jest na wojnie, że liczy się tylko do chwały tylko wtedy okres wy-czekiwania na bój i te wszystkie przeżycia z tym okresem związane, a więc przede wszystkim najgroźniejsze z nich uczucie strachu — kiedy okres wyczekiwania zakończony zostanie bojem. I mimo, że zaczynający się bój, po takim okresie, przynosi raczej odprężenie, gdyż sama walka wymaga często mniejszego napięcia nerwów niż jej oczekiwanie, to przecież tylko bój przechodzi do historii. Obrona Mechili została zakończona bez boju, gdyż Rommel nie uderzył na francusko-polski węzeł oporu. W ten sposób Mechili nie zostało zaliczone w poczet takich nazw jak Tobruk, Gazala, Bardia, chociaż było dużym wyczynem w warunkach ówczesnego odwrotu i wymagało od obrońców wiele hartu ducha, jak to zawsze miało miejsce w przeszłości, a szczególnie wtedy, gdy spodziewano się ataku tego typu przeciwnika jakim był Rommel. Jest też zasługą Władysława Chomy, że umiał oddać nastrój tamtych dni.

*) Poległ we Włoszech, w bitwie pod Anconą, 1944 r.

Opisywana część książki została zamknięta krótkim, ale jakże treściwym i wymownym artykułem: "Tradycja", pióra płk. dypl. Jerzego Zaremby. Tradycja Brygady Karpackiej została przedstawiona przez niego w swej — naprawdę nieskażonej formie.

Włączony do części literackiej zbiór pod tytułem: "Poezja i Pieśni" zawiera utwory Bogumiła Andrzejewskiego, M. Hemara, St. Młodożeńca, A. Jamana, B. Kobrzyńskiego i T. Sowickiego. W zakończeniu podano teksty popularnych piosenek żołnierskich związanych z Brygadą.

Album Zdjęć i Szkic.

Zdjęcia zostały dobrane bardzo starannie i wydane na ładnym papierze. Dużo z nich jest bardzo dobrych i oddających egzotyczne warunki, w jakich bytowała i walczyła Brygada. Są jednak zdjęcia jak np.: "Odwrót z Mechili" (strona XLI), które nie są w stanie — mimo, że są doskonale technicznie wykonane — oddać istotnego obrazu. Wtedy lepiej odwołać się do tekstów.

Niektóre szkice musiały być pomniejszone zbytnio. Odbiło się to ujemnie na ich wyrazistości. Niezbędne szczegóły łatwo można odczytać przez powiększające szkło.

Książka, jako całość, wydana została starannie. Nieliczne usterki zostaną jeszcze sprostowane w "Errata", które zostaną dołączone do spisu imiennego żołnierzy S.B.S.K., mającego się ukazać niebawem.

Nie wątpię, że książka spełni swój cel, postawiony w "Słowie wstępnym". Jestem pewny, że Karpatczycy będą czytać ją ze wzruszeniem, a myślę że i "postronny" czytelnik przeczyta ją z zainteresowaniem.

Henryk PIĄTKOWSKI, płk. dypl.

♦

Autor recenzji, płk. dypl. Henryk Piątkowski, znany i ceniony historyk wojskowy, autor prac o "Kampanii wrześniowej", "Monte Cassino" i "Bitwie o Ankę", jest również współautorem książki Karpackiej Brygady. Jedną z jego prac jest relacja o taktycznym rozwiązaniu obrony Gazali, w koncepcji której brał udział jako szef sztabu SBSK, druga praca jest barwnym literackim opowiadaniem o "Wozie dowodzenia" pod Gazalą. Jest to bardzo trafny obrazek z życia Brygady i szkic kilku charakterystycznych sylwetek jej żołnierzy. (Przypisek REDAKCJI).

♦

Omówioną wyżej książkę można nabywać w Związku B. Żołnierzy S.B.S.K., 100, Netherwood Rd., London W.14. Cena książki w W. Brytanii 30 sh., zaś na terenie U.S.A. i Kanady \$ 7 (wraz z przesyłką).

Podsumowanie «Obrachunku Włodarzy»

Wyznaję, że gdyby "Obrachunek Włodarzy" E. Różyckiego nie został nagrodzony zeszłoroczną nagrodą "Veritasu" nie byłbym doczytał tej "opowieści o wrześniu" do końca. Chęć zrozumienia motywów nagrody, wzbudzającej tyle sprzeciwów, była tą podniętą, która przeciągnęła mnie przez nieudolny początek książki — czego zresztą nie żałuję. Poznałem złą powieść, lecz za to dobry pamiętnik.

"Obrachunek Włodarzy" jest najwyraźniej diariuszem pewnego odcinka wrześniowej kampanii, przystrojonym literacko. Wiem że Różycki napisał rzeczywiście z okresu tego pamiętnik i to bardzo dobry, jak mówią ci co go czytali. Później dopiero przekształcił pierwotną pracę w "opowieść". Niestety, wszystko, co zostało do wątku pamiętnika dodane: kazania patriotyczne, opisy przyrody, próby fikcji powieściowej czy tworzenia charakterów — wszystko jest chybione, naiwne i pretensjonalne, poczynając od tytułu, który niepomrotnie przeraża zakres i wagę utworu.

Opowieść Różyckiego jest przejawem i produktem bardzo powszechnego dziś nieporozumienia, że powieść a reportaż (czy pamiętnik), to właściwie jedna kategoria literacka, że nie ma między nimi istotnej różnicy — z czego już łatwy wniosek, że za pomocą paru powierzchownych zmian można przekształcić jeden rodzaj w drugi. Tymczasem różnica jest całkiem zasadnicza. Powieść powinna być dziełem s z t u k i — tzn. wymaga przetworzenia treści życiowej w duszy artysty — gdy reportaż składa się z surowego materiału życia, ociosanego tylko od zewnątrz. Powieść rozrasta się z własnego jądra, które choć się załęgło z przeżyć życiowych pisarza, żywi swą treścią już wolną roślinę; reportaż jest powtórką zdarzeń. Słowem: powieść to akt twórczy, który wymaga twórczych zdolności, a do reportażu wystarczy umiejętność opowiadania faktów. Opowieść Różyckiego jest bardzo pouczającym przykładem różnicy pomiędzy uzdolnieniami do obu tych rodzajów literackich.

Zazwyczaj poprzedzam recenzję skrótem treści, by ułatwić czytelnikowi orientowanie się w późniejszych uwagach krytycznych. Tu wystarczy kilka zdań. "Obrachunek Włodarzy" jest po prostu kroniką pewnego etapu kampanii wrześniowej na odcinku Bircza—Brzuchowice, kroniką poprzedzoną nastrojowym prologiem na temat brzuchowickiego lasu, a zakończoną mentorskim kazaniem gospodarza — obieżyświata, w którym autor, jak w worku, pomieścił wszystkie swoje poglądy i pouczenia dla rodaków.

Utwór ma zatem, prócz historycznego, również swoje oblicze polityczne, a przede wszystkim moralne. Ukazuje ile winy bezgłowi, nieobowiązkowości i słabości charakteru było z naszej strony w klęsce wrześniowej — ukazuje, ażeby się te rzeczy nie powtarzały. Może z tego powodu dobrze że książka została wydana.

Tutaj zajmuję się jednak wyłącznie oceną jej strony artystycznej. W diariuszu wojennym Różyckiego, prowadzonym z dnia na dzień i przeładowanym strategią, uderza przede wszystkim brak wypukłości — właściwy kronikom. Klęski i zwycięstwa, odwroty i ataki — następują po sobie prawie bez różnicy napięcia i nastroju, jak wiadomości na łamach pism codziennych. Żadnego pierwszego planu, wyboru ni syntezy. Myśl utworu rozstrzępia się wśród natłoku faktów. Przeżycia ludzkie nikną pod usypiskiem strategicznych szczegółów. W końcu nic się z tego nie pamięta, wszystko się miesza z sobą i zacierza. Surowe życie rzadko bowiem wyłania z siebie samorzutnie myśl i wątek główny. Uchwycić je i wyrazić jest właśnie zadaniem sztuki.

Poza brakiem wypukłości cechuje utwór Różyckiego statyczność nastroju i psychicznej postawy. Od początku do końca powtarzają się te same uczucia i myśli, bez jakiegokolwiek zmiany napięcia i dopływu świeżej treści — pewnie tak jak się od lat ustaliły w pamięci autora. Nie ma w tej opowieści żadnego narastania przeżyć, żadnego ich przełomu — nie ma dramatu. Najwidoczniej sprawa wrześniowa nie ożyła dla Różyckiego w chwili tworzenia, nie poczęła drgać w nim na nowo — jak bywa w duszy każdego prawdziwego artysty. Pozostała odlewem przeszłości, złożonym z zapisków i ustalonej z latami sztancy. Ten brak kinetyki, narastania i falowania uczuć i myśli, właściwego żywym utworom sztuki, dyskwalifikuje poważnie Różyckiego jako artystę.

Przez opowieść przesuwają się cały tłum postaci, jak w czasie przemarszu oddziałów wojskowych, ale żadna z nich nie jest wyraźniej zarysowana, wyodrębniona jako typ, poza najogólniejszym podziałem na tchórzów i odważnych. W tym szkicowym i prymitywnym podejściu do ludzkich charakterów wyraża się raz jeszcze punkt widzenia raczej wojskowy niż psychologiczny i artystyczny.

Natomiast jeśli idzie o majora Kisiele, głównego bohatera powieści, Różycki popełnił inny błąd. Kisiel zawsze wie wszystko najlepiej i czuje najszlachetniej. Nie mówiąc już o tym, że skończyła się w powieściopisarstwie moda na pomniki doskonałości, Różycki nie zorientował się w pewnej dość subtelnej, lecz nie uniknionej przesłance. Jeżeli przez jego opowieść, mimo nie bardzo fortunnych obsłonek literackich, przeziiera osobisty pamiętnik — to nie można było bohatera powieści, który mimowoli musi nam się wydać uosobieniem samego pamiętnikarza — obdarzyć wszystkimi zaletami idealnych bo-

haterów, bo wygląda to chcąc nie chcąc na niesmaczne samochwalstwo.

Różycki traktuje czytelników jak major Kisiel swych towarzyszy kampanii. Wie wszystko i wyklada to czytelnikom z nieznużoną wytrwałością. "Łopatyzm", cecha niedojrzałych pisarzy, króluje w "Obrachunku". Nie ulega wątpliwości, że głębsza myśl, sens wewnętrzny stawiają zawsze wysoko dzieła sztuki — jeśli są naprawdę wewnętrzne, jeśli wyłaniają się z gry życia; kładą natomiast utwór, jeżeli są wyłożone zbyt grubo przez samego autora. Myślą "Obrachunku" było, jak już wspominałem, przeprowadzenie dowodu prawdy o klęsce wrześniowej: że zadał ją nam nie tylko wróg, ale bezgłowie, niekompetencja i wewnętrzna małość wojskowych i cywilnych "włodarzy" Kraju. Myśl ta pobrzmiewa we wszystkich zdarzeniach opowieści; niestety autor obdarza nas jeszcze pod koniec obszerną lekcją politycznej mądrości włożoną w usta gospodarza i kazaniem moralnym zbolętej matki — góralki. Co więcej, zrobienie obrachunku polskiego włodarstwa mu nie wystarcza; ustami tych samych prostych przedstawicieli rozrachowuje się także z całym Zachodem i Wschodem. Rzecz jasna, że jeśli by te same zagadnienia — zdrowe i sensowne w sobie — stały się wewnętrzną treścią i sprężyną jakiegoś dramatu mogłyby zrodzić dobrą powieść. Tak zaś, podane sumarycznie i niejako pałąk w łeb w zakończeniu powieści — tchną banałem i tracą całą siłę sugestywną. Wolno mi to mówić choćby dla tego, że sam popełniłem podobny błąd — co prawda świadomie — w zakończeniu swojej opowieści o Nałęczkach.

Mam wrażenie, że Różycki pozbawiony jest wyobraźni. Wszystko co musi wymyśleć, czego nie widział, co nie było nagą i dotkniętą osobiście skórą życia — nie udaje mu się, jest naiwne, toporne lub pretensjonalne. Ludzie jego opowieści np. rozmawiają dobrze, naturalnie, żywo; nie daj Boże, nie dostrzegają się ich już gołym okiem. Dar zaglądania w dusze ludzkie i oddania słowem wewnętrznych przeżyć rzadko należy już do talentu reportażysty.

Nawet język "Obrachunku Włodarzy" nie dojrzał do swych zadań, jest zbyt potoczny, nieliteracki. Różycki np. nadużywa "jak" tam gdzie powinien pisać "gdy". W rozmowach postaci powieściowych może to nie razić; w tekście autorskim jest mało właściwe.

Widzimy z tego przeglądu, że Różycki nie wykazał w swym utworze ani jednej z cech twórczych, jakie rodzą prawdziwego powieściopisarza. Nie potrafi on usamodzielnicić swej wyobraźni, oderwać się od rzeczywistego biegu życia; nie odrzuca zbędnych szczegółów celem wydobywania głównego wątku; nie umie wyrazić sensu opisywanych zdarzeń akcją, językiem przeżyć ludzkich, lecz podaje go w gotowych formułkach, martwych artystycznie; brak mu intuicyjnego wglądu do wnętrza dusz

ludzkich i daru kształtowania wyrazistych, żywych charakterów; słowem nie jest twórcą, w którego wnętrzu musi drgać i kształtować się nowe życie.

Ale tu stajemy przed paradoksem: opowieść Różyckiego została nagrodzona na konkursie "Veritasu". Staram się znaleźć motywy, które mogły skłonić sędziów jury do takiej decyzji. Jak już wskazywałem w powieści znajduje się zdrowe jądro: to co w niej pozostało z wojennego pamiętnika. I jest tego nawet znacznie więcej niż powieściowych dodatków. Otóż jeśli by owe dodatki pominąć, jeśli wykroić z "Obrachunku Włodarzy" patetyczny wstęp i mentorskie zakończenie oraz jedyną i nieudaną próbę powieściowej inrygi w scenie z por. Olbromskim — otrzymamy jeden z najlepszych pamiętników wojennych jakie znam: ciekawy, żywy i doskonale zdialogowany.

Co więcej, w pamiętniku tym tętni taka szczerza rozpacz odwrotu, tyle przebija zeń patriotycznego bólu i wstydu, że porzywa on nie tylko wiernymi obrazami akcji bojowej, ale i autentycznym napięciem uczuciowym. Jaka szkoda, że autor nie miał talentu twórczego. Nurt uczuciowy bywa przecież najważniejszym żywicielem dzieł sztuki.

Powyższe elementy "Obrachunku Włodarzy" przemawiałyby na korzyść wyroku jury. Zresztą o tym, że jest to przede wszystkim "dziennik oficera" wspominał w swym przemówieniu sam prof. Stroński, przewodniczący jury. Ale trzeba było nazwać rzecz jako pamiętnik, zdyskwalifikować zaś jako powieść. Należało to wyraźnie powiedzieć. Jury tego nie uczyniło i to właśnie stało się źródłem licznych zarzutów i prewencji.

Ponadto takim sprecyzowaniem wyroku uczyniło by się przysłużyć autorowi. Rzeczą najwyższej wagi dla każdego pisarza jest zdanie sobie sprawy z rodzaju i granic własnego talentu. Jeśli na podstawie jednego utworu wolno sądzić, droga Różyckiego w literaturze prowadzi przez pamiętnikarstwo lub reportaż a nie przez powieść — i tę drogę powinien on wybrać. Nie byłby to bynajmniej wybór pomniejszający. Ksenofont czy Saint-Simon byli także pamiętnikarzami.

Wit TARNAWSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

LITERATURA

- KMIETOWICZ (F.). *Czarownica*. Str. 195. (Nakł. Opola Literackiego "Południca". W. Brytania, 1951).
- PANKOWSKI (Marian). *Podpłomyki*. Str. 66. (Poezje, Nakł. autora, Bruksela 1951).
- BRZEKOWSKI (Jan). *Odyseje*. (Poezje, Paryż, 1948).
- JASIEŃCZYK (Janusz). *Walter*. 7.65. Str. 230. (Wyd. "GRYF" Publications, Ltd., Londyn, 1951. Cena 7 sh. 6 d.).
- DOBRACZYŃSKI (Jan). *Klucz mądrości*. Str. 392. (Wyd. Pax. Warszawa, 1951).
- ZUKROWSKI (Wojciech). *Madre ziola*. Str. 274. (Nakł. Państwowego Instytutu Wydawniczego 1951).
- MALLET (F.). *Le rempart des béguines*. Pp. 190. (Ed. Julliard, Paris 1951).

HISTORIA

- Niepodległość*, Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. T. III. (po wznowieniu) Str. 166. (Wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, Oddział w Londynie, 1951).
- Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej*, w opracowaniu Komisji Historycznej Polskiego Sztabu Głównego w Londynie. T. I. — *Kampanie wrześniowej*. Cz. I-sza: Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną. Str. 494. Str. 1 - 6 (wykaz znaków konwencjonalnych), 24 tabel (I - XXIV). (Wyd. Instytut Historyczny im. Gen. Sikorskiego, Londyn, 1951).
- MACKIEWICZ (J.). *The Katyn wood murders*. Str. 252 z ilu-

stracjami. (Wyd. Hollis and Carter, Ltd., Londyn, 1951. Cena 15 sh.).

- CHARLES-ROUX (F.). *Thiers et Méhémet-Ali*. Pp. 334. (Ed. Plon, Paris, 1951. 495 frs.).
- VIGNES (H.). *Blitz*. Pp. 219. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1951).
- SERGE (V.). *Mémoires d'un révolutionnaire (de 1901 à 1941)*. Pp. 417. (Ed. du Seuil, Paris, 1951).

DOKUMENTY CHWILI

- MAKOWSKI (B. mgr.). *Polska emigracja w Kanadzie*. Str. 80. (Nakł. Związku Polaków w Australii, Linz-Salzburg, 1951).
- OURALOV (A.). *Stalin au pouvoir*. Pp. 313. (Ed. Les Iles d'Or, Diffusion Plon, Paris, 1951).
- LAURAT (L.). *Du Komintern au Kominform*. Pp. 100. (Ed. Les Iles d'Or, Diffusion Plon, Paris, 1951).
- LAURAT (L.). *Stalin la linguistique et l'impérialisme russe*. Pp. 91. (Ed. Les Iles d'Or, Diffusion Plon, Paris, 1951).
- GUERIN (D.). *Où va le peuple américain? Vol. II: La révolte agraire, La révolte nègre*. Pp. 350. (Ed. Julliard, Paris 1951).
- PREMONVILLE de (J.-M.). *DAUDY (P.). BROMBERGER (S.), TURENNE de (H.). Retour de Corée*. Pp. 274. (Ed. Julliard, Paris, 1951).
- TRILLING (L.). *Le responsable*. Pp. 328. (Ed. Plon, Paris 1951, 390 frs.).

NAUKA

- GILBERT-DREYFUS et DEBRISE (G.). *Hormones et sexualité*. Pp. 245. (Ed. Julliard, Paris, 1951).

Listy do Redakcji

18 lipca 1951.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze,

W związku z doskonałym opracowaniem Michała Sokolnickiego, zamieszczonym w Nr 5/43 "Kultury" pt. "O wielkich błędach ostatniej wojny" pozwalam sobie dorzucić następujące uwagi:

Na str. 80-iej jest mowa, że Stany Zjednoczone sprzeciwiały się przez cały rok 1942 regulowaniu spraw terytorialnych przed zakończeniem wojny, że nic nie wskazuje na to, aby do pierwszych miesięcy 1943 nastąpiły w tym stanie rzeczy jakiegokolwiek zmiany, że więc dopiero między wiosną a jesienią tegoż roku nastąpił zasadniczy przełom.

Otóż wydaje mi się, że ten przełom nastąpić musiał wcześniej, o czym świadczy m. in. ogłoszony niedawno dokument przez dyplomację hiszpańską, M. Doussinague); jest nim list oficjalny Roosevelta z dnia 20 stycznia 1943, skierowany do agenta komitetu Izraela, Zabruskiego. Zabruski występował wówczas jako pośrednik między Rooseveltem, a "wspólnym przyjacielem Stalinem". Otóż w liście tym poleca Roosevelt upewnić Stalina, że Rosja otrzyma po wojnie pełną satysfakcję w ramach projektowanej Tetrarchii Świata. Owa nieprawdopodobna "wizja przyszłości" Roosevelta pozostawia już wówczas wolną rękę Rosji w Europie i w Azji, zastrzegając prawa dla Stanów Zjednoczonych w obu Amerykach i w Afryce; Europa Zachodnia (łącznie z Francją) miała być terenem wpływów angielskich.

List Roosevelta zawiera obietnicę dostępu do morza Śródziemnego dla Rosji oraz obietnicę wywarcia nacisku na Polskę, aby przyjęła w stosunku do ZSSR postawę "rozsądną, wyrozumiałą i zgodną". W dalszym ciągu tegoż listu wyraża Roosevelt zgodę na całkowity powrót do ZSSR wszystkich terytoriów, które zostały "czasowo oderwane od Wielkiej Rosji".

W świetle powyższego listu sprawa byłaby przegrana na rok prawie przed Konferencją w Teheranie.

Łączę wyrazy należnego poważania i uścisk dłoni

Witold BABIŃSKI.

St. Clet. P.Q. C.P. 35
Kanada

*) Espana tenia razon. Espasa Colpe. Madrid 1950.

Brugg, 4 sierpnia 1951.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero obecnie mam możliwość systematycznego czytania Pańskiego interesującego miesięcznika. Toteż, proszę mi wybaczyć te spóźnione uwagi na temat Wspomnienia o "Bazyliu" (Nr 5/43 "KULTURY") — niemniej są one konieczne, gdyż p. Lerski błędnie ocenia wyniki swej misji w łonie Polskich Socjalistów.

W szczególności niezgodne z prawdą jest zdanie autora, "że poza zdecydowanie prosowiecką grupą Osóbki-Morawskiego, cały wartościowy element powrócił do WRN".

Autor "wspomnienia" przechodzi do porządku dziennego nad istotną przyczyną powstania grupy Osóbki-Morawskiego, która wyłoniła się w pół roku po bytności p. Lerskiego w kraju i z jego interwencją w PS nie miała nic wspólnego.

Panu Lerskiemu udało się oderwać od PS kilku zaledwie działaczy młodzieżowych, z Leszkiem Raabe na czele. PS przemianowana następnie na RPPS (Robotnicza Partia Polskich Socjalistów) istniała i rozwijała się nadal i że nie była zdecydowanie prosowiecka, o tym świadczy historia rozłamu Osóbki-Morawskiego na jesieni 1943 r.

Większość Centralnego Komitetu RPPS nie przyjęła wówczas propozycji PPR utworzenia Krajowej Rady Narodowej. Tylko Osóbka i trzej inni zgodzili się na warunki komunistów i opuścili szeregi partii, przywiązując sobie bezprawnie jej nazwę. Wtedy RPPS, w obliczu nadciągających wojsk sowieckich, zmuszona była do przemianowania się na PPS-Lewicę i jako taka, ujrzała światło dzienne w czasie Powstania Warszawskiego. Zachowała ona do końca samodzielne stanowisko, miała niezależną od komunistów Polską Armię Ludową (PAL) i jako zdecydowanie socjalistyczna grupa wytrwale broniła istnienia PPS po wojnie w kraju.

Jej wpływom należy przypisać likwidację Matuszewskiego i jego wtyczek w PPS w 1946 roku i poza dwoma kapitulantami (Salcewicz i Walter) — ex-przywódcy PPS-Lewicy byli najbardziej odporni na naciski PPR-u.

O wiele więcej członków WRN oddało się na usługi PPR-u i to na długo przed proklamacją "wspólnej" partii. Dla przykładu wymienię spośród najbliższego mi świata dziennikarskiego pp. Mitznera i Pragę, przedwojennych pupilków Zaremby i Kwapińskiego. Obydwaj już w 1946 r. stali się narzędziem komunistów. Praga nie wahał się nawet obrzucić błotem sądownego przez wysłanników Kremla Pużaka w specjalnym artykule na łamach "Expressu Wieczornego". Proces ten odbył się zresztą w rok później niż podaje p. Lerski, a mianowicie w grudniu 1948.

Również sugestia autora "Wspomnienia o Bazyliu", że Leszek Raabe zginął z rąk komunistycznych, aczkolwiek logiczna, nie może być udowodniona. Z Raabem łączyła mnie 10-letnia, nieprzerwana przyjaźń osobista i ostatnie miesiące swego życia spędził On głównie u mnie, mieszkając przy ul. Siennej 30 w Warszawie.

Po zniknięciu Raabego na ślad oprawców speliły na niczym. Ostatnia — widziała Go jego łączniczka Krystyna o 5-iej ppol.

Nieznane mi są motywy, dlaczego p. Lerski zalicza siebie do działaczy lewicowych. Czyżby z tego względu, że był kiedyś sekretarzem Tomasza Arciszewskiego? To raczej tłumaczy szereg niesocjalistycznych pociągnięć londyńskich epigonów WRN-u i uznanie NID-u za partię polityczną w ramach konkurencyjnej Rady. I zarazem, wyjaśnia sprężynę zerwania przez CKZPPS Porozumienia Stronnictw Demokratycznych — jedynego właściwego dla ugrupowań lewicy i centrum ośrodka działalności niepodległościowej.

Zechce Pan Redaktor przyjąć wyrazy należnego poważania

Leszek POGONOWSKI.

Szanowny Panie Redaktorze!

1) Stwierdziłem ("Wiadomości" nr 229), że użyte w układzie polsko-sowieckim z 30. VII. 1941 określenie amnestii nigdy nie mogło być wysunięte przez ZSSR przeciw stanowisku polskiemu jako rzekomemu świadczące jakoby zwalniani z więzień i obozów zesłańcy z ziem wschodnich Rzplitej nie byli uważani za obywateli polskich z czym miało być związane uważanie tych ziem za należące już do ZSSR. Samo bowiem brzmienie tego zdania w układzie stwierdzało wyraźnie, że byli uważani za obywateli polskich ("udziela amnestii wszystkim obywatelom polskim") właśnie polskich. A więc Rząd ZSSR nigdy nie mógł się powołać i nigdy nie powołał się na to wyrażenie.

2) P. Wł. Pobóg-Malinowski ("Kultura" nr 42) zaprzeczył memu twierdzeniu i przytoczył ustęp wzięty, jak twierdził, z noty sowieckiej z 16. I. 1943 powołujący się na wyrażenie *amnestia* jako świadczące przeciw obywatelstwu polskiemu.

3) Odpowiedziałem ("Kultura" nr 44), że istnieje rzeczywiście nota sowiecka z 16. I. 1943, ale w niej nie ma ani słowa o *amnestii*, a nie jest znana żadna nota ani z 16. I. 1943 ani z jakiegokolwiek innej daty, która by zawierała to co p. Pobóg-Malinowski ogłosił jako notę sowiecką, i zażądałem, aby wskazał co to jest za nota.

4) P. Pobóg-Malinowski ("Kultura" nr 45/6) wskazał źródło: "Ogłosił ją ('zacytowaną w moim artykule notę sowiecką z 16. I. 1943') po raz pierwszy *Biuletyn Organizacyjny* K.N.A.P.P. w nr 5 z marca 1943 w dziale 'Fakty i dokumenty na str. 13'". Następnie przedrukowano to w innym jeszcze wydawnictwie Komitetu Narodowego Amerykanów Pochodzenia Polskiego.

Więc źródło byłoby wskazane. Można by nadal twierdzić, że taka nota, nieznaną zbiorom urzędowym polskim, nie istnieje, a więc że ogłoszono coś podrobionego. Ale źródło ogłoszenia byłoby wskazane.

5) Lecz p. Pobóg-Malinowski nie mówi prawdy. Oto bowiem *Biuletyn Organizacyjny* nr 5, str. 13 wcale nie twierdzi, że podaje *brzmienie* noty z 16. I. 1943, lecz pisze: "Nota ta miała w przybliżeniu treść następującą". Co innego *nota-dokument*, a co innego *plotka o nocy* jedna z wielu wówczas. Różnicy nie ma co objaśniać. Rozumie tę różnicę doskonale p. Pobóg-Malinowski, który ...zataja wyraźnie twierdzenie, że to tylko ... w przybliżeniu treść.

W rzeczywistości ta rzekoma treść noty z 16. I. 1943 nie ma w ogóle nic wspólnego z notą z 16. I. 1943, istniejącą, znaną, i bardzo ważną w przebiegu zatargu (powołującą się, jak zwykle, na rzekome nabycie obywatelstwa sowieckiego przez tzw. głosowanie ludności w listopadzie 1939, ale nie na *amnestię*) ani też z żadną inną notą. Jest to tylko dowód jak dowolnie i jak lekkomyślnie podrabiano wówczas w walce z rządem gen. Sikorskiego, ze słychu i z plotek rzekome treści not.

W owym niby streszczeniu w *Biul. Org.* (który nie tai, że to nie jest wcale odpis noty) jest nawet określenie "granicę według linii *Ribbentropa*" (w nocy sowieckiej!) co, jako zbyt już rażące zmyślenie, poprawiono na "granicę z r. 1940" w przedruku podanym przez p. Pobóg-Malinowskiego.

6) Na ten już bardzo a bardzo osobliwy sposób dziejopisarstwa o zdarzeniach współczesnych nie omieszkam, po łaskawym ogłoszeniu w "Kulturze" stwierdzeń niniejszych, zwrócić uwagi Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu oraz Towarzystwa Historycznego i Szkoły Nauk Politycznych w Londynie.

Proszę, by Pan Redaktor przyjął wyrazy prawdziwego szacunku.

Stanisław STRONSKI.

25 czerwca 1951.

Szanowny Panie Redaktorze,

Omawiając książkę ambasadora Charles-Roux w majowym numerze "Kultury", W. A. Zbyszewski powiada ze słów jego (str. 153), że warto by sprawdzić wiadomość, o której on sam nigdy nie słyszał, jakoby prywatne apartamenty papieskie w Castel Gandolfo były ozdobione freskami, ilustrującymi historię Polski. Gdyby za swego niedawnego pobytu w Rzymie p. Zbyszewski zapytał kogokolwiek o te freski, sprawdziłby tę wiadomość bez trudu.

Nie tyle prywatne apartamenty papieskie, ile prywatna kaplica letniej rezydencji papieskiej w Castel Gandolfo zawiera trzy freski Jana Henryka Rosena, syna batalisty, również Jana, znanego parą pokoleniem Polaków, autora Przeglądu Wojsk na Placu Saskim (spłonął w 1939 r. w tzw. Giszcu w Alejach Ujazdowskich). Freski przedstawiają ks. Kordeckiego na murach Częstochowy, ks. Skorupkę w bitwie radzyńskiej 1920 r., oraz w ostarzu głównym Matkę Boską Częstochowską; ponadto kaplica ozdobiona jest różnymi polskimi motywami dekoracyjnymi. Do dekoracji kaplicy doszło z inicjatywy Piusa XI, który w ten sposób pragnął mieć pamiątkę z Polski, gdzie był nuncjuszem w latach 1919-1921. Sam papież wybrał malarza Polaka, znanego już w Watykanie z jego fresków w katedrze ormiańskiej we Lwowie (1925-28) i w kaplicy Sobieskiego na Kahlenbergu w Wiedniu (1931). Tematy fresków były z góry zlecone przez Piusa XI, a sama kaplica zakończona w r. 1933.

W tej to kaplicy od osiemnastu już lat przez letnie miesiące papież odprawiają msze ranne przed obrazem M. B. Częstochowskiej. Rzecz wydaje się godna uwagi Polaków nie tylko pod względem estetycznym. Jednak mało kto z nich zwiedzał kaplicę, do której dostęp jest trudny. Natomiast fotografie fresków były reprodukowane w prasie światowej, np. w londyńskiej "Sphere" z 9 lutego 1935 r. Polska przyjęła jednak milczeniem fakt wyróżnienia Polaka, który nie należał do żadnej z ówczesnych szkół ani koterij malarskich i nie ubiegał się o zamówienia rządowe. Nawet to, że wypadek malarza nie-Włocha, pracującego dla papieża, nie miał precedensu od czasów Renesansu, nie przełamał tej obojętności.

Jan Henryk Roser mieszka od 1936 r. w Ameryce. Namalował on tam około stu wielkich obrazów, m. in. jedyny w ogóle fresk w National Cathedral w Waszyngtonie, szereg fresków w Grace Cathedral w San Francisco, w katedrze katolickiej w Toledo, Ohio i kilku innych kościołach. Fresk jego w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie, przedstawiający m. in. Piłsudskiego, został zamalowany wapnem w r. 1945 po przejęciu ambasady przez władze warszawskie.

Pozostaje z prawdziwym szacunkiem

Jan WSZELAKI.

Pan Juliusz Mieroszewski w swym ostatnim "Liście z Wyspy" ("Kultura", nr 6/44) odpowiada na mój artykuł zamieszczony w "Wiadomościach" nr 264/16. Niestety, p. Mieroszewski polemizuje tak chaotycznie, że dalsza dyskusja staje się niemożliwa. Po prostu musiałbym zacząć od przepisania mego artykułu z "Wiadomości". Co gorsza, p. Mieroszewski nie uznał za stosowne odpowiedzieć na zasadnicze tezy, a zatrzymał się tylko nad tym, co w jego oczach stanowi najsłabszą stronę mych wywodów. I tak np. nie żałował słów, by zironizować perspektywy, jakie moim zdaniem mogą nam grozić nawet w tym wypadku, gdyby Eisenhower założył swą kwatę główną na Kremlu. To spojrzenie w przyszłość nazwałem sam ironicznie "pro-roctwem" w cudzysłowach i zastrzegalem się bardzo, bardzo wyraźnie, że nie daję za nie ani głowy, ani palca. Ale p. Mieroszewski chciał mnie widocznie ośmieszyć. Tam gdzie ja używam formuły: "Należy liczyć się, że...", p. Mieroszewski zastępuje ją kategoriącznym zwrotem: "(P. Winczakiewicz) zapewnia nas...". Tam gdzie ja wysuwam skromniutkie: "może się zdarzyć, że...", p. Mieroszewski pisze o mnie: "Autor sądzi, że...". Oczywiście, te na pozór drobne przeinaczenia robią ze mnie jakiegoś Szyllera-Szkolnika. Metoda błyskotliwa, ale niezbyt rycerska. Zwłaszcza, że p. Mieroszewski wcale nie zadaje sobie trudu, by choć jednym słowem udowodnić, że te moje czarne perspektywy są nielogiczne, nierealne, czy nieprawdopodobne.

W takich warunkach dialog musi się urwać.

Na marginesie, nie wchodząc już w meritum dyskusji, chciałbym zaprotestować przeciwko używaniu określenia "neutraliści" w stosunku do przeciwników przedwczesnego wskrzeszenia armii polskiej na zachodzie. Już "Dziennik Polski" użył tego słowa, ale przynajmniej postawił je w cudzysłowie. P. Mieroszewski nazywa swych przeciwników neutralistami bez cudzysłowa. To słowo brzmi w uchu polskim bardzo ujemnie. Stosowanie go w niewłaściwy sposób może doprowadzić do przykrych nieporozumień. Pomimo cytów przytoczonych przez p. Mieroszewskiego, tak twarde i nieprzejednani pisarze jak pp. Z. Nowakowski i Mackiewicz neutralistami na pewno nie są. Przypinanie im takiej łaty to chwyt niesłuszny i niesprawiedliwy. Zdaje się, że i mnie zalicza p. Mieroszewski do neutralistów, przeto na obronę przytoczę choćby taki urywek z mego artykułu w "Wiadomościach":

"... przyszła rozgrywka toczyć się będzie w obronie cywilizacji zachodniej. Ta sprawa nie jest nam obojętna. Nie możemy zajmować wobec niej stanowiska neutralnego. Naszym postulatem polskim nie ośmielać się dawać pierwszeństwa moralnego przed nią..."

Mówienie o neutralizmie nadaje także całej dyskusji fałszywy charakter. Ze znanych mi wypowiedzi widzę, że spór toczy się nie między zwolennikami walki i neutralistami, lecz między zwolennikami dwóch odmiennych form walki. Czyżby w oczach p. Mieroszewskiego jedynie sienkiewiczowski Bartek zwycięzca zasługiwał na miano człowieka walczącego? Toż i bokser posługuje się w walce nie tylko ciosami, ale i unikami.

Jan WINCZAKIEWICZ

Kronika kulturalna

SZKOŁA NAUK POLITYCZNYCH I SPOŁECZNYCH

uznana z dniem 3 maja 1950 r. przez Rząd R.P. w Londynie za wyższą uczelnię w rozumieniu prawa polskiego, prowadzi:

a) wykłady i zajęcia wieczorowe w Londynie, Paryżu i w kilku swych sekcjach (Argentyna, Hiszpania, Stany Zjednoczone Ameryki i inne w organizacji);

b) Kurs korespondencyjny.

Po wykonaniu przepisanych prac i zdaniu w Londynie, w oddziałach lub w pewnych przypadkach, przed społeczną komisją nadzoru egzaminów pisemnych, studenci zwyczajni SNPS mogą uzyskać świadectwo lub dyplom SNPS.

Studenci nadzwyczajni i wolni słuchacze mogą studiować — bez obowiązku zdawania egzaminów — całość programu lub poszczególne przedmioty.

Program SNPS obejmuje następujące przedmioty zasadnicze (cztery semestry): 1) Historia Polski (zagadnienia wybrane); 2) Nowoczesna Historia Polityczna; 3) Współczesne Idee i Ruchy Polityczne i Społeczne; 4) Prawo Międzynarodowe; 5) Prawo Konstytucyjne; 6) Główne Zagadnienia Ekonomii; 7) Współczesne Problemy Społeczne; 8) Studium Polski Współczesnej; 9) Studium ZSSR; 10) Studium Niemiec Współczesnych; 11) Studium Krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Ponadto — przedmioty zalecane (np. problemy wojny współczesnej) oraz przedmioty specjalne (dwa semestry) z zakresu trzech kursów specjalnych (do wyboru): Służby Zagranicznej, Służby Społecznej, Dziennikarstwa.

Kierownicy przedmiotów zasadniczych i kursów specjalnych: mec. J. Bloch, red. A. Bogusławski, prof. T. Brzeski, dr M. Grażyński, prof. B. Hełczyński, dr T. Komarnicki, prof. W. Komarnicki, prof. H. Paszkiewicz, dr K. Poznański, dr J. Starzewski, prof. W. Sukiennicki, nadto wyklada szereg specjalistów oraz profesorów polskich i obcych (m. in. z University College London, z London School of Economics and Political Science oraz z kilku uniwersytetów Europy Środkowo-Wschodniej).

Zapisy otwarte na rok akad. 1951/52 w Londynie i w Paryżu.

Studia na Kursie Korespondencyjnym mogą być rozpoczęte w dowolnym czasie.

Informacje i zapisy: 32, Bolton Gardens, London S.W. 5.
20, rue Legendre, Paris (18).

NAGRODA PISARSKA S.P.K.

III Walny Zjazd SPK, obradujący w Londynie w sierpniu 1950 r. ustanowił doroczną nagrodę pisarską w wysokości £100 za pracę literacką, publicystyczną lub naukową drukowaną lub przedstawioną w rękopisie, reprezentującą kulturę polską wobec obcych.

Jury nagrody pisarskiej SPK w składzie: prof. Tadeusz Sulimski (Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie), Tymon Terlecki (Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie), Maria Danilewiczowa (Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii), Tadeusz Łada Bieńkowski (Związek Dziennikarzy R.P.) i Zofia Kasprzycka (Stowarzyszenie Polskich Kombatantów) pod przewodnictwem Tymona Terleckiego postanowiło przyznać nagrodę za rok bieżący *ex aequo*:

Marianowi Kukielowi za książkę o Adamie Czartoryskim («Książę Adam», Paryż 1950) i jej osobną, gotową w rękopisie wersję angielską.

Gustawowi Herling-Grudzińskiemu za książkę o Rosji, ogłoszoną na łamach tygodnika «Wiadomości» i znajdującą się w druku w przekładzie angielskim pt. «The World Apart».

PRASA ANGIELSKA O JÓZEFIE CZAPSKIM

W "The Observer" z dn. sierpnia br. ukazało się obszerne omówienie angielskiego wydania książki Józefa Czapskiego *) pióra Harolda Nicolsona.

Świetny krytyk angielski wyraża w swej recenzji najwyższe

*) The Inhuman Land. By Joseph Czapski. Translated by Gerard Hopkins, Chatto & Windus, London, 1951. Cena 15 sh.

uznanie dla Czapskiego, stwierdzając, że jego książka nie jest mimo wszystko lekturą przygnębiającą, albowiem opisuje "tryumf wiary i wolności osiągnięty w najstraszliwszych warunkach".

Ustęp końcowy omówienia zasługuje, by przytoczyć go w dosłownym przekładzie:

«Ci spośród nas, którzy w danym czasie nie dostrzegali możliwych konsekwencji układu w Jaltie — czytać będą tę książkę z wyrzutem i skruchą. Polska — niezłamana ofiara złamanej wiary (unbroken victim of broken faith) — jeszcze raz została poświęcona. Nie możemy uspokoić naszego sumienia odrzucając polską tragedię jako zbyt straszną by mogła być prawdziwa. Tego rodzaju postawa — jak mówi Edward Crankshaw w swej przedmowie — jest jeszcze bardziej podła niż brutalny cynizm samych Rosjan. Wszystko co możemy (w tej chwili) zrobić — to zachować nietknięte nasze poczucie winy i nie szukać od niego ucieczki w bezdusznym zapomnieniu.»

Poza wydaniem angielskim książka J. Czapskiego ukazała się poprzednio (1950 r.) — w jęz. polskim nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu — w jęz. francuskim nakładem Les Iles d'Or, Plon, Paris. W przygotowaniu wydania amerykańskie i niemieckie.

Der MONAT

MIEDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKY'EGO

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

Résumé des principaux articles parus dans ce numéro :

Discours de J. Czapski tenu au Titania-Palast à Berlin-Ouest, au cours d'une manifestation : « Amitié aux Peuples de l'Est Européen » organisée par le « Groupe de Combat contre l'inhumanité » (Kampfgruppe gegen die Unmenschlichkeit) parallèlement au festival communiste à Berlin-Est.

Ce discours est une mise au point des vues de « Kultura » concernant le problème de la fédération européenne.

Le fléchissement de la conscience de l'unité de l'Europe depuis la première guerre mondiale, en dépit d'une vague montante de phraséologie à ce sujet, la légèreté avec laquelle certains écrivains politiques occidentaux acceptent la ligne de l'Elbe comme frontière de l'Europe, ce qui signifierait l'acceptation de son partage, ainsi que l'écoulement des émigrés vers tous les continents — voilà, suivant l'orateur, les symptômes d'un péril de mort pour notre patrie commune.

Le spectre de la peur devant les Soviets et le manque de foi que l'Europe peut encore être un centre d'énergie créatrice semble être à la base de cette impuissance.

Une régénération européenne paraît possible, aux conditions suivantes :

1° Se libérer du sentiment de l'irréversibilité de l'avance stalinienne, de l'envoûtement cyniquement cultivé par des rites quasi-religieux, agencés par la propagande soviétique à travers les festivals et les congrès communistes mondiaux. L'Occident ne se rend pas compte combien cette « magie » est minée de l'intérieur et capable de s'évanouir comme un cauchemar — à une condition, de lui opposer une conception cohérente d'une fédération européenne mais d'une Europe entière, un plan d'avenir pas seulement pour les vieux pays occidentaux mais aussi pour les pays de l'Est européens, qui subissent aujourd'hui non la hantise mais la réalité soviétique.

2° Les litiges de frontières de plus en plus nombreux et sanglants vers l'Est, pour lesquels des millions sont prêts à mourir et à tuer ne peuvent trouver de solution définitive que dans le cadre d'une fédération tracée avec le sens d'équilibre entre les membres de cet organisme et non suivant les ambitions historiques des partenaires les plus forts.

3° Condamner à jamais les méthodes de déracinement de populations entières en vue de créer des états nationaux artificiellement homogènes, déracinements qui transforment une population différenciée et riche en traditions en une masse amorphe facilement adaptable à toutes les expériences totalitaires.

4° S'opposant à la ligne de l'Elbe comme frontière de l'Europe Czapski s'oppose aussi à la ligne Ribbentrop-Molotov comme frontière européenne. Il polémise avec certains politiciens (le bourgmestre de Berlin Reuter p. ex.) qui propagent un révisionnisme allemand appuyée par une alliance russo-allemande. Cette alliance préconise le désintéressement complet de l'Europe vis-à-vis des formes que les peuples de l'Union Soviétiques choisiraient pour s'unir entre eux dans l'avenir. Czapski souligne que la ligne Curzon, c.-à-d. la ligne Ribbentrop-Molotov — d'après Reuter, limite de l'Europe fédérée — est tout aussi inacceptable que la frontière de l'Elbe.

Il insiste sur le droit d'un choix libre pour rentrer dans la fédération européenne ou dans la fédération des peuples aujourd'hui soumis à l'U.R.S.S., pays comme l'Ukraine et autres, dont les liens avec l'Europe sont plus forts qu'on ne le croit en Occident.

J. MIEROSZEWSKI. — LA PSYCHOLOGIE DE LA CRISE

Le système politique du monde que nous connaissons subit une radicale transformation. Les puissances dites grandes disparaissent de la scène historique. Le budget de l'armement des Etats-Unis d'Amérique est dix-huit fois supérieur à celui de la Grande-Bretagne. Washington devient non seulement la capitale du monde libre mais aussi l'axe autour de laquelle se groupe le nouveau concert des Etats. Le système qui en résultera diffèrera absolument de tous les précédents.

Les politiciens de l'émigration, les Polonais entr'autres, semblent ne pas remarquer ces transformations. Occupés exclusivement de questions se rapportant aux problèmes intérieurs de l'émigration, les Polonais libres n'adaptent pas leur politique à la crise mondiale. Discutant de problèmes d'une époque révolue ils perdent tout contact avec la réalité. Les émigrations toujours en désaccord jouent un rôle infime dans les pays occidentaux et en Amérique.

Les Anglo-Saxons seraient pourtant forcés de compter avec un organisme politique qui serait une représentation nationale homogène, si à son tour elle arrivait à créer une représentation générale, ayant droit de prendre la parole au nom de tous les émigrés de derrière le rideau de fer.

L'auteur est que l'émigration polonaise, divisée aujourd'hui en trois camps, devrait nécessairement faire naître une représentation homogène. Le gouvernement polonais légal, gouvernement exilé, a des chances minimes d'être jamais reconnu par les puissances occidentales, vu la durée de son exil atteignant douze ans. Un gouvernement exilé et non reconnu comme gouvernement tombe dans un complet isolement, dont il faut sortir à tout prix. Si la reconnaissance ne peut pas être prise en considération il faudrait créer un organisme représentatif qui rendrait possible une collaboration et des contacts internationaux. Il est indispensable qu'une délégation polonaise, représentant tous les groupements de l'émigration réside à Washington.

Tant que cet organisme n'est pas formé, le groupe de « Kultura » est décidé à mener son activité politique en tout indépendance, espérant trouver appui chez tous ceux qui se rendent compte de l'évolution politique moderne et qui savent que le chemin conduisant vers la Pologne — c'est l'Europe unie et libérée.

I. M. BOCHENSKI. O. P. — DE LA DEMOCRATIE

La tendance à la démocratisation des relations sociales et des institutions publiques qui se fait jour dans l'Europe contemporaine, est fondée, au moins pour l'immense majorité des intellectuels, sur un sentiment moral qui est, en même temps, le dérivé organique de l'histoire de l'Europe. Ce sentiment est, à son tour, basé sur le dogme de la filiation divine et celui de la grâce. Bien qu'il soit arrivé que ces idées aient été répandues par des dissidents de la chrétienté, leur action ne s'explique que par l'atmosphère morale générale créée par le christianisme. Marquée par ces deux traits : sentiment moral et fruit naturel et obligatoire de l'histoire spirituelle de l'Europe, la démocratisation ne sera opérée que si l'évolution normale de l'Europe n'est pas faussée par l'invasion de forces d'essence absolument étrangère.

Pour le moment, il est difficile de prévoir quelle forme prendra cette évolution, mais ce que l'on peut tenir pour certain, c'est que l'esprit européen qui a engendré la démocratie, s'oppose à la planification générale

de la vie. En Europe, les réalisations les plus frappantes se sont toujours faites suivant la formule empirique « trial and error ». L'absence de plan précis et détaillé ne doit nullement nous faire peur en la matière.

L'exécution du programme de démocratisation se heurte aujourd'hui à de grands obstacles, précisément à cause de la Russie. Celle-ci, dont l'évolution historique ne présente aucune analogie avec la nôtre, qui n'a passé ni par l'école du droit romain ni par celle de la féodalité ni par celle de la renaissance ni enfin par celle de la révolution française, est néanmoins, en principe, un pays chrétien qui, par l'entremise du marxisme, a reçu des débris du positivisme européen, c'est-à-dire d'un mouvement qu'ont soutenu nos démocraties.

C'est en raison de ces divergences historiques essentielles et en même temps de l'analogie de certains éléments que les Soviets avancent des théories qui rappellent nos théories démocratiques européennes mais en leur donnant un sens complètement différent.

De notre point de vue, l'U.R.S.S. est un pays affreusement arriéré moralement. Si elle venait à dominer l'Europe, la ligne d'évolution de celle-ci risquerait d'être entièrement brisée.

L'U.R.S.S. freine simultanément la démocratisation de l'Europe, même là où elle ne domine pas ouvertement. En effet les grandes réformes que nous devrions opérer, sont en quelque sorte paralysées, parce qu'en raison du danger russe, la réaction se sert de la menace bolchévique pour entraver la démocratisation et parce que l'abus que l'on fait, en U.R.S.S., des mots d'ordre démocratiques, pousse un grand nombre d'individus dans le camp de cette même réaction.

Ces difficultés ne devraient pas décourager les démocrates européens. Au contraire, le danger soviétique devrait être une raison de plus pour pousser en avant la démocratisation de l'Europe. L'U.R.S.S. verrait volontiers tous les Européens qui pensent, se rassembler dans le camp de la réaction, car alors, elle n'aurait plus d'adversaires sur le plan moral et sa victoire serait assurée.

Les hommes qui sont réellement attachés aux traditions européennes devraient se souvenir que la véritable tradition n'a rien de commun avec des formes transitoires mais est conforme à l'idéal qui se rattache au sens profond de l'histoire. La lutte qui est actuellement engagée contre les soviets est la lutte pour cet idéal, à l'atteinte duquel nul n'a le droit de renoncer.

Les citoyens des pays qui sont déjà dominés par l'U.R.S.S. ont un devoir tout particulier à remplir, celui de penser à l'avenir et de préparer ce dernier. L'ancien régime ne reviendra jamais plus. Celui qui compte le voir rétablir, a d'avance perdu la partie. Nous avons l'obligation de préparer un ordre nouveau conforme à notre idéal démocratique.

Le chapitre « Education sentimentale » du nouveau roman d'Arthur Koestler, « Les hommes ont soif », que nous traduisons en polonais, retrace l'enfance et la jeunesse de Fieda Nikitin, fonctionnaire de l'N.K.W.D. Les vers d'un jeune poète polonais que nous empruntons à l'hebdomadaire varsovien « Nowa Kultura » et que nous publions d'autre part, font en quelque sorte pendant à ce chapitre, car la poésie du jeune écrivain montre à quel point la fiction littéraire du romancier rejoint ici la réalité.

Le poète se propose de glorifier la « police politique ». Un agent de la Sûreté, fatigué par de nombreux interrogatoires de prisonniers politiques (ennemis de la société), s'endort devant son bureau. Tout-à-coup, Félix Dzierzynski, le créateur de la célèbre Czeka dont sont sorties plus tard

l'NKWD (MVD) et ses diverses filiales des démocraties populaires, lui apparaît en songe. On sait que Dzierzynski était polonais. Celui-ci lui avoue que le rêve secret de sa vie a toujours été de contempler de ses propres yeux ce qu'il voit aujourd'hui. L'officier de police lui fait fièrement parcourir les couloirs de la prison, puis soudain s'éveille, et se rendant compte qu'en s'assoupissant, il a gaspillé le temps qui appartient à son activité de socialiste, il s'écrie : « Amenez le suivant ! ». Le poète termine en exhortant la police politique à rester en perpétuel éveil.

La rédaction de la « Kultura » ajoute un commentaire à ces pages. Elle fait remarquer qu'elle reproduit des œuvres de ce genre pour leur valeur en tant que document sociologique. Les civilisations et régimes les plus divers ont connu les « polices politiques ». Jamais pourtant jusqu'à présent, celles-ci n'avaient été célébrées par les poètes. Le système stalinien demande à l'individu de s'identifier à la police politique. Cette identification qui doit faire de tout citoyen un collaborateur de la police, constitue l'essence même du chapitre du roman de Kestler que nous publions.

En dehors des articles que nous résumons ci-dessus, nous publions la première partie du « Journal de voyage en Allemagne » de Paul Hostowicz.

Joseph Lobodowski nous parle de la poésie nègre traduite en espagnol et donne d'abondants extraits des plus remarquables de ces poèmes qu'il a lui-même traduits.

La partie consacrée à l'histoire de la Pologne contemporaine contient la fin des souvenirs de l'ancien président du Conseil Slawoj-Skladkowski.

On trouvera, dans la partie bibliographique, une analyse des mémoires de Victor Serge, « l'European Ideologies » et des dernières nouveautés parues dans les pays d'émigration.



Wydawca: EDITION ET LIBRAIRIE « LIBELLA »

12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e)

Directeur-gérant: M^{me} Christiane Karasiewicz.

Dépôt légal : 3^e trimestre 1951

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (Seine-et-Oise).
Téléfon: Maisons Laffitte (S.-et-O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Przenumerata	
		½-roczna	Roczna
FRANCJA: Libella, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris IV ^e .	150 fr.	900 fr.	1800 fr.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma	250 lir	1500 lir	2500 lir
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgsgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kor.	28 kor.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schönaue, U.S. Zone	2,50 DM	15 DM	25 DM
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Składnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	3 peso	36 peso	72 peso
KANADA: Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 83 Front St. E. Toronto/Ont; Foreign Languages Advertising Co., 1523 Drummond, Montreal, Que.; Stan. L. Opolski, 880 Barton St. E., Hamilton/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager Str., Utica, N.Y.; L. Dudarew- Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleśczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 200 East 21 st., New York 10, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Mich.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
BELGIA i KONCO BELGIJSKIE: Janina Brzozowska, 132, Av. Maréchal Joffre, Bruxelles-Forest. Kon- to pocztowe C.C.P. 7315 20.	30 bfr.	145 bfr.	260 bfr.
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY, Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A 1.7.6.	£A2.12.6.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana; Walery Bader, Al. Barao de Limeira 915, ap. 28, Sao Paulo	15 cruz	90 cruz	150 cruz
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lau- sanne, Genève.	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.

Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.).

Redakcja KULTURY rękopisy nadesłane a nie zamówione zwraca jedynie przy załączeniu znaczków pocztowych na portu

KULTURA omawia w pierwszym rzędzie książki i czasopisma nadsyłane do redakcji w 2-ch egzemplarzach

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; ½ strony 6.000 fr. fr.

«Kultura»
Paris

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZECH.

Bezpłatna wysyłka

poprzez niemieckie przedstawicielstwa w:
Frankfurt/Main-Sachsenhausen, Stegstrasse 36

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

OSTATNIE WIADOMOŚCI

jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec.

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatk.

Korespondenci: we Francji, W. Brytanii, Włoszech,
Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wenezueli,
Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.). Za słowo
w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schönaue
US Zone, Germany.

Cena 150 frs.